

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/438

1984



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. KOŁAKOWSKI: **PAŁKA I TEORIA**

M. BROŃSKI: **ŻYDZI I POLACY DZISIAJ**

J.-F. REVEL: **NIEMCY: MARZENIE I RZECZYWISTOŚĆ**

J. KUŚMIEREK: **ROLNICTWO POLSKIE**

NAGRODY "KULTURY" ZA ROK 1983

SPIS RZECZY

Leszek Kołakowski:	<i>Pałka i teoria</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	14
M. Broński:	<i>Żydzi i Polacy dzisiaj</i>	25
Kazimierz Brandys:	<i>Miesiące</i>	34
Sławomir Mrozek:	<i>Sąd Ostateczny</i>	53

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jean-François Revel:	<i>Niemcy: marzenie i rzeczywistość</i>	60
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	64



Redakcja:	<i>Obserwatorium</i>	67
-----------	----------------------------	----

K R A J

Józef Kuśmierk:	<i>Rolnictwo polskie</i>	69
Episkopat Polski:	<i>Informacja Biura Prasowego</i>	78
R.M.:	<i>Wrażenia z Polski</i>	80
René Tavernier:	<i>Telegram do Tymczasowego PEN-Klubu Polskiego</i>	84

SPRAWY I TROSKI

Edward Puacz:	<i>Kolegium Związkowe i co dalej?</i>	85
Zenon Kałuża:	<i>Jeszcze o Bibliotece Polskiej w Paryżu</i>	92
—	<i>„Solidarność” na Zachodzie</i>	95

SĄSIEDZI

Michał Heller:	<i>Polski przykład</i>	97
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	102
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	107

POLEMIKI

Waldemar Kuczyński:	<i>Kisiela spojrzenie na opozycję</i>	110
Jan Józef Lipski:	<i>List do Redakcji „Der Spiegel”</i>	117

NAGRODY „KULTURY”

—	<i>Poroczne nagrody „Kultury”</i>	120
---	---	-----

CI, CO ODESZLI

K.A.J.:	<i>Manes Sperber</i>	124
---------	----------------------------	-----

KSIĄŻKI

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Renesans (1)</i>	126
K. A. Jeleński:	<i>Argentyńskie lata Gombrowicza</i>	144
Alejandro Russovich:	<i>Moja przyjaźń z Witoldem</i>	145
Marek Tarniewski:	<i>Odważne teksty obywatelskie</i>	151
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	154



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: amerykańska, francuska, kanadyjska i szwedzka</i>	155
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	161



J. K. Machniewicz, W. Mychalczuk, Z. Szadkowski, D. Morawski, Waldek T., St. Wąsik, W. Ryser-Szymanski, R. Zakrzewski, R. Żelazny:	<i>Listy do Redakcji</i>	165
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1984

INSTYTUT  LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Inż. Mieczysław Bornek, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 16-ty	F. 265,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton, po raz 15-ty — \$ 1.000,00	F.8.400,00
Sz Chodakowie, Montreal — zamiast kwiatów na grób prof. Alfreda Tarskiego	F. 231,02
Richard Czekaj, Lethbridge, Alta (Kanada) — \$ c. 10,00	F. 66,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA), po raz 13-ty — \$ 46,00	F. 386,50
A. P. Frajlich, A. W. Zajęc i F. S. Bromberg, Brooklyn, N.Y. (USA) — dla uczczenia pamięci Joanny Koraszewskiej, zmarłej 3 września 1983 r. — \$ 60,00	F. 504,00
L. Fulmyk, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 7-my — \$ c. 15,00	F. 99,00
Adam Furmanek, Flakveit (Norwegia), po raz 2-gi	F. 165,00
Bogusław Gierlicki, Hamburg (RFN)	F. 302,38
Stefan Ginilewicz, Bronxville, TX (USA), po raz 8-my — \$ 30,00	F. 252,00
Jerzy Gintel, Caracas, po raz 23-ci — \$ 48,00	F. 403,00
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00 ..	F. 67,00
Zapis śp. Tadeusza Hojko dla uczczenia pamięci Marjorie Pitman, przekazany przez wykonawców testamentu i biuro adwokackie Keane & Beane, P.C., White Plains, N.Y. (USA) — \$ 8.898,98	F.74.751,45
Maria Halstead, Santa Barbara, CA (USA) — na pomoc dzieciom rodzin uwieczonych lub pozbawionych pracy w Polsce — \$ 50,00	F. 420,00
I. N.W. w Michigan (USA) — \$ 50,00	F. 420,00
Zbigniew M. Inwalski, Carlsbad, CA (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00	F. 67,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 23-ci — \$ 18,00 ..	F. 151,00
Dr Zdzisław Jaworski, Ottawa, po raz 5-ty	F. 145,00
Jacek Jedruch, Pittsburgh, PA (USA), po raz 8-my — \$ 8,00	F. 67,00
Władysław Jarek, Victoria, B.C. (Kanada), po raz 6-ty — \$ c. 13,00	F. 86,00
Alfred Kolator, Londyn, po raz 7-my — £ 10,00	F. 120,00
W. Kolaciński, Des Plaines, IL (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00	F. 67,00
Henryk Komezka, Trondheim (Norwegia), po raz 8-my	F. 20,00
Edmund Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz 10-ty — \$ 21,00	F. 176,50
A. Kowarska, Milford, Nowa Zelandia, po raz 5-ty \$ A. 35,00	F. 238,00
Dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 9-ty	F. 410,00
A. J. Luckevich, Palos Verdes, CA (USA), po raz 7-my — \$ c. 50,00	F. 330,00
L. Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 5-ty	F. 120,00
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 7-my	F. 135,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 12-ty — \$ 25,00	F. 210,00
E. Mozejko, Edmonton, Alta (Kanada), po raz 3-ci	F. 45,00
Georg Nakashidze, Nowy Jork — \$ 36,00	F. 302,50
Stefan Nędziński, Genewa, po raz 13-ty — Fr.szw. 100,00 ..	F. 380,00
M. S. Ochalski, Chicago, IL (USA), po raz 19-ty — \$ 8,00 ..	F. 67,00
B. Partyka, Wallington, N.J. (USA), po raz 6-ty — \$ 8,00 ..	F. 67,00
Jan Pawłowski, Bois-Colombes (Francja), po raz 12-ty	F.1.400,00
Lucjan Piekarski, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 20,00	F. 132,00
Andrzej i Irena Pleszczyński, Santa Barbara, CA (USA), po raz 8-my — \$ 36,00	F. 302,50
Tadeusz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz 16-ty — \$ 48,00	F. 403,00

(Dalszy ciąg Wpłata na str. 173)

Pałka i teoria

Jednym z fundamentów sowieckiego wychowania moralnego jest zasada wyrażana zwykle powiedzeniem, iż *wielkiej gumanist Maksim Gorki skazał: jeśli wróg nie sdajotsa, nado ego uniczoziť*. Cokolwiek *wielkiej gumanist* chciał oznajmić (pamiętamy, że *Sołżenicyn* oddał w swoim *Gułagu* należny hołd jego pamięci jako wydawcy i współautora pierwszej rosyjskiej książki sławiącej pracę niewolniczą), sens tej zasady w sowieckiej wykładni jest całkiem jasny. Nie odnosi się ona tylko do wojny w zwykłym słowa znaczeniu, lecz do wszelkich stosunków z „wrogiem klasowym”, wrogiem klasowym jest zaś każdy, kto nie jest posłusznym narzędziem sowieckiej władzy. Jest to, jak wiemy, zasada czysto leninowska. Lenin unicestwił głupie burżuazyjne odróżnienie między wojnami napastniczymi i obronnymi i w ogólności między pokojem a wojną; nie ma znaczenia, kto jest agresorem, a kto się broni, znaczenie ma tylko, w imieniu jakiej klasy wojna się toczy; dopóki komunizm nie zapanuje na świecie — Lenin oznajmił to całkiem niedwuznacznie — będzie trwał stan „straszliwej wojny”. Tak oto wyzyskiwani proletariusze Breżniew, Andropow czy Jaruzelski walczą z wyzyskiwaczami-burżujami jak Sacharow, Wałęsa czy papież; wyzyskiwaczami-burżujami są zarówno wszyscy nieposłuszni obywatele sowieccy, jak też wszyscy obywatele innych krajów, politycy, pisarze, dziennikarze czy robotnicy, o ile nie są gotowi służyć sprawie sowieckiej. Świat dzieli się na wrogów i wasali (trzecia kategoria to usłużni idioci, jak np. niekomunistyczni pacyfiści zachodnio-europejscy, pieszczeni, lecz pogardzani), kto więc nie jest wasalem, musi być zniszczony.

Nieskomplikowana ta filozofia ma liczne oczywiste zalety, ale nie jest bez wad: trzeba, z jednej strony, wypowiadać ją możliwie głośno i dobitnie w samym Związku Sowieckim, aby utrwać nieśmiertelną jedność moralno-polityczną narodu, lecz, z drugiej strony, jej hałaśliwe głoszenie w międzynarodowych stosunkach jest niewskazane, tu bowiem korzystne jest, by Związek Sowiecki uchodził za państwo jak wszystkie inne, za mocarstwo, które ma, oczywiście, swoje interesy i będzie ich bronić, lecz poza tym gotowe jest do kompromisów, „obopólnie korzystnych” układów i dotrzymywania umów. Jest, rzecz jasna, niepożądane, by państwo sowieckie było widziane takim, jakim jest faktycznie, tj. jako państwo, dla którego nie istnieje kompromis w sensie tradycyjnej polityki europejskiej; tymczasem percepcja taka, mimo wszystkich iluzji zachodnich, ma tendencję rosnącą.

Kompromis w znaczeniu właściwym polega nie tylko na wzajemnych ustępstwach, ale zakłada ponadto, że interesy obu stron są jawne i że jest w interesie obu, by ustępstwa poczynić; *do ut des*, kupiec nieco obniża cenę, a nabywca nieco podwyższa ofertę, po czym rozchodzą się, może niekoniecznie całkiem szczęśliwi, ale na ogół w przekonaniu, że osiągnęli co można. Modelem demokratycznej polityki jest handel (włączając, oczywiście, jego oszukańcze strony). Modelem sowieckiej jest wojna. Kompromis nie jest porozumieniem, jest postrzegany jako kapitulacja (paradygmatem jest, w sowieckiej historii, pokój brzeski, który był w rzeczy samej kapitulacją); kompromis oznacza tyle: „nie jesteśmy jeszcze, niestety, dość silni, by się załatwić z wrogiem”. Jest manewrem wojennym w oczekiwaniu na korzystniejszą sytuację. Jest to całkiem zgodne z założeniami leninizmu: Lenin cytował Clausewitza wielokrotnie, chodziło mu wszelako mniej o to, że wojna jest kontynuacją polityki, a bardziej o to, że polityka jest formą wojny. Otóż, żeby osiągnąć kompromis, dwóch musi wyrazić zgodę, ale żeby wywołać wojnę, wystarczy jeden.

Jest to sprawa kluczowa dla dyskusji o znaczeniu ideologii w sowieckiej polityce. „Marksizm” w jakimkolwiek rozpoznawalnym sensie jest bez znaczenia dla tej polityki, a właściciele sowieckiego imperium mogą o nim wiedzieć tyle, ile przypuszczalnie wiedzą, tj. znać parę zdań wyuczonych kiedyś w partyjnych *uczuliszczach* i trochę słów, którymi przyozdabiają swój drętwy żargon. W jednym punkcie wszelako muszą dochować niezłomnej wierności odziedziczonej ideologii; muszą, jeśli nie dosłownie wierzyć, to przynajmniej udawać, że niezachwianie wierzą, iż sowieckie imperium jest na mocy „praw historii” zarówno powołane jak uprawnione do władania światem. Rezygna-

cja z tej zasady oznaczałaby rozkład imperium. Do tego nie trzeba wcale by mieli określony plan podboju świata, wystarczy, że ów „marksizm” daje z góry historyczne uprawnienie do każdej agresji i do weiskania się we wszystkie miejsca, gdzie, jak słusznie czy niesłusznie sądzą, mogą wejść bez większego ryzyka. Reszta jest taktyką.

Widać stąd, że dopóki ktoś — jednostka czy państwo, — nie ma ochoty zostać sowieckim wasalem, musi być postrzegany jako wróg i tak traktowany, niezależnie od wysiłków, jakie mógłby czynić, by pokazać się niewojowniczym, łagodnym i gotowym do kompromisu. Gotowość realna do kompromisu musi uchodzić bądź za złośliwą próbę przechytrzenia sowieckiego partnera bądź za przyznanie się do słabości, a tym samym za zachętę do takiej czy innej formy agresji.

Demokratyczne rządy nie mogą uniknąć tego, by przy różnych okazjach nie tylko ujawniać, ale słowem potwierdzać różne swoje słabości. Mogą też przetrwać takie niemiłe zdarzenia. Jednakże dla sowieckiego ustroju każde ujawnienie, a w szczególności każde słowne uznanie własnej słabości jest nieobliczalną klęską. „Niezlomne prawa historii” wymagają bowiem, by postępowy ustrój zawsze i niezmiennie dziarsko parł naprzód; każda porażka czy niepowodzenie wydaje się nie po prostu porażką czy niepowodzeniem, jakie wszystkim nieuchronnie się zdarzają, ale ciosem zadany „prawom historii”, a każde przyznanie się do niepowodzenia wygląda na powątpiewanie, czy owe prawa naprawdę działają, a więc — czy idea, na której prawomocność państwa jakoby się wspiera, w ogóle nadal obowiązuje. Zasada nieprzyznawania się do błędów i słabości musi być przestrzegana w tym systemie pod grozą ruiny. Nie chodzi bynajmniej o to, by ktokolwiek wierzył naprawdę we wszystkie kłamstwa i nonsensy powtarzane przez sowieckich wodzów: istotne jest, by wierzone w to, że oni sami wierzą w swoją siłę. Jest prawdą, od wieków znaną, że ci, co w walce są silnie przekonani o swoim zwycięstwie, mogą wprawdzie się mylić, ale wiarą swoją podnoszą znacznie szanse wygranej, podczas gdy ci, co przewidują własną porażkę, już ją ponieśli. Odwieczna ta prawda nabrała nowego sensu w warunkach, gdzie od jej skrupulatnego przestrzegania zależy nie tylko los poszczególnej batalii, ale samo istnienie ustroju.

Dlatego też krótkowzroczne i symplicystyczne jest twierdzenie, że rozkład ideologiczny sowietyzmu jest bez znaczenia, bo tak czy owak liczy się tylko naga przemoc. Czasami, rzeczywiście, historia percepcji sowietyzmu może przypominać powieść Agaty Christie, gdzie na ostatniej stronie książki ku

ogromnemu zaskoczeniu czytelnika, mordercą okazuje się ten sam człowiek, którego na pierwszych stronach widzimy z gorącym pistoletem koło miejsca zbrodni i który, co więcej, natychmiast przyznaje się do morderstwa. Zaskoczenie czytelnika nie jest jednakowoż zdumiewające i nie świadczy tylko o jego bezgranicznej głupocie (gdyby tak było, powieść nie mogłaby istnieć), jako że mnóstwo komplikacji pojawia się po drodze. Podobnie odkrycie, że sowietyzm jest „nagą przemocą” nie jest tylko objawem umysłowego zacofania („przecież można to było wiedzieć od pierwszej strony”); historia rewolucji rosyjskiej i sowietyzmu jest długa i zawiła, a redukcja jej do samej pałki (i skądże się wzięła ta pałka?), jak gdyby żadne procesy społeczne w tym ustroju nie zachodziły, jest lekkomyślnym ułatwianiem sobie życia umysłowego. Erozja ideologiczna sowietyzmu jest istotna, o ile dotyka nie tylko ornamentacyjnej warstwy ustroju, ale także tę część jego samochwależnej doktryny, co do której jest rzeczywiście ważne, by w nią wierzone.

Ideologia oficjalna sowietyzmu dzieli się bowiem na dwie części. Jedną część streszcza się w hasło, z którego pochodzi tytuł znanej powieści Zinowiewa: „Komunizm — świetlana przyszłość ludzkości”. Ta część jest zdobniczo-policyjna, nie ma żadnej zawartości semantycznej, nie znaczy nic, a potrzebna jest głównie po to, by wszyscy wiedzieli, że niczego innego pod groźbą pałki mówić nie wolno. Podobna jest do napisu „Towarzystwo Miłośników Opery Włoskiej”, pod którym w zabawnym filmie amerykańskim „Some like it hot”, uświetnionym galerią znakomitych aktorów, zbiera się na Florydzie szajka gangsterów. Druga część ideologii zawiera się w powiedzeniu „Komunizm (tj. sowietyzm) jest nieuchronny” (w przekładzie na język praktycznych zaleceń: „nie walcie głową o ścianę”, „z naszą pałką nikt nie wygra” itp.). Ta część ma sens zupełnie wyraźny i jest wybitnie potrzebne, by zarówno szczęśliwi mieszkańcy postępowego ustroju, jak też nieszczęsne ofiary ustrojów reakcyjnych brali ją na serio, jako że służy ona moralnemu obezwładnieniu oporu przeciwko sowietyzmowi. We wszystkich szkołach wszystkich postępowych ustrojów uczą się dzieci i dorośli, jak wiemy, że marksizm-leninizm odkrył (naukowo, zbyteczne dodawać), że istnieje naturalna, powszechnie obowiązująca sukcesja „formacji społeczno-ekonomicznych”: wspólnota pierwotna-niewolnictwo-feudalizm-kapitalizm-socjalizm (to już koniec, więcej nie ma i nie będzie); wynika stąd, że „socjalizm”, tj. pałka sowiecka, jest na mocy konieczności dziejowej spadkobiercą „kapitalizmu” i że nikt na to nie poradzi. Teorii tej każdy może się nauczyć w ciągu pięciu minut, a chociaż niewiele więcej minut trzeba, by sobie uprzytomnić, że

jest to fantastycznie rozdęta, źle skrojona i gołosłowna ideologiczna oprawa kilku znanych faktów historycznych i że nie ma żadnych powodów, by w nią wierzyć, to jednak byłoby nader niebezpieczne sądzić, że wbijanie jej do głowy kilku kolejnym pokoleniom nie ma żadnego znaczenia. Teoria pomaga pałce, o ile prowadzi do umysłowego zniewolenia i moralnego paraliżu („i tak nic nie zdziałamy, bo socjalizm następuje po kapitalizmie”), ale jest także przez pałkę wspierana, jako że każde skuteczne walnięcie pałką potwierdza teorię („podbiliśmy Afganistan, a więc jeszcze jeden dowód, że socjalizm następuje po kapitalizmie”), a ostatecznie teoria znaczy właśnie tyle, co twierdzenie, że sowiecka pałka jest zawsze skuteczna; obie zatem — pałka i teoria — wspierają się wzajem (dialektycznie), ale nie są identyczne i, co więcej, każda z nich jest drugiej nieodzowna: teoria bez pałki jest bezsilna, ale bezsilna jest także pałka bez teorii, gdyż teoria nie jest tylko pałki dekoracją, ale także pałki nadzieją i wiarą.

Kto temu przeczy i powiada „nie prócz pałki nie ma i nie było”, ten w rzeczy samej zakłada się zdaje, że walka przeciw umysłowemu i moralnemu niewolnictwu w zonie socjalizmu i pokoju nie ma znaczenia — „bo i tak nikt w nic nie wierzy” — i że przeciw pałce tylko większa pałka jest argumentem. Nie jest to wszakże wiarygodna opinia, wiemy bowiem wszyscy, że Polacy żadnej pałki przez dziesięciolecia nie mieli, a mimo to doprowadzili w Polsce sowietyzm na skraj ruiny samą siłą moralnej odmowy.

Dyktatura militarna w Polsce i jej następstwa były wielkim krokiem w procesie, który już długo był się ciągnął i który polega na budowaniu nowego dziwolągu państwowego: władzy komunistycznej bez ideologii. Zgon tej ostatniej na uwiad starczy nie budzi od dawna wątpliwości. Z pewnością, będą nadal działać rozmaite ośrodki marksizmu-leninizmu, gdzie gromadka niedouków dukać musi w goryczy serca spróchniałe swoje katechizmy, nadal odbębniać się będzie ideolo-wykłady na uczelniach, nadal odbywać się będą co czas jakiś posiedzenia KC („plenum”) o „walce światopoglądowej” (trzeba nam, towarzysze, wzmóc ofensywę ideologiczną, wróg nie śpi, nie ma próżni, itd.), których wynikiem będą nowe czystki na uniwersytetach, dodatkowe etaty dla celników grzebiących w walizkach podróżnych w poszukiwaniu zakazanych książek, nowe instrukcje dla cenzury, nowe teoretyczne czasopismo pod tytułem, na przykład „Marksizm-leninizm — promienną chwałą i przodującym orężem światowego proletariatu” itp. Lecz że pożytek z tego wszystkiego małeńki, wiedzą melancholijnie rządcy Ludowej. Byłaby więc pała jedyną nadzieją? Tylko

przy założeniu, że pała, oprócz ran, guzów i sińców, przynosi także skutki teoretyczne, mianowicie wbija ludziom do głowy i do grzbietów przekonanie, że tak już będzie i nie ma po co głowy nadstawiać. W tym bowiem cała teoria się streszcza („socjalizm następuje po kapitalizmie”). Za Gierka, to prawda, był jeszcze, na początku, miraż dobrobytu rychłego i on miał być tworzywem, z którego iskry entuzjazmu należało krzesać. Lecz trudno płomienny zapał dla socjalizmu wydostać z obietnicy, która dzisiaj musi brzmieć tak mniej więcej: „pracujcie w znoju, kochani rodacy, przez lat dwadzieścia, a może dostaniecie mieszkanie, metrów 37 i pełne dziur, już w pierwszym dziesięcioleciu następnego wieku!” Albowiem, jak Boy pisał:

*W iskier krzesaniu żywem
Materiał to rzecz główna.
Trudno najtęższym krzesiwem
Iskry wykrzesać z substancji miękkiej i podatnej*

Skoro przeszczep sowietyzmu w Polsce się jawnie nie przyjął i skoro obietnica rychłego wesołego życia także się do użytku nie nadaje, skoro nawet pałka swojej funkcji teoretycznej czy teorio-twórczej nie wypełnia i skoro, z drugiej strony, pałką, mocy teoretycznej pozbawioną, jako narzędziem wyłącznym długo rządzić z powodów technicznych niepodobna (chyba, że się nastawi na prawdziwie masową rzeź i gigantyczne obozy koncentracyjne, lecz to by nam mógł tylko Przodujący Kraj Dziejowego Postępu załatwić), skoro metody kija i marchewki z braku tej ostatniej stosować nie bardzo można, należy się spodziewać, że będziemy świadkami polityki chwiejnej, próbującej bezradnie przeskakiwać od zastraszania i bicia do prób ugłaskiwania ludności, przy czym ani jedno ani drugie posunięcia nie będą dość konsekwentne, by Polskę bądź obezwładnić strachem bądź ugłaskać.

Jeśli pomijamy super-pałkę sowiecką, która jest oczywistym warunkiem nie tylko skuteczności, ale samego istnienia pałki prłowskiej, ta ostatnia ma z pewnością liczne zasoby na swoim koncie. Oprócz samej pałki, tj. całej pasożytniczej kasty polityjno-nadzorczo-cenzorskiej, istnieją liczni piewcy pałki, czyli żurnalia na kazonnej zupie, a także pewna ilość bezpartyjnowzniośle-nieugiętych adoratorów pałki, lizusów niezłomnych, owych Dobraczyńskich i Sandauerów, których pogląd na świat dynamiczny da się krótko streścić: „Pan Bierut bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powiedzieć pan Bierut głupi, ale pan Gomułka bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powie-

dzieć pan Gomułka głupi, ale pan Gierek bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powiedzieć pan Gierek głupi, ale pan Jarużelski bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powiedzieć...” (jest to, jak widać, światopogląd otwarty, niedogmatyczny i subtelnie reagujący na przemiany dziejowe; wystarczy też do końca życia, oby najdłuższego; kolejne ekipy partyjne w hańbie przechodzą w nicość — choć każda się łudzi, że jej właśnie się uda — ale chwaley pałki sami we władzy nie uczestniczą i przechodzą bez trudu z jednej strefy hańby w następną).

Ale największym bogactwem na koncie pałki jest zmęczenie pałowanych. Pałka tysiągłowa nic innego nie ma do roboty prócz właśnie pałowania i za to sama siebie sownie opłaca, podczas gdy pałowani muszą z czegoś żyć, kupować masło i schab w sklepach nie-specjalnych, znosić — z powodu przejściowych trudności zawinionych najpierw przez Żydów, potem przez Wałęsę, a ostatnio przez Reagana — wszystkie udręczenia prłowskiego życia; nikt z nich nie jest na etacie anty-pałki, podczas gdy na pałce mrowi się od niezliczonych etatów, ostatecznie, acz nie dobrowolnie, opłacanych przez tychże pałowanych, tj. Polaków. Po stronie przeciwnej pałce jest wyłącznie przekonanie, wola życia polskiego, w odróżnieniu od prłowskiego (ten ostatni przymiotnik należy wymawiać tak, jak się pisze; stosuje się on do wielu dziedzin życia: istnieje język polski i język prłowski, literatura polska i literatura prłowska itd).

Zmęczenie pałowanych jest przeto pałką główną siłą, ale, by było skuteczne, pałka musi je przerobić na trzy doktryny, z których każda jest wprawdzie z pozostałymi niezgodna, ale z których wszystkie trzy nieustannie na pałce zakwitają. Pierwsza doktryna to właśnie wspomniane: „socjalizm następuje po kapitalizmie” (czyli: pałka jest niewyciężona; ta wersja jest w tej chwili słaba i mało skuteczna). Druga doktryna to sławne: „ach, to nasze geopolityczne!” (czyli „cicho siedźcie, bo pałka sowiecka nad głową!”). Trzecia doktryna brzmi: „my jesteście my pałka umiarkowana i centrystyczna, a jak będziecie podskakiwać, to przyjdzie pałka nieumiarkowana i ekstremistyczna, ona naszą pałkę na śmietnik wyrzuci, a wam dopiero da w kość!”

Ponieważ ta ostatnia doktryna ma za sobą pozory racji, wypada mi przytoczyć Wielkie Prawo Polityki (WPP), które odkryłem (naukowo) i które nawet ogłosiłem, lecz w miejscu na tyle egzotycznym, że pozwalam je sobie powtórzyć. Prawo to brzmi „Umiarkowani rządzą”. Istotnie, ktokolwiek gdziekolwiek dochodzi do władzy, jest natychmiast naciskany z dwóch stron i zawsze może z pewnym poczuciem słuszności twierdzić,

że jest umiarkowanym albo „centrystą”. Prawo to ma tę zaletę, że się stosuje do wszystkich ustrojów, zarówno demokratycznych, jak despotycznych, zarówno pluralistycznych, jak totalitarnych. Centrystą jest prezydent Reagan i pani Thatcher, centrystą jest Andropow i Chomejni, a także Jaruzelski i Pinochet, centrystą jest prezydent Mitterrand i kanclerz Kohl (że Stalin był centrystą, wiemy z licznych artykułów Trockiego). Dojść do władzy to być umiarkowanym — nie dlatego, że tylko umiarkowani dochodzą do władzy, lecz dlatego, że nikt, kto dochodzi do władzy, nie może zadowolić wszystkich swoich sojuszników i musi być przez część z nich atakowany jako zbyt umiarkowany. Dlatego też zalecenie, by jakiś rząd, grupę czy klikę rządzącą, dyktatora czy legalnego szefa rządu popierać z tej racji, że jest umiarkowany znaczy tyle, że należy popierać wszystkich, co są w danej chwili u władzy — zawsze i wszędzie. Propagandyści i wysłannicy sowieccy nieraz starali się „poufnie” przekonywać Zachód, że aktualny władca — Breżniew czy Andropow — jest umiarkowany i że Zachód powinien go pieścić, bo jacyś ekstremiści czyhają na jego posadę.

Nie wynika stąd, że nie ma żadnych różnic między tendencjami politycznymi, lecz tylko, że hasło, wedle którego trzeba popierać umiarkowanych jako takich nie ma żadnego sensu. Skądinąd w Polsce każda klika rządząca ma wąskie pole manewru, każda musi dochować wierności Moskwie — w obopólnym interesie — i każda musi próbować znaleźć jakąś formę minimalnej komunikacji ze społeczeństwem. Jakościowym skokiem w marszu ludzkości ku powszechnemu braterstwu i wolności byłaby rzeczywiście bezpośrednia sowiecka okupacja Polski, lecz spowodowanie warunków, które by taką okupację uczyniły konieczną nie leży w tej chwili w nieczyim interesie.

Z tej również racji przypuszczenie, że dyktatura wojskowa ustanowiona w grudniu 1981 roku zapobiegła sowieckiej okupacji, jest odpowiedzią na złe postawione pytanie, mianowicie pytanie, które zakłada, że istniał istotny konflikt interesów między sowiecką a prłowską władzą. Jednakże nie było żadnego konfliktu interesów: zarówno prłowski, jak sowiecki aparat rządzący był żywo zainteresowany w tym, by przywileje władzy w Polsce zostały nietknięte, a wszelkie niezależne formy życia społecznego zniszczone i by załatwić to w miarę możliwości bez okupacji bezpośredniej. Nie ma wątpliwości co do tego, że wszystkie umowy od początku traktowane były jako „kompromis” w znaczeniu sowieckim, tj. chwilowe ustępstwo, które należało najspieszej zlikwidować, że od pierwszej chwili partia nie miała najmniejszego zamiaru dotrzymywać układów i że zanim atrament zdążył wyschnąć w Gdańsku, polityczne i woj-

skowe kliki pracowały gorączkowo nad przygotowaniem tej czy innej formy masowego gwałtu na Polsce. Nie było zatem żadnej potrzeby szantażu czy groźby.

Przypuśćmy jednak, prawie na pewno fałszywie, że taki szantaż miał miejsce, że więc ten czy ów marszałek albo sekretarz sowiecki oświadczył panu Jaruzelskiemu coś w rodzaju: „albo towarzyszu generał sam rozbestwionemu Polactwu kaganiec na pysk założysz albo już nasze sławne bojcy wam pokażą, na czym polega nieśmiertelna przyjaźń narodów socjalistycznych!”. Czy przy takim założeniu było — teoretycznie — jakieś inne wyjście? Owszem, nawet bardzo proste. Przypuśćmy, dalej fantazjując, że pan Jaruzelski wygłasza wówczas w telewizji taki oto tekst: „drodzy rodacy, jesteśmy w kleszczach sowieckich imperialistów, którzy zagrozili, że nas najadą i zmasakrują, jeśli nie ogłosimy stanu wojennego w Polsce; wobec czego ogłaszam stan wojenny”. Ryzykowne takie przemówienie wywołałoby największy bodaj kryzys w dziejach bloku sowieckiego, zważywszy jednak, że „stan wojenny” miałby wówczas poparcie społeczeństwa i armii, nie musiałby on wcale skończyć się sowieckim najazdem.

Wszystko to, oczywiście, fantazje. Wychowankowie wielkiej szkoły komunizmu Lenina-Stalina, czyli ludzie przez dziesięciolecie trenowani w lokajstwie, na samą myśl świętokradczą o zbuntowaniu przeciw sowieckiemu władcy reagują tak mniej więcej, jak chasyd na słoninę. Nie powiadam zatem, że możliwość takiego rozwiązania rzeczywiście kiedykolwiek istniała, lecz tylko, że nie ma sensu mówić, iż rządcy Ludowej znaleźli się w „przymusowej sytuacji” itp. Przymus popełnienia gwałtu zdarza się w ogólności nieczęsto.

Tyle gwoli wyjaśnienia rzekłszy, wracam do początku, tj. do kompromisu albo też „kompromisu”. Kompromis albo „kompromis” jest wynikiem negocjacji i pytanie powstaje, czy negocjacje są w ogólności wyobrażalne w policyjno-militarnym reżymie, spychającym Polskę do rządu krajów trzeciego świata? (Proces tego spychania zaczął się, oczywiście, znacznie wcześniej: samowola policji obok normalnego bezprawia komunistycznego; powszechne ubóstwo; chronicznie chora gospodarka, niezdolna do konkurencji na światowych rynkach; rozdęta i nieudolna biurokracja; złodziejstwo, strach rządzących i to, co Rosjanie określają słowem „żulniczeństwo”, a czego słowo „korupcja” jest wybitnie uwznioślającym przekładem; degradacja kulturalna w wyniku policyjno-cenzuralnych represji, braku środków, rosnącej izolacji i braku zainteresowania rządzących dla spraw kultury, jeśli są one czym innym, aniżeli propagandą

polityczną). Otóż hasło „żadnych kompromisów” ma sens tylko, gdy się doskonale panuje nad sytuacją; negocjuje się, w razie konieczności, z kidnaperami, szantażystami i porywaczami samolotów: nie dlatego, by ktokolwiek wierzył, że owi partnerzy są skłonni do dobrowolnego respektowania układów, ale dlatego, że oni również nad sytuacją nie panują. Każde dziecko w Polsce wie, że partyjna czy wojskowa władza nie dotrzyma żadnych umów ze społeczeństwem, jeśli tylko sądzi, trafnie czy mylnie, że może sobie na to bezkarnie pozwolić; wszystkie umowy, wyraźne czy milczące, mają znaczenie o tyle tylko, o ile łamanie ich nie może rządzącym ujść bezkarnie. Nie wynikają z tego żadne określone zalecenia taktyczne (od takich zaleceń piszący niniejsze powstrzymuje się z zasady, jako że rady wolno dawać tym, którzy się znajdują w położeniu porównywalnym z jego własnym), wynika tylko, że nastawienie ogólne wyrażające się hasłem „żadnych kompromisów” jest przeciwnie skuteczne i że kompromis nie musi bynajmniej polegać na dobrowolnym samoosłabieniu. Z pewnością, obecny stan impasu w Polsce nie może ciągnąć się nieograniczenie długo i może być łatwo zaburzony przez różne przypadkowe okoliczności. Jego przedłużanie wydaje się sprzyjać pałce, pałka bowiem nie zużywa się od impasu, podczas gdy zużywa się materia żywa, tj. Polska jako organizm kulturalny. Jest to jednak tylko część prawdy. Pasożyt jest w sytuacji dwuznaczonej, gnębi swojego żywiciela, ale nie może się bez niego obejść. Sowietcy wodzowie, być może, śnią o tym, aby Polska zapadła się w nicość, lecz dla prłowskich byłby to sen o samobójstwie. Prawdziwym marzeniem jednych i drugich jest sowietyzacja duchowa Polaków, tj. narzucenie im mentalności niewolniczej. Epoka Solidarności marzenie to, które nigdy bliskie realizacji nie było, zniszczyła, lecz marzyciele nie dają za wygraną. Nieodwracalne rozbitcie tego marzenia jest Solidarności zasługą, rzec można, absolutną, ilekolwiek błędów mogli jej poszczególni działacze popełnić.

Po 13 grudnia 1981, w pierwszych tygodniach wojny z narodem, reakcje Polaków dochodzące do nas, w innych krajach żyjących, dzieliły się na dwie kategorie. Jedni mówili „jak za okupacji”, inni (mniej liczni) — „jak po powstaniu styczniowym”. Są to, oczywiście, całkiem różne percepcje. Po powstaniu styczniowym nastąpił okres zniechęcenia i desperacji, z którego, by Polacy się otrząsnęli, trzeba było wielu lat. Za okupacji niemieckiej, mimo wszystkich potworności owych lat, panowało powszechne poczucie tymczasowości i epizodyczności; nikomu bodaj z Polaków nie przychodziło do głowy, by Trzecia Rzesza mogła wygrać wojnę i utrwalić swoje ludobójcze władanie w Europie; pewność, że wojna skończy się totalną klęską

hitlerowskich Niemiec (a także złudzenie, że nastąpi to bardzo szybko) była niezachwiana i, choćby niekoniecznie dobrze uzasadniona, była warunkiem walki konspiracyjnej i woli zwycięstwa. Otóż, chociaż sytuacja dzisiejsza jest do okupacyjnej całkiem niepodobna, podobna jest pod jednym względem: upowszechnionego poczucia tymczasowości i epizodyczności. Jeśli poczucie to jest żywe, treść jego staje się prawdą.

Leszek KOŁAKOWSKI

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris
 Tel.: 326-04-42

Wydawnictwa Jubileuszowe:

- W. Voisė: „KSIĘGARNIA POLSKA — 150 LAT PLACÓWKI”,
- R. Cieślęwicz, afisz: „1833 — NAISSANCE DE LA PREMIÈRE LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS”,
- A. Mickiewicz: „PAN TADEUSZ” w nowej serii „Klasyków Polskich”, 24 ryciny E. M. Andriolliego z 1881 roku.

Wydawnictwa w języku polskim oraz „polonica” francuskie w dużym wyborze.

Wysyłamy katalogi bezpłatnie na żądanie.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 1 stycznia 1984

Przeglądam karteczki zabazgrane w pośpiechu podczas paryskiego (a raczej lafickiego) grudnia. „Berlin: zmiana warty oglądana z Tiergarten”. „Zinowiew: studium rozmiękczenia błyskotliwego mózgu, czyli *Homo sovieticus* przygotowuje inscenizację powrotu syna marnotrawnego”. „Dwie wystawy: Turner i Balthus”. Mogłyby z tego powstać styczniowe zapiski o grudniowych wrażeniach. I pewnie powstaną. Ale najpierw muszę powitać Nowy Rok 1984. Pękata teczka „orwellianów”, aż serce rośnie na jej widok. Jutro — jak Bouvard i Pécuchet — „zasiądę do biurka”.

2 stycznia

Jakież bogactwo! Jaki żer dla kontraktowych urzędników i pokątnych współpracowników uniwersalnego, niezniszczalnego już Ministerstwa Prawdy! Powinni przede wszystkim posegregować materiał. Zadanie niezbyt trudne, skoro rzeczy przeznaczonych do natychmiastowego pogrzebania w „grobie pamięci”, jest niewiele: amerykański tomik 1984 *Revisited*, przedmowa Umberto Eco do włoskiego wznowienia powieści Orwella, artykuły Michała Hellera i Simona Leysa w *Le Monde*. Cała ogromna reszta nie wymaga wysiłku szufladkowania. Z czystym sumieniem i błogim uśmiechem flaubertowskiej pary kolekcjonerów głupoty wolno ją wepchnąć do jednej, dostatecznie pojemnej szuflady „Orwell jako prorok komputeryzacji”. Kto pierwszy zwró-

cił przed laty uwagę, że 1984 trzeba czytać jak ponurą wizję przyszłej Ameryki? Kto pierwszy ostrzegał przed kierowaniem ostrza satyry Orwella przeciw ZSSR? Oczywiście nieboszczyk „heretyk” Deutscher, nieubłagany pogromca „renegatów”.

Z owej ogromnej reszty „orwellianów” starczy wyłowić do-datek niedzielny do organu włoskiej partii komunistycznej *Unità*, w całości poświęcony 1984. Otwiera go długa rozmowa z Berlinguerem. Powieść Orwella przeczytał w roku 1950, zaraz po ukazaniu się wydania włoskiego. Odnosił się do niej niechętnie, bo w atmosferze „zimnej wojny” państwo opisane przez Orwella uchodziło za metaforę ZSSR, książkę wykorzystywano dla celów propagandy antykomunistycznej i antysowieckiej. Dziś już tak nie jest, dziś na 1984 można spojrzeć z większym poczuciem dystansu. I zobaczyć w negatywnej utopii Orwella... Co mianowicie zobaczyć? Autor wywiadu podsuwa usłudze Berlinguerowi drukowany w tym samym dodatku artykuł Roya Miedwiediewa z oryginalną tezą, że „komputeryzacja” uturuje w ZSSR drogę procesowi liberalizacji, w Ameryce natomiast sprzyja narodzinom Wielkiego Strachu. Inny artykuł w dodatku, pióra wykładowcy literatury amerykańskiej w Salerno, taki właśnie nosi tytuł: *W Ameryce natomiast rodzi się Wielki Strach*. Nieznany mi pisarz angielski Ken Follett zapewnia czytelników dodatku, że w 1984 „Wielkim Bratem był Winston Churchill”. Lewicowy ksiądz i teolog Baget Bozzo stwierdza krótko w tytule swego artykułu: *Orwell bał się Władzy, my boimy się Chaosu*. Co należy chyba interpretować jako pośrednie i ukryte westchnienie do Wielkiego Brata, w duchu napisów jakie zdobyły mury miast włoskich nazajutrz po wojnie: „Przyjdź Wąsалу (tak nazywano wtedy z czułą poufałością Stalina, *Il Baffone*), zrób żelazną miotłą porządek”. Jednym słowem, sami nie wiemy cośmy na kartach powieści Orwella czytali i dalej czytamy... Niedzielny dodatek do *Unità* ustawia rzeczy na właściwych miejscach i przywraca im właściwe proporcje.

3 stycznia

Dwa spostrzeżenia na marginesie kolejnej, „rocznicowej” lektury 1984. Wspomniałem już zdaje się kiedyś w dzienniku, że popełnia się błąd bagatelizując socjalistyczne sympatie Orwella, lub zupełnie je ignorując. Simon Leys kładzie teraz nacisk w *Le Monde* (jego szkic jest fragmentem książki *George Orwell ou l'horreur de la politique*) na wierność autora 1984 ideom czy etosowi socjalizmu. Ma rację. Anty-utopia Orwella byłaby o wiele mniej dramatyczna, gdyby powstała w wyobraźni progra-

mowego przeciwnika socjalizmu. „Utopie wydają się dziś bliższe urzeczywistnienia, niż niegdyś. I stajemy obecnie wobec niepokojącego pytania: jak uniknąć ich ostatecznego urzeczywistnienia?... Utopie są możliwe do urzeczywistnienia. Życie kroczy w kierunku utopii”. W encyklopedycznej rozprawce *Utopia* (Encyklopedia Einaudiego) Bronisław Baczo przytacza to motto z Bierdiajewa w *Nowym wspaniałym świecie* Huxleya, dodając, że mogłoby równie dobrze figurować na tytułowej stronie 1984. Jeśli anty-utopia Orwella jest tak przejmująca, jeśli przesłoniła książkę Huxleya, to w dużej mierze dlatego, że napisał ją człowiek przywiązany głęboko do pewnych mniej lub więcej utopijnych elementów wrażliwości socjalistycznej w obliczu totalitaryzmu urzeczywistnianego w imię socjalizmu.

Większej dramatyczności na płaszczyźnie orwellowskiego idealizmu odpowiada większa dramatyczność na płaszczyźnie czysto pisarskiej, uzyskana dzięki zabiegowi, którego nikt bodaj z piszących o 1984 dotychczas nie zauważył. Orwell opowiada w ramach klasycznych kanonów narracji powieściowej, ale równocześnie, jakby w podtekście bądź niewidocznej drugiej warstwie powieści, odtwarza swój własny koszmarny sen o tym co opowiada. Opisuje realistycznie dzieje Winstona Smitha, Julii, O'Briena i szeregu ubocznych postaci i zarazem śni o nich w męczącym, nieustannie za gardło trzymającym koszmarze. Senny realizm 1984, im bardziej realistyczny tym ostrzej odbity w ciemnym zwierciadle snu, stanowi wielkie osiągnięcie pisarskie Orwella; bałamuctwem są częste wybrzydzenia się życliwych nawet krytyków, że napisał „wybitną książkę” i „słabą powieść”.

5-10 stycznia

A zatem styczniowe zapiski o grudniowych wrażeniach.

Wyprawa do Berlina trwała trzy dni i była równoznaczna z unieruchomieniem na kolokwium, w niemieckich „Oborach” za miastem. Tylko raz, wczesnym ranem, udało mi się wyskoczyć do Berlina na dwie godziny.

Pamięć lubi przechowywać obrazy, w których dostrzegamy (albo tak nam się wydaje) coś emblematycznego. Staliśmy na skraju Tiergarten, po drugiej stronie szosy w kształcie podkowy (przejeżdżały nią wolno i bez zatrzymania autobusy z turystami) odbywała się akurat zmiana warty pod pomnikiem Czerwonej Armii. Mżył deszczyk, cienka skorupa śnieżna topniała w błocie. Ostatni raz widziałem żołnierzy sowieckich w roku 1955, w podzielonym na okupacyjne „zony” Wiedniu. Nie jestem tego

po tylu latach pewien, ale podejrzewam że pomnik berliński nie odbiega zanadto od wiedeńskiego na ówczesnym *Stalinsplatz*. Być może powtarza się na nim również napis *Wieczna pamięć bohaterom Krasnoj Armii*, zakończony słowami *Za swobodu i niezawisłość narodów Jewropy*. Nie widać go z daleka, widać za to dobrze ceremoniał zmiany warty. Wszystkie zmiany warty na świecie są do siebie podobne, w tej jednak uderzyła mnie ołowiana ciężkość drylu: każdy zwrot i krok podkreślał obecność i posiadanie, nieodwracalność takiej *swobody* i takiej *niezawisłości* za plecami wartowników. Musiałbym dłużej posiedzieć w Berlinie, aby wyczuć w powietrzu tę szczególną psychozę lękową kraju wystawionego na sztych, jaką niedawno stosunkowo wyniosłem z wizyty w Bonn.

Stojąc na skraju Tiergarten, nie mogłem nie pomyśleć o jednym z najpiękniejszych dla mnie fragmentów dziennika Gombrowicza. Tak, teraz była zima, błoto, resztki brudnego śniegu, złachmanione niebo, żadnych zapachów, nagie drzewa. A Gombrowicz przechadzał się po Tiergarten w słońcu majowym i naraz dopadły go znajome wonie z Małozyc i Bodzechowa... „już niedaleczko, o miedzę, ta sama natura, zamknął się cykl, powróciłem do tych zapachów, więc śmierć”. Przeżyciem jest na wygnaniu to rzadkie „dopadanie” znaków, ech, cieni przeszłości. Wiele lat temu, w lipcowe popołudnie pochylające się do zmierzchu, szukałem w Civitavecchia śladów siedziby konsula Henri Beyle'a. I nagle, zrezygnowawszy już z poszukiwań w pograżonym w letniej drzemce miasteczku, wśród domów o zamkniętych żaluzjach, gdy gasło stopniowo czerwone słońce, zabrnąłem w wąską ulicę gdzie z dwupiętrowej kamieniczki dobiegały dźwięki fortepianu: jak na cichej ulicy kieleckiej przed oprawionym w zieleń domem, w którym mieszkał mój najbliższy przyjaciel Jurek G. Kilka lat wcześniej, podczas pobytu w Monachium, w okresie alkoholicznych wędrówek od szynku do szynku, znalazłem się któregoś wieczoru kwietniowego na podwórzu starej i dużej kamienicy-„landary”, na podwórzu jakich już dzisiaj pewnie nie ma: pełnym kwaśnych zapachów zupy, świeżo pieczonego chleba, piwa i taniej wódki, krzyków i przekleństw stróża, pyskówki lokatorów, dziecięcych nawoływań, swojskiego harmidru z przedwojennej warszawskiej Pańskiej czy Żelaznej...

Nazywa się to *Portrait of a Dissenter as Soviet Man*, jest natomiast rozmową George'a Urbana z Zinowiewem, jeszcze nie drukowaną, wypożyczoną mi w manuskrypcie przez angielskiego przyjaciela w Paryżu.

Od bardzo dawna usiłuję moich rosyjskich przyjaciół i znajomych przekonać, że książką na miarę *Doktora Żiwago* byłoby *Życie Cwietajewej*. Gdyby powstała taka biografia — napisana z pewnym talentem, lecz przede wszystkim uczciwa, drobiazgową, nawet pedanteryjną w wykorzystaniu całego dostępnego materiału — otrzymalibyśmy dzieje zniszczenia inteligenta rosyjskiego, od rewolucji poprzez emigrację do repatriacji i samobójstwa u progu wojny niemiecko-sowieckiej. Bielinkow posłużył się Oleszą dla pokazania „klęski i kapitulacji inteligenta sowieckiego”. Zinowiewem zajmą się kiedyś badacze następnych pokoleń inteligencji sowieckiej, a przynajmniej tego jej odłamu, który uchodzi za skończony produkt marki *homo sovieticus*.

Z początku zanosilo się na to, że sam Zinowiew sportretuje „nowy typ człowieka sowieckiego”, identyfikując się z nim na tyle tylko, by spojrzenie „od wewnątrz” przeplatało się stale ze spojrzeniem „z boku”. Niezwykłość takich jego książek jak *Przepastne wyżyny* i zwłaszcza znakomita *Świetlana przyszłość* oparta była na grze — przewrotnej, subtelnej, prowokacyjnie zaskakującej — tych dwóch spojrzeń. Zinowiew wchodził w schemat *homososa* i wychodził z niego, ulegał i wyzwalał się, wygłaszał konformistyczne deklaracje i przymrużał ironicznie oko, zonglował po mistrzowsku „ideologią” i jej karykaturą. Maską nie zakrywała nigdy całej twarzy, zostawiała zawsze luz dla wglądu czytelnika. Zinowiew inteligentny, błyskotliwy, wyposażony w diabelską zręczność prześmiewcy, był graczem na śliskim terenie między pokusą kapitulacji i impulsem oporu inteligenta sowieckiego.

Rozmowa z Urbanem ucina brutalnie grę. *Dissenter* występuje jako czysty *soviet man*. Miejsce zonglera i prześmiewcy zajmuje wyznawca systemu, ciężki, toporny, głupi, podobny w swym drylu *homososa* do wartownika pod sowieckim pomnikiem zwycięstwa. Istnieją „obiektywne prawa uniwersalne” komunizmu, tak niewzruszone jak prawo ciężenia Newtona. Można stworzyć „model komputerowy” obywatela sowieckiego i społeczeństwa sowieckiego. Czynniki ludzki? Fakty? I jedno i drugie bez znaczenia wobec „obiektywnych praw uniwersalnych”, które społeczeństwu sowieckiemu zapewniają niezniszczalność do końca ludzkiej historii. Nawet jeśli imperium się rozpadnie, system przetrwa. I przetrwa „człowiek sowiecki”, matematyczny wynik systemu. „Jestem prawdopodobnie jedynym człowiekiem na świecie, który rozwijał własną socjologiczną metodę dla zrozumienia społeczeństwa sowieckiego”. Ba, położył fundamenty pod teorię, która w ciągu dwóch-trzech stuleci stanie się „w pełni naukowa”. Kolektywizacja? Była zasadniczą fazą rewolucji bolszewickiej, bez niej zawałoby się państwo. Piętnaście milionów ofiar?

„Zdarzyło się i koniec”, rolą uczonego jest zajmować się rzeczywistością, a nie wydawać o niej sądy. „Epoka Stalina była wielką w historii ludzkości”, czasy stalinowskie związane są nierozłącznie z rozkwitem idealizmu, oddania, heroizmu. On, Zinowiew, wróciłby natychmiast na katedrę w Moskwie. Gdyby go po powrocie wsadzili do *psychuszki*, uważałby się rzeczywiście za anormalnego (i słusznie hospitalizowanego). Oddałby wszystko co tu zdobył, żeby znowu być członkiem sowieckiego kolektywu. Na Zachodzie chwałą jego książki, rozpisują się o nim, ale nic go to nie obchodzi; uradowałaby go dopiero pochwała kogoś ze Związku Pisarzy Sowieckich. Orwell miał rację: gdy się raz jest sowieckim człowiekiem, to już na zawsze. Na zakończenie polonik: większość Polaków akceptuje obecny system.

Czy to wszystko oznacza, że *homo sovieticus*, na wieki już ukształtowany, pokonał w Zinowiewie bunt swobodnej jednostki ludzkiej? Nie sądzę. Oznacza raczej, że syn marnotrawny zateęsknił do swojej katedry w Moskwie i — kto wie, kto wie — może nawet, po należytej weryfikacji „ideologicznej” i kwarantannie „psychiatrycznej” — do miejsca opróżnionego wreszcie któregoś dnia przez zmarłego Sacharowa w dostojnym „kolektywie” Akademii Nauk. Do następców Zinowiewa, w kolejnym okresie „świełlanej przyszłości”, należy napisanie o nim książki *Przepastne niziny*.

Podczas swojej młodzieńczej podróży umbryjsko-toskańskiej Camus rozmyślał o powieści, której bohater leczy się z niepokojów, cierpień i rozdarć duchowych samą tylko długą kontemplacją pejzażu. O leczniczych czy balsamicznych właściwościach krajobrazu trzeba zapomnieć, oglądając Turnera. Nie jego jeden obraz tu, dwa obrazy tam, jak mi się dotychczas w muzeach i galeriach przygodnie trafiało, ale Turnera na wielkiej wystawie, na skalę obecnej paryskiej, jak sam za życia wciąż zalecał: „Oglądajcie moje płótna razem, w przeciwnym wypadku nie służą do niczego”. A do czego „służą”, gdy się je „ogląda razem”? Do odkrycia wielkiego dramaturga pejzażu, wielkiego malarza zapatrzonego w codziennie zmienny i wiecznie niezmienny dramat natury. Zdawkowe i postne są przyklejane mu etykiety w rodzaju „ojca impresjonizmu”, „pierwszego abstrakcjonisty”, „romantycznego wizjonera”. Był poetą (mawiał, że malarstwo istnieje tylko jako poezja) kronik natury, w takim prawie sensie, jaki nadajemy pojęciu kronik historycznych. Burze, śnieżyce, lawiny, powodzie, nawałnice morskie, mgły, pożary, roz pogodzenia, bukoliczne sceny: cykliczne obroty natury, nie tło lecz pierwszy

plan obrotów ludzkiej historii. Ludzi dotrzągał kątem oka, na marginesie, z chłodną obojętnością. Zdaje się, że nie namalował w życiu ani jednego portretu (poza autoportretem). Studiował i podglądał wielkich mistrzów, aby ich w końcu wszystkich odrzucić. Chciał pozostać sam na sam z Działem Stworzenia. Dwie wspaniałe pinie w Baia pod Neapolem, które królują nad mitologicznymi figurkami. Mgła owijająca śmiertelnym całunem Wenecję. Majstersztyk czerni w *Pogrzebie na morzu*. Ruskin uważał go za największego pejzażystę wszystkich czasów. „Pejzażysta” brzmi zbyt mdło w stosunku do Turnera. Pejzażyści (bez żadnego odcienia pejoratywnego) uciszają burze w ludzkich sercach kontemplacją krajobrazu, Turner przypomina człowiekowi jego małość i kruchość w obliczu natury.

◆

Bezczasowość, jak gdyby zaświatowość w obrębie świata, manekinowe kompozycje, z których wypompowano powietrze. To najbardziej uderzyło mnie w „ulicach” Balthusa. Nie materia snów, lecz zielnik pamięci, obrazów umarłych i zasuszonych, a równocześnie wyszlachetnionych i oczyszczonych w swojej martwocie. Nudnawe i dość manieryczne stają się w końcu „dziewczynki” Balthusa, drętwe na ogół są jego pejzaże; za to „ulice” mają w sobie zagadkową siłę fascynacji. W pobliskich rejonach, choć inaczej, działała wyobraźnia Brunona Schulza. Zatrzymać chwilę, zanim oddali się i zblednie we wspomnieniu, a zaraz po osiągnięciu pełni wyrazu w rzeczywistości. W tym krótkim odstępie, gdy wyłamuje się z biegu czasu i świata, trwa w bezruchu sama dla siebie.

17 stycznia

Interesujący i żywy miesięcznik *Więź* poświęcił ostatni numer literaturze emigracyjnej. Znalazło się w nim miejsce i dla fragmentów mojego dziennika, naturalnie dobranych tak, by nie zatrzymały czytelników jadami z „wrogiego obozu”. Takie są „koszty operacji”, trzeba je przyjąć z wdzięcznością dla redaktorów numeru. Ale nawet w tych nietrujących fragmentach oko autora odkrywa ingerencje cenzury, mniej może zauważalne dla kogoś, kto nie zawsze wie jak traktować dyskretne wielokropek w nawiasie. Pierwsza ingerencja jest zrozumiała, bo w inkryminowanym fragmencie mowa o „nożycach cenzorskich”: trudno ostatecznie wymagać od nożyc prawdziwych pobłażliwości dla nożyc opisanych; trafiły nożyce na nożyce, z nieuchronnym skut-

kiem. Dziwniejsza jest druga ingerencja. Fragment przeciwstawia Tołstoja Dostojewskiemu, zawiera opinie Bölla, Canettiego i Kafki, kończy się taką moją uwagą, która zgorszyła cenzora i wprawiła w ruch jego nożyce: „Współcześni Rosjanie zaczynają się w Dostojewskim, nie ma potrzeby wyjaśniać dlaczego. Ale odkrywają jeszcze na nowo Tołstoja, po zajrzeniu w grząską przepaść zatęsknią do jakiegoś przynajmniej punktu trwałego i jasnego, do śmiałego, boskiego aktu ludzkiej pełni i wolności. Winston Smith z *Roku 1984*, olśniony snem o takim symbolicznym akcie, budzi się z imieniem Szekspira na ustach”.

Ciekawa byłaby próba wnikięcia w zwoje mózgowie (jeżeli istnieją) stróża prawomyślności z ulicy Mysiej. Czyżby zmarszczył odruchowo brwi na widok *Roku 1984* w tekście? Chyba nie, skoro wiadomo już, że w podejrzanej kiedyś niesłusznie powieści odmalowane są udreki pewnego Anglika pod rządami Winstona Churchilla, z futurologicznym przerzutem do Ameryki. A może spochmurniał i zasepił się, węsząc coś niestosownego w postulacie renesansu Tołstoja kosztem Dostojewskiego? Też chyba nie, skoro podobne preferencje (choć z innych względów) ma oficjalna krytyka sowiecka. A zatem? Smętna to możliwość, ale niestety jedyna: nic Polakom do współczesnych Rosjan, niech nie wścibiają w ogóle nosa w zawite problemy naszego potężnego sąsiada i sojusznika.

26 stycznia

Na pozór żartem, w rzeczywistości całkiem na serio, wspominałem kiedyś w dzienniku o wartości poznawczej amerykańskich filmów gangsterskich. Oglądam je od wielu lat z dużym dla siebie pożytkiem, ilekroć nadarza się po temu okazja, żeby wzbogacić i pogłębić moją wiedzę z zakresu tzw. „sowieologii”. Okazuje się teraz, że mam bratnią duszę. W ogromnym tomie *A History of the Modern World* Paul Johnson odwołuje się często do „syndromu gangsterskiego” w opisie powstawania i rozwoju systemu sowieckiego. Powiada na przykład: „Trocki, który po swoim upadku zaprezentował się jako wyznawca demokracji partyjnej i którego na pomniku postawił jego zwolennik i hagiograf Deutscher jako uosobienie wszystkiego co najszlachetniejsze w ruchu bolszewickim, nie był nigdy niczym więcej niż wyrafinowanym (*sophisticated*) gangsterem politycznym”. W ostatecznej rozgrywce ze Stalinem popełnił jednak „błędy fatalne dla gangstera, który z pozycji mafii nie może apelować do szerszego ogółu”. Albo: „Mołotow został wysłany do Leningradu z druzyną partyjnych oprychów w celu rozbicia i przejęcia aparatu

partyjnego Zinowiewa — takimi samymi w zasadzie metodami, lecz na większą skalę, jakimi w tym samym czasie posłużył się Al Capone dla rozszerzenia swego terytorium w Chicago". Oto historyk trzeźwy, uodporniony na subtelności biegłych w „ideokracji”. Johnson też, podobnie jak Weissberg-Cybulski i ja, za „bardzo daleką od prawdy” uważa „błyskotliwą powieść” Koestlera *Ciemność w południe*. Myli się tylko, utożsamiając nagi gangsterizm z mafią. Mafia — w miarę stabilna, rozgałęziona i zakorzeniona — jest wyższym stadium organizacyjnym i dojralszą formą społeczną nagiego gangsterizmu. Cechy mafii, oplątującej i zżerającej chory organizm społeczny, posiada współczesny sowietyzm; nagi gangsterizm dominował w jego heroicznym *Sturm und Drang Periode* pod znakiem Lenina-Trockiego-Stalina.

1 lutego

W *Vita prima di San Francesco d'Assisi* (istnieje także *Vita seconda*) Tommaso da Celano pisze: „W tym okresie ciało jego dręczyły zaczęły różne i gwałtowne choroby”. Tomasz z Celano nie podaje daty, ale chodzi na pewno o rok 1224. Dość dokładnie przez historyków zestawiona tablica chronologiczna odnotowuje widzenie brata Eliasza w Foligno, latem 1224, z zapowiedzią rychłej śmierci brata Franciszka: pozostały mu zaledwie dwa lata życia. Wśród „różnych i gwałtownych chorób” najdotkliwsze było zapalenie oczu, wyniesione z pobytu w Egipcie i Palestynie. W marcu 1225, ulegając w San Damiano błaganiom brata Eliasza, zgodził się poddać oględzinom lekarskim i bolesnej kuracji. Nie dała wyników, było już za późno. Tracił wzrok, ogarniała go powoli ciemność. W maju ponowiono kurację, z zastosowaniem boleśniejszych jeszcze zabiegów, jak nacinanie żył i wypalanie gorącym żelazem w głowie miejsc uważanych za źródło choroby oczu. Wytrzymał to dobrze, zdumiał chirurga dziękczynną inwokacją do rozżarzonych narzędzi operacji. I tutaj tablica chronologiczna zatrzymuje się na pooperacyjnej „nocy utraipien”, *una notte di tribolazioni*, bez wnikania w szczegóły. Dla piszących o Świętym z Asyżu ta noc jest ważna. Uświadomił sobie wtedy nieodwracalność ślepoty, może nawet wchodził już po omacku w noc wieczną, gdzie czarne plamy miały zlać się w czerń jednolitą, nie ożywioną żadnymi chwiejnymi cieniami. Jest też ważna ta noc i dlatego jeszcze, że nazajutrz rano, wymęczony i niezdolny do podniesienia się z legowiska, podyktował jednemu z braci *Cantico di frate Sole*.

W pochwalę wszelkiego stworzenia o Słońcu mówi Franci-

szek nie tylko „brat”, lecz i „pan”: *messer lo frate Sole*. „Siostrą” jest Księżyc, *sora Luna*, „braćmi” są Wiatr i Ogień, „siostrą” jest Woda, „siostrą” także (i dodatkowo „matką”) Ziemia. Zamyka *Cantico* ostatnia „siostra”: *sora nostra Morte corporale*. Wolno nazwać *Cantico* hymnem na cześć Światła Dziennego, ułożonym u progu najdłuższej nocy, nocy rozstawania się z nim na zawsze.

Czytam we wstępie do nowego wydania pism Świętego z Asyżu i jego *Żywotów*, że kto wie czy w *Cantico* nie była ukryta pośrednia „odpowiedź niepolemiczna” na *De contemptu mundi* papieża Innocentego III, którego zresztą Franciszek kochał i czcił. W mojej „opowieści średniowiecznej” *Drugie Przyjście* przewija się wątek Innocentego III, inicjatora Czwartej Krucjaty, właśnie jako młodocianego diakona i autora diatriby przepojonych „pogardą do świata” i lamentem nad „nędzą ludzkiej kondycji”, ze strasznym okrzykiem: „Biada wam, biada, biada, żalotne matki, które wydałyście na świat tak nieszczęsnych synów!”. I wyznaję, że bliski mi jest obraz Franciszka, któremu dźwięczy w uszach daleki odgłos tego „Biada!” podczas nocnego, przerywanego może cichym jękiem i łkaniem, pożegnania w zachwycie z *messer lo frate Sole*.

3 lutego

W roku 1348 wybuchła w Europie dżuma. Po pierwszych kilku miesiącach „czarnego żniwa”, jesienią tego roku, przyjął się pogląd, że wywołali dżumę Żydzi, aby zdziesiątkować chrześcijan. Spisek narodził się jakoby w Toledo, a za jego głównego reżysera uznano rabina Peyret z Chambéry. 10 października aresztowano w Châtel i poddano torturom Agimeta, genewskiego Żyda. Zeznał co następuje. Bogaty kupiec De Ranz postanowił wysłać go do Wenecji celem zakupu jedwabiu i innych towarów. Dowiedział się o tym rabin Peyret i wezwał Agimeta do Chambéry. Wręczył mu woreczek specjalnej trucizny, z poleceniem wspywania jej do napotykanych w podróży studni, obiecując za trud i związane z nim niebezpieczeństwa wysokie wynagrodzenie w złocie. Agimet wykonał powierzone mu zadanie, najpierw w Wenecji, potem w Kalabrii i Apulii, wreszcie w Tuluzie. Nie usiłowano podczas tortur wydobyć z niego żadnych szczegółów; dla przesłuchujących było oczywiste, że po każdorazowym zatruciu studni na trasie podróży musiał jechać czym prędzej dalej. Zapytano go tylko, czy korzystał z pomocy współwynawców w odwiedzanych miastach. Odpowiedział milczeniem i zadowolono się tą odpowiedzią. W zeznaniu Agimeta chodziło o samą zbrod-

nię, jej okoliczności były nieistotne a zapewne i niewygodne, zważywszy, że żydowski posiew dżumy nie oszczędzał przecież Żydów w rejonach objętych epidemią. Kronikarz nie podaje wyroku na Agimeta i milczy o losach rabina z Chambéry.

W roku 1568 torturowano długo Elvirę del Campo przed trybunałem Świętej Inkwizycji w Toledo. Pochodziła od strony matki z rodziny *marranos*, jej ojciec i mąż byli „czystymi” chrześcijanami. Aresztowano ją i postawiono w stan oskarżenia na podstawie donosów służby domowej i sąsiadów: była co prawda niewiastą zacną i pobożną, regularnie chodziła na mszę, spowiadała się i komunikowała, ale nie jadała świniny i w każdą sobotę kładła na stole świeży biały obrus. Uprawiała więc „praktyki żydowskie”. Przyznała się do nich natychmiast, wyjaśniając że jako małej dziewczynce tak przykazała jej postępować matka. Natomiast nie umiała odpowiedzieć na ponawiane ciągle pytanie przesłuchujących, jakim jeszcze „prawom mojżeszowym” była w sekrecie posłuszna. Prawdopodobnie ich nie znała, bo wśród okrzyków bólu w trakcie nasilanych tortur błagała prawie inkwizytorów, by jej podpowiedzieli, co ma odpowiedzieć. Chcieli jednak od niej usłyszeć samodzielne, pełne i szczegółowe zeznanie. Skończyło się, u kresu jej wytrzymałości, na ogólnej deklaracji krypto-judaizmu. Skazano ją na publiczne wyrzeczenie się herezji wraz z aktem skruchy, na trzy lata więzienia w żółtym *sanbenito* z naszytymi krzyżami i na konfiskatę mienia.

Przeniesione w naszą epokę, oba modele znajdują swoje odpowiedniki „ideologiczne”: pierwszy kojarzy się ze „spiskiem syjonistycznym”, czyli z podstępными działaniami wroga otwartego; drugi z „dywersją trockistowską”, czyli z krecią robotą wroga zamaskowanego.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Żydzi i Polacy dzisiaj

Zacznę *in medias res*, a więc pozornie nie na temat. Na jednym z dostępnych memu telewizorowi kanałów od kilku tygodni pokazywany jest amerykański serial pt. „Wichry wojny” (*The Winds of War*, według powieści pod tym samym tytułem Hermana Wouka). Bardzo ciekawe informacje na temat stanowiska Wouka wobec tego serialu i innych spraw z tym związanych podał w ostatnim numerze *Kultury* (nr 1/436-2/437 z 1984 r.) Józef Garliński i polecam czytelnikom tego artykułu zapoznanie się z nimi, bo wiążą się ściśle z moim tematem.

Oglądam ten serial dość niesystematycznie, ponieważ jest kiczem jeszcze gorszym od „Dallas”, zwłaszcza w partiach „towarzyskich i uczuciowych”, a ponadto występuje w nim niejaka p. Ali Mac Graw i gra rolę aroganckiej amerykańskiej idiotki tak przekonywująco, że nie mogę na nią patrzeć. Oglądam jednak niektóre odcinki, ponieważ pokazywane są w nich m.in. samoloty i okręty wojenne w akcji czyli rzeczy, na które większość mężczyzn patrzy z przyjemnością (w kinie lub TV, oczywiście; moim faworytem są łodzie podwodne). Słyszałem, że serial ma akcenty antypolskie, ale sam ich nie dostrzegałem — do przedwczoraj. Dla czytelników nie znających „Wichrów wojny” podam, że jest to rodzaj historii drugiej wojny światowej. Jej węzłowe momenty oglądane są tu oczyma kilku osób należących do tej samej rodziny. Głównym bohaterem jest komandor amerykański, który jako swego rodzaju prywatny informator prezydenta Roosevelta wysyłany jest w różnych misjach w co ciekawsze dla tematu miejsca. Rzecz ułożona jest chronologicznie.

Przedwczorajszy odcinek ukazywał sytuację na przełomie

1940/1941, przed wejściem USA i Związku Sowieckiego do wojny i przed rozpoczęciem akcji eksterminowania Żydów przez Hitlera. Odcinek zawierał dłuższą sekwencję morską z łodziami podwodnymi i kontrtorpedowcami i nie było w nim pani Mac Graw, oglądałem więc rzecz z przyjemnością — do momentu, gdy akcja przeniosła się do siedziby Hitlera w Berchtesgaden. Akcja ta wygląda następująco: odbywa się przyjęcie. Führera zawiadamiają, że przybył „główny gość”, mianowicie Heinrich Himmler. Hitler wychodzi mu na spotkanie. Na ustronnym tarasie odbywa się poufna rozmowa. Chodzi o organizację akcji mordowania Żydów na zajętych terenach wschodnich (pamiętajmy, że w tym momencie granica niemiecko-sowiecka wzdłuż Bugu jest jeszcze „granica przyjaźni”). Himmler raportuje, że *Einatzkommando* złożone z ludzi sprawdzonych przez niego osobiście jest już sformowane. Dorzuca, że ludzie ci będą tylko organizatorami, bo praktyczną stronę (tzn. mordowanie w sensie technicznym) wykonają ochotnicy z terenów okupowanych. Tutaj dodaje: „Przeprowadziliśmy na ten temat dyskretną ankietę w Polsce i dała ona *baaardzo* obiecujące rezultaty”. W tym miejscu niemal obliczuje się z zachwytem. Puente, w chwilę potem koniec odcinka.

Serial jest chałą, ale sprawa nie jest błaha i warta jest poematu, a co najmniej artykułu. Serial ten oglądają dziesiątki jeśli nie setki milionów ludzi na mniej więcej połowie kuli ziemskiej. Oglądając uczą się historii, a raczej tego co twórcy tego filmu podają jako historię. Dla większości widzów jest to jedyne zetknięcie z obrazem ostatniej wojny i obraz ten pozostaje w ich pamięci na zawsze w postaci stereotypów, których nic już nie zmieni. Stereotypy te mogą niekiedy wpłynąć na ich zachowanie, np. na sposób traktowania ludzi należących do określonych grup narodowych (a więc i Polaków). Sprawa szkalowania narodu polskiego jako zbiorowości krwiożerczych antysemitów, którzy wykonali za Hitlera to, co on tylko zaplanował na papierze, ma więc także aspekt praktyczny, choć nie on jest tu najważniejszy. Najważniejsze jest to, że obraz zasugerowany scenką jak ta, którą tu opisałem jest kłamstwem czyli spaceniem rzeczywistego stanu rzeczy, czyli złem samym w sobie. Ponadto kłamstwo to uwłacza pamięci tych wszystkich Polaków, którzy w jakiegokolwiek formie pomogli, starali się pomóc czy chociażby — nie będąc w stanie lub nie mając dość odwagi, by czynnie pomóc — współczuli swym prześladowanym przez politycznych bandytów współrodakom. W liczbie wyżej wymienionych osób znajdowali się moi rodzice i z tej racji poczułem się osobiście znieważony przez autorów/realizatorów/scenarzystów opisanego odcinka „Wichrów wojny”. Dodało mi to energii, by napisać ten artykuł, ale

względem osobiste nie są jego główną siłą napędową. Temat który tu poruszam chodzi mi po głowie od dawna.

Sprawa „Żydzi — Polacy” jest rodzajem tabu dla strony polskiej. Na to, by dotykać tabu należy mieć ważne powody i uprawnienia moralne. Te ostatnie można by nazwać nieco pompatycznie czystymi intencjami i czystymi rękoma. Uważam, że mam ważny powód dotknięcia wspomnianego tabu i że mam wymagane uprawnienia. Zaczę od tej drugiej sprawy, a ściślej od rąk. Muszę w związku z tym napisać kilka słów o sobie. Czynię to nie przez egotyzm, bo szczerze nie uważam siebie ani mych losów za zjawiska interesujące dla osób postronnych, ale dlatego, że czytelnik tego artykułu ma prawo wiedzieć z kim zaczął ma przyjemność lub też nieprzyjemność obcować intelektualnie.

Gdy zaczęła się wojna miałem 6 lat. Byłem więc w ciągu jej trwania tylko przedmiotem, a nie podmiotem jakiegokolwiek działania, ale byłem przedmiotem już świadomym i tamte sprawy są częścią mojej dzisiejszej, dorosłej osobowości. Podmiotowość — z uwagi na naturę owych czasów bardzo ograniczoną — mieli moi rodzice jako dorośli. W praktyce podmiotowość ich wyrażać się mogła jedynie nieprzykładaniem ręki do zła i czynieniem tyle dobra, na ile pozwalały okoliczności. Okoliczności pozwalały na niewiele, ponieważ zostaliśmy na jesieni 1939 roku wysiedleni z Wielkopolski do tzw. GG i spędziliśmy tam wojnę przygarńnięci przez dobrych ludzi, którzy sami następnie zostali wygnani z domu w 1945 roku przez komunistów. Moi rodzice byli normalnymi, tzn. porządnymi i ciężko pracującymi ludźmi, więc i w wojennych warunkach świadczyli bliźnim — w tym więc i Żydom — tyle dobra, na ile ich było stać.

Gdy z wioski, w której mieszkaliśmy zgarnięto w ciągu jednego dnia wszystkich Żydów, zamknięto pod gołym niebem za ogrodzeniem z drutu kolczastego, a po kilku dniach popędzono na dworzec do formującego się transportu — wiedzieliśmy, że ci ludzie idą na śmierć. Do dziś mam w oczach taki obraz: mały chłopiec (ja) patrzy przez furtkę na drogę, którą wolno ciągnie pochod zabiedzonych, objuczonych mizernym dobytkiem ludzi; pochod prowadzony jest przez niemieckich żandarmów z karabinami w rękach, a chłopiec (ja) wie, że ci ludzie idą na śmierć. Na pytanie: „co mógł w tej sytuacji zrobić chłopiec czy choćby jego dorośli rodzice, aby tym ludziom pomóc?”, odpowiedź jest prosta: „nic”. Ściślej: prawie nic, bo rodzice chłopca zrobili niejedno, ale nie o tym chcę pisać. Wspominam o tym dlatego, że ów obraz pochodów ludzi skazanych za nic na śmierć został mi w pamięci na całe życie i jest częścią mego systemu motywacyjnego, czy jak tam nazywa się zbiór odruchów, kierujących decyzjami i tzw. nastawieniem do świata. Obraz ten w części przy-

czynił się do tego, że stałem się w wiele lat później emigrantem. Byłem w dalekim, egzotycznym kraju, gdy zaczęła się marcową nagonka na Żydów (pomiędzy innymi). Wiedziałem o tym z prasy i w pewnym momencie uznałem, że dobrowolny powrót do takiego państwa byłby swego rodzaju akceptacją tego, co się tam dzieje, a więc i owej nagonki. Akceptacja zaś była w niezgodzie z obrazem. Nie twierdzę, że był to jedyny motyw mojej ówczesnej decyzji (której później nieraz żałowałem, ale to inny temat), twierdząc jednak, że obraz utrwalaony przed wielu laty w pamięci małego chłopca (mnie) odegrał w tym dużą rolę.

Dorzucę jeszcze kilka uwag do pod-tematu „ja i Żydzi”, ponieważ jest niezbędnym wstępem do głównego tematu, czyli sprawy zaznaczonej w tytule tego artykułu. „Niezbędnym”, ponieważ uważam, że ma się prawo występować w jakiegokolwiek sprawie właściwie tylko we własnym imieniu. „My” — to często już uzurpacja. Jeśli więc piszę „ja i Żydzi”, to owo „ja” nie jest wyrazem megalomanii, tylko uczciwości pióra. Otóż dla mnie termin „Żyd” ma charakter raczej funkcjonalny, niż genetyczny (a już tym mniej „rasowy”, ponieważ rasy są tylko trzy: biała, czarna i żółta, a Żydzi należą do białej tak jak ja). Chcę przez to powiedzieć, że za Żyda uważam człowieka, który np. uczęszcza do synagogi, daje swego syna obrzezać i/lub mówi w yiddisz lub po hebrajsku. Człowieka, który mówi po polsku jak ja, należy do tej samej kultury literacko-obyczajowo-historycznej co ja i po czuwa się do solidarności z moim narodem uważam za Polaka, także w wypadku jeśli nazywa się np. Abraham Zylbersztajn i Niemcy wymordowali mu całą rodzinę w czasie wojny. Innymi słowy termin „Żyd” ma dla mnie raczej ten status, co termin „szachista”, a nie ten co określenie „koń”.

Żydzi mieszkali w Polsce przez 600 lat i wielu z nich niewątpliwie spolszczyło się w tym sensie, że porzucili mozaizm i yiddisz i ich potomstwo stanowiło już funkcjonalnych „rdzennych Polaków”. Ponieważ niewiele tylko osób zna dziś swą genealogię aż do XIV wieku wstecz, prawie żaden „rdzenny Polak” nie może być pewny, czy jego przodkowie nie byli Żydami. Genetyczne stanowisko prowadzi więc (poza innymi względami) do potencjalnych paradoksów tego rodzaju, że ktoś kto jest „antysemity genetycznym” sam jest z pochodzenia Żydem, a więc jest przeciwko sobie samemu, choć o tym nie wie.

Nie lubię paradoksów w myśleniu i z tego choćby powodu nie jestem antysemitą. Dodam, że nie jestem też filosemitą, ponieważ cały ten problem dla mnie nie istnieje. Jednych Żydów lubię, a innych nie, wolno mi. O tych, których nie lubię napiszę poniżej.

Ten przydługi wywód miał na celu wykręcenie zapalnika

z bombki (bombka to współczesna odmiana tabu, wybuchającego w ręku tym, którzy nie umieją się z nim obchodzić), jaką stanowi automatyczny zarzut „jesteś antysemitą!” wobec każdego, kto poruszy traktowany tu temat od strony polskiej i zgłosi np. zastrzeżenia co do bezstronności i uczciwości takich seriali jak „Wichry wojny” czy „Holocaust”. Otóż twierdzę, nie będąc antysemitą, że intencje ich są nieuczciwe.

Jest to w najlepszym razie uleganie lub schlebienie rozpowszechnionemu już stereotypowi „Pologne = antisémitisme” (napis taki, zrobiony niezmywalną farbą, na murze starych koszar w pobliżu mego domu pojawił się kilka lat temu w czasie wyświetlania serialu „Holocaust” w lokalnej telewizji i widnieje do dziś; przyglądam mu się z zadumą w czasie każdego spaceru w tamtą stronę). W gorszych wypadkach jest to tani sposób upuszczania swych urazów i nienawiści. „Tani”, ponieważ wiadomo, że Polacy nie mogą oddać wet za wet. Są jedną z nielicznych na świecie grup narodowościowych, która nie ma żadnego liczącego się przedstawicielstwa (bo kto? „rząd” PRL? niezliczone i skłócone wzajemnie komitety i komiteciki na emigracji?!), żadnej wpływowej *lobby*, ani nawet (chwała Bogu!) żadnych terrorystycznych bojówek, które to formy wspólnej sprawy mogłyby „antypolonistom” zrobić jakieś kuku, a zatem zmusiłyby ich do pewnego zastanowienia i ostrożności. Kilka lat temu, recenzując na tym miejscu (*Kultura* nr 1/352-2/353 z 1977 r.) historyczne antypolską książkę pani R. Heller Stone (Amerykanki) o Leśmianie, zwróciłem uwagę na to, że autorka nie odważyłaby się napisać książki w takim tonie (i z taką masą błędów rzeczowych — wykaz na życzenie) ani o Murzynach, ani o Hindusach (nie mówiąc już o Żydach), ponieważ kosztowałyby ją to karierę uniwersytecką.

Użyłem powyżej trzech terminów: „stereotypy”, „urazy” i „nienawiść”. Zajmę się nimi kolejno, zaczynając od urazów. Celem tego artykułu nie jest rozważanie *habet* i *debet* stron polskiej i żydowskiej, tylko analiza zjawiska, które istnieje i jest niekorzystne dla obu stron. Sianie niezgody nie prowadzi do niczego dobrego. Dlatego uraza Żydów do Polski i Polaków, którą mogę w wielu wypadkach zrozumieć, winna być mimo wszystko trzymana w ryzach. Nietrzymanie jej w ryzach zwiększa niezgodę i umacnia szkodliwe stereotypy.

Do takich stereotypów należy rozpowszechnione już na świecie przekonanie nie tylko, że większość Polaków to eks-szmalcownicy i kaci, ale także, że w czasie okupacji w Polsce cierpieli i ginęli wyłącznie Żydzi, Polakom natomiast wiodło się niemal świetnie. Wielu moich miejscowych znajomych z niedowierza-

niem przyjmuje informację, że w Oświęcimiu ginęli także Polacy. Nie chodzi tu o licytację na cierpienia, tylko znów o „proste” wypaczenie prawdy. Prawda zaś była taka, że Polacy istotnie w czasie okupacji mieli sytuację lepszą od Żydów, ale „lepszą” w tym sensie, w jakim lepiej jest być chorym na tyfus niż na dżumę. Polak miał szansę przeżycia dziewięć na dziesięć (zginęły trzy miliony „rdzennych Polaków” na trzydzieści milionów), Żyd — jedną szansę na dziesiątki tysięcy. Rozdział szans był bardzo nierówny, to prawda, ale to jeszcze nie znaczy, że było „świetnie”. Dziewięć na dziesięć to też jest coś: rosyjska ruletka przy pomocy nagana z trochę większym bębenkiem. Szanse zresztą by się wyrównały, gdyby Hitler miał więcej czasu. Nie tylko moi rodzice, ale także ów mały chłopiec przy furtce (ja) dobrze o tym wiedzieliśmy, nie wiedzieliśmy natomiast zupełnie ile Hitler będzie miał czasu. To wiadomo dopiero teraz.

Powiedziałbym nawet, że szczególnie dobrze wiadomo to teraz nad jakimś hollywoodzkim basenem w zacisznym ogrodzie, gdzie dwa-trzy lata temu zebrało się zapewne kilku panów, w większości przypuszczalnie urodzonych już po wojnie i to po dobrej stronie oceanu i zaczęło się zastanawiać, czym by tu jeszcze okraszyć scenariusz „Wichrów” Wouka. Rezultat ich namysłów widziałem przedwczoraj — a wraz ze mną parę milionów ludzi, którzy tyle będą wiedzieli o Polsce, ile im ci panowie powiedzieli. Kim są ci — i inni — panowie, a także, *pardon*, panie?

Jest wśród nich sporo Żydów amerykańskich. Sam mieszkałem w Ameryce dość krótko, ale wiem od znajomych (m.in. znajomych pochodzenia żydowskiego w sensie funkcjonalnym), którzy spędzili w Stanach Zjednoczonych długie lata, że niechęć czy wręcz nienawiść do Polski i Polaków jest postawą bardzo wśród amerykańskich Żydów (zwłaszcza tych pochodzących z Niemiec) rozpowszechnioną. Niekiedy jest ona także rozpowszechniana, m.in. w postaci broszurek z *Polish jokes*. Ale to jeszcze nie wszyscy panowie i panie. Polska jako Ciemnogród zaludniony przez głupich i brudnych antysemitów, bigotów lub/i faszystów stała się obecnie częścią lewicowego schematu na Zachodzie. Antypolonizm jest więc już nie tylko łatwym i na nic nie narażającym wentylem urazów i uprzedzeń, ale także oznaką postawy „postępowej”. *Utile cum dulci*.

Co myślę o lewicowcach, napisałem dwa lata temu na tymże miejscu w artykule „O lewicy” (*Kultura* nr 5/416, 1982). Nie zmieniłem zdania, więc nie ma właściwie potrzeby wracać do tego tematu. Na użytek jednak czytelników, którzy tamtego artykułu nie znają lub nie pamiętają, przypomnę jego główną tezę: lewicowość jest nienawiścią, przebierającą się w piękne pozory (pokój, sprawiedliwość, równość płci i ras, kwiatki, czyste

powietrze, te rzeczy), jest więc bardzo atrakcyjna dla ludzi sfrustrowanych. Ponieważ frustracja jest wynikiem zawiedzionych ambicji, ofiarą jej zazwyczaj padają albo ludzie ambitni lecz niezdolni, albo też zdolni, ale mający bardzo wysokie ambicje, np. władzy czy choćby „przywództwa duchowego”. Nic dziwnego więc, że lewicowość jest tak rozpowszechniona na Zachodzie wśród ludzi należących do intelektualnej „klasy średniej” (dziennikarze, nauczyciele, personel uniwersytecki, ostatnio też kler).

Ponieważ właściwym tworzywem lewicowości jest nienawiść, potrzebni jej są wrogowie, którzy są wszystkim winni. I tutaj „antysemitka, faszystowska Polska” znakomicie spełnia swoją rolę, obok Chile, CIA, rakiet (zachodnich oczywiście), Izraela... Tu ktoś mi przerwie, twierdząc, że się zapędziłem, bo jakże to: antysemitka Polska i semicki Izrael w jednym szeregu wrogów „postępu”? Odpowiem, że mój oponent nie rozumie lewicowej „dialektyki”: Polska jest zła, bo jest antysemitka, OK? Izrael jest zły, bo jest antypalestyński, OK? Gdzie sprzeczność? Nie ma sprzeczności, OK?! OK. I tak plucie na Polaków nabiera cech zabawy nie tylko przyjemnej, ale i pożytecznej.

Piszę to wszystko nie w celu roztkliwiania się nad naszym losem, tylko z zamiarem zaproponowania środków zaradczych. Uważam, że cierpliwe znoszenie tej sytuacji nie tylko ubliża mojej godności osobistej, ale jest także tolerowaniem zła w sensie głębszym. Sianie niezgody i nienawiści zawsze mści się w końcu na wszystkich uczestnikach zabawy, zarówno gonionych jak i goniących.

Z racji braku jakiegos przedstawięstwa serio dla sprawy polskiej, nie widzę możliwości akcji grupowej. Wszystkie uchwały typu „my, zebrani, protestujemy przeciw...”, etc. są bezskuteczne i niepoważne, ponieważ nie mają żadnej sankcji. Można by i należało stworzyć polską organizację tego typu, co istniejąca w USA żydowska *Anti-Defamation League*, która nie protestuje, tylko przyciska szkalujących pismaków do muru, wytacza procesy o zniesławienie, ma dokumentację na temat kto, gdzie i za czyje pieniądze wyprodukował jakiś paszkwil i w ogóle *means business*. Tu jest piękne pole do popisu dla amerykańskiej Polonii, która jest najliczniejsza, ma (a przynajmniej powinna mieć) najwięcej pieniędzy i jest główną ofiarą dyskryminacji. Piękne pole, ale — szczerze mówiąc — wątpię, czy na nim wiele wyrośnie i w tej chwili na to nie liczę w ogóle. Liczę tylko na akcje indywidualne.

Idea, którą sam mam zamiar realizować w miarę możliwości i innym polecam jest taka: należy bojkotować osoby lub/i instytucje, o których na pewno wiadomo, że przyczyniły się do zniesławienia Polski i Polaków i nie zrobiły niczego, by to później od-

wołać czy w inny sposób złagodzić skutki wyrządzonego zła. Osoby te i instytucje należy w formie uprzejmej, lecz jasnej i zdecydowanej informować o powodach bojkotu. Jest to ta sama metoda, którą (w nędznym wykonaniu) zastosował Zachód wobec Sowietów w 1980 roku na olimpiadzie w Moskwie, po inwazji Afganistanu. Idea była dobra, wykonanie kiepskie, ale wrażenie to jednak zrobiło i brak np. reprezentacji amerykańskiej bardzo wpłynął na ciężar gatunkowy całej olimpiady.

Kluczem do proponowanej tu akcji jest właśnie słowo „ciężar gatunkowy”. Jest oczywiste, że bojkot wywiera pewien skutek tylko wówczas, gdy strona bojkotująca coś znaczy dla strony bojkotowanej i puste krzesło przy stole psuje stronie humor. Wśród Polaków za granicą jest spora grupa osób, które w swoich środowiskach zawodowych liczą się i są cenione. Nie wymieniam nazwisk, bo jest to propozycja dla każdego z osobna, a nie szantaż moralny. Polacy z Polski, jakkolwiek szanowani i zasłużeni, mają mniejszą możliwość stosowania tej metody, ponieważ ich bojkot może być zawsze wzięty przez bojkotowanego za rezultat jakichś machinacji rządowych i będzie bez znaczenia. Drobnym przykładem, czym jest brak wolności czyli brak podmiotowości osobistej.

Zilustruję proponowaną akcję dwoma hipotetycznymi przykładami. Dajmy na to, że panowie, którzy zrobili serial „Wichry wojny” zwracają się do znanego i cenionego w świecie filmowca czy autora Polaka z propozycją zrobienia dla nich filmu lub scenariusza. Moim zdaniem powinien on odmówić, o ile poczuwa się do wspólnoty z polskim losem i ma poczucie godności. Powinien też powiedzieć głośno, dlaczego odmawia. Tyle.

Drugi przykład: pani Stone, która w międzyczasie została profesorem slawistyki (nie wiem, ale przypuszczam), postanawia urządzić międzynarodowe sympozjum na temat Leśmiana i zaprasza cenionego polskiego profesora z jakiegoś dobrego uniwersyteku na Zachodzie. Powinien postąpić jak wyżej.

„Ofiary muszą być” — mawia redaktor Giedroyc — i jest oczywiste, że bojkot może oznaczać nie tylko utratę honorarium, ale także narażenie się różnym wpływowym osobistościom i klientom. Bojkotującymi jednak z natury rzeczy mogą być tylko ludzie, którzy mają mocną pozycję i uznanie, a zatem mogą sobie pozwolić na pewne ofiary. Sądzę, że akcja tego rodzaju, prowadzona przez dostatecznie liczną grupę osób i dostatecznie długo, wpłynęłaby otrzeźwiająco na tych i owych i podniosła ciężar gatunkowy społeczności polskiej jako całości.

Na zakończenie uwaga techniczna, dotycząca tego artykułu. Podpisuję go jako „Broński”, czyli pseudonimem. Używam pseudonimu głównie dlatego, by nie mieszać rzeczy pisanych popular-

nie czy publicystycznie z moimi publikacjami zawodowymi w bardzo wąskiej i „ezoterycznej” dziedzinie. W *Kulturze* pisuję pod tym pseudonimem od 15 lat i stałym czytelnikom coś on już mówi, podczas gdy moje prawdziwe nazwisko mało komu by coś powiedziało poza moją branżą naukową. Moje artykuły nie są anonimowe, bo Redaktor zna mnie i przekazuje mi listy czytelników, na które odpowiadam „jako ja”, o ile zachodzi tego potrzeba. Dotyczy to i tych uwag.

M. BROŃSKI

STANISŁAW ŻOCHOWSKI

„NSZ — NARODOWE SIŁY ZBROJNE”

(Londyn — 1983)

Jest to obrona formacji, atakowanej ze wszystkich stron, której autor jest teraz najstarszym żyjącym oficerem. Nie jest to historia, ale relacja dynamiczna, interesująca, pasjonująca — irytująca i drażniąca. Pisana przez oficera Sztabu Generalnego, prawnika, historyka i publicystę. Odkrywa to, co wielu chciało zakryć przed światłem i drukiem.

Na składzie w **Katolickiej Drukarni VERITAS**
4-12, Praed Mews, London W2 1QZ, England

P

NOWOŚĆ



KSIĘGARNIA
POLEMIKA
WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSŃAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48
MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Miesiące

Październik — grudzień 1983

Przeczytałem esej-reportaż pewnego cudzoziemca, który wybrał się do Polski. Zacytuję kilka ustępów:

„Polacy są pełni temperamentu jak południowcy, ale nie przeszli szkoły Macchiavellego i brak im politycznej mądrości. To jest naród, którego legiony Napoleon skłonił z łatwością, by wykrwawiały się dla niego... Taki młodzieńczy albo dziecinny entuzjazm nie jest oczywiście elementem stabilizującym pośród wielkich zmagania narodów o życie w epoce uprzemysłowienia i militarizmu. Nie bardzo daje się on pogodzić z gospodarnością, sprytem, dyscypliną, umiarkowaniem... Zapytany w szerokim gronie, co jako krytyk sądzę o polskim społeczeństwie, odpierłem z miejsca: — Jesteście narodem dyletantów. — Wydaje się, że ta definicja, w jej najszerszym znaczeniu, jest słuszna, ale nie wolno zapominać, dlaczego z Polakami tak się dzieje. Trzeba mieć nieustannie przed oczami ten energiczny z natury lud, którego energia nie może znaleźć ujścia... naród z żywym, niepokromionym zacięciem do polityki, któremu uniemożliwiono wszelką polityczną edukację, ponieważ nie wolno mu wybierać swoich przedstawicieli i decydować o sprawach państwowej wagi... trzeba pamiętać o tym narodzie, który od zarania dziejów bronił z egzaltacją praw jednostki, a dzisiaj zmuszony jest żyć bez żadnego prawnego zabezpieczenia przed nadużyciami ze strony przypadkowych dygnitarzy... Życie w Warszawie jest nerwicą, powiedział mi jeden z najwybitniejszych ludzi w mieście. Na dłuższą metę nikt nie jest w stanie tego wytrzymać... Mamy przed sobą naród, którego nerwy są

napięte do ostateczności, ponieważ musi on dzień po dniu walczyć o swoją egzystencję, zamiast jak inne ludy z niej korzystać. Naród pochłonięty całkowicie swoją sprawą narodową — a przecież ta narodowa sprawa nie jest niczym innym jak ludzką sprawą, ogólnoludzką sprawą”.

Te zdania były pisane w roku 1885. „Wrażenia z Polski” ukazały się w ostatnim numerze *Zeszytów Historycznych*, wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu. Przekładu na język polski dokonał Krzysztof Gruszczyński. Autorem jest Georg Brandes, urodzony w roku 1842, zmarły w 1927. Był myślicielem, pisarzem, eseistą, jedną z najznakomitszych postaci w kulturze duńskiej. W Polsce przebywał dwukrotnie. Łączyły go osobiste stosunki z polskimi pisarzami i można się domyślać, że jego rozmówcą, który porównał życie w Warszawie do nerwicy, był Prus albo Sienkiewicz.

Jak duński krytyk opisałby Warszawę, gdyby przyjechał po stu latach, jesienią roku 1983? Napisałby pewnie tak: „Polska jest obecnie jedynym krajem sowieckiego imperium, gdzie we wszystkich kościołach odprawia się rzymsko-katolickie msze przy tłumnym udziale ludności; gdzie rozpowszechnia się tajną prasę występującą przeciw rządowi; gdzie przywódca opozycji, uznany przez większość społeczną za przywódcę narodu, znajduje się na wolności, wygłasza przemówienia i udziela wywiadów; gdzie prawdziwym monarchą i prezydentem w jednej osobie jest Papież, witany na ulicach przez miliony ludzi; gdzie pod bokiem oficjalnego rządu działa z ukrycia komitet podziemny. W tym kraju, wyzutym z autentycznych instytucji życia publicznego, ludzie żyją w oczekiwaniu na pomoc Boga”.

Mogłoby się zdarzyć, że cudzoziemiec pod koniec pobytu usłyszy o przyznaniu Wałęsie pokojowej nagrody Nobla. Przed rokiem Wałęsie tej nagrody odmówiono. Przyznano mu ją teraz, spełniając życzenie opinii publicznej w wielu krajach świata. Cudzoziemiec zastanowi się nad tym faktem, a potem zajrzy do swoich notatek sprzed stu lat. Uśmiechnie się i pomyśli, że miał słuszność pisząc wówczas o Polsce jako o symbolu ogólnoludzkich wartości.

Być może też przed wyjazdem z Polski dowie się, że Wałęsy nie można było zawiadomić o nagrodzie, bo tego dnia wcześniej rano poszedł do lasu na grzyby. I przypuszczam, że nasz duński podróżny znowu się uśmiechnie.

Z Warszawy: po rozwiązaniu Związku Literatów zamknięto biura i klub na Krakowskim Przedmieściu. Nie ma obiadów w stołówce. Kilkadziesiąt osób zakłada nowy związek, prasa

krajowa podała nazwiska założycieli. Połowy nie znam, prawdopodobnie wielu z nich nie było nigdy członkami ZLP. Można się spodziewać, że wkrótce przejmą budynek na Krakowskim. W ten sposób ciągłość szczęśliwie będzie utrzymana. Po rozwiązaniu Związku Literatów Polskich nowa organizacja nazwała się Związkiem Literatów Polskich i pozostanie na Osi Królewskiej.

Rozmawiam o tym w pokoju, w którym siedzi około dwudziestu osób. Przyjęcie w polskim gronie. W poszczególnych grupkach i między nimi krążą polskie tematy. Mówi się o rzeczach smutnych, głupich i okropnych. Mówi się o nich w polskim stylu, półgłosem i na uśmiechu. Chwilami głosy zlewają się, tworzą falującą melodię, z nawrotami i powtórzeniami, i wtedy słyszę, jak w jesienny wieczór przywołujemy nasze zmory w monotonnym rytmie obrzędu.

Z telewizji: Wałęsa, w ciepłym swetrze, rozmawia z grupką przyjaciół w Gdańsku. Zawiadamiają go o nagrodzie Nobla. Wałęsa śmieje się i mówi: nie wierzę. Zajada z apetytem jabłko. Stoi obok samochodu, przed chwilą wrócił do domu. Koledzy przysięgają, że wiadomość podały zagraniczne radiostacje. Wałęsa kręci głową: dopóki sam nie usłyszę, nie uwierzę. I dalej gryzie jabłko. Cięcie. Sala Assemblée Nationale. Chwila uczczenia nagrody pokojowej Nobla przyznanej Lechowi Wałęsie. *A Lesz Walezà*, mówi sprawozdawca telewizyjny. Większość deputowanych wstaje z miejsca, posłowie komunistyczni siedzą. Premier Mauroy wygłasza przemówienie, słysząc okrzyki z ław komunistycznych. Przerywają mu. Cięcie, zbliżenie. Twarz Georges'a Marchais, sekretarza generalnego KPF. Odmawia wyrażenia opinii o nagrodzie Nobla dla Wałęsy: — Mam o tym swoje zdanie. Tak. Ale zachowam je dla siebie. — Czarnobrewy, oko z błękitną glazurą, dużo zębów. Kiedy skończył, oblizał wargi. Cięcie. Artykuł w moskiewskiej gazecie *Izwestia* o dochodach Wałęsy: „Milion dolarów, które smierdzą... Yankes z Gdańska...” Ani słowa o nagrodzie.

W *Le Monde* obszerny tekst o Wałęsie z cytatami jego wypowiedzi na zjeździe Solidarności. Do przedstawicieli rządu: „Dostać, wystarczy. Panie ministrze i panie drugi, zabierajcie głowo, któreście przywieźli i do widzenia!” Do korespondentów zagranicznych: „Daję z siebie wszystkie siły, nie mogę zrobić więcej i nie zmienię swego postępowania”.

W podziemnych korytarzach stacji metra rozlepiono plakaty dziennika *La Croix* z twarzą Wałęsy w kolosalnym fotograficznym powiększeniu. U dołu wielkimi literami: *LIBERTE*. Twarz Wałęsy oznacza dziś sprawę wolności. Poza nim udało się to tylko gołębiowi w sprawie niemniej ważnej.

Chłodne dni. Słońce, chmury i deszcz na zmianę. W mieszkaniu zimniej. Niedzielny spacer w Le Marais. Na ścianie liceum Wiktora Hugo napis czarną farbą: „Laiçé revé vau zélaive, vou zen feré dé poète”. Pozwulcie mażyć waszym ocznom, zrobicie z nich poetuf. To bardzo ładne, myślę, tylko że w pewnym wieku woli się pamięć niż marzenia. Orły jósż otrfónęły i przyszedł czas na ptactwo domowe. Trzeba doglądać swojego kurnika.

Boże, daj mi obojętność wobec rzeczy, których nie można zmienić, odwagę w stosunku do rzeczy, które można zmienić, i mądrość, żeby móc odróżnić jedne od drugich.

To zdanie napisał pewien niegłupi człowiek, którego nazwiska nie ujawnię, żeby nie ułatwiać życia erudytom. Niech się głowią, kto jest autorem. Powtarzałem sobie to zdanie idąc rano przez bulwar Arago. Dzień był pełen światła, na chodnikach szeleściły żółte i rude liście. Szedłem o lasce przez pusty bulwar — a bulwar Arago nie jest piękny — czułem się jednak rażnie. Miałem tego dnia wyznaczoną konsultację lekarską w szpitalu Cochin. Ordynatorem kliniki reumatologicznej jest profesor Amor, lekarz nazywał się docteur Illouze. Obydwa nazwiska podobały mi się. Amory, iluzje... profesor Miłość i doktor Złudzenie. Tacy specjaliści jeszcze mnie nie leczyli. Po miesiącu sporów domowych pozwoliłem zatelefonować do szpitala, umówić wizytę, i teraz szedłem ciesząc się, że za godzinę będę ją miał za sobą. Spytałem o drogę zakonnicę w białym kornecie, prowadzącą rower. Wysoka, w okularach, odsłoniła życzliwie długie zęby: — Na rogu skróci pan w lewo i zaraz będzie szpital. — Mówiła z angielskim akcentem. Skróciłem w lewo.

Od pewnego czasu wyrobiłem w sobie obojętność wobec mojej choroby i nauczyłem się z nią żyć. Dopiero w Nowym Jorku stan rzeczy uległ pogorszeniu. Wstając z fotela dźwigałem się na rękach, przechodząc przez jezdnię musiałem uważać, żeby przeciwległy krawężnik wypadł na moją lewą nogę, bo prawą trudno mi było wejść na chodnik. Prócz tego w obu nogach —

Nie dokończyłem ostatniego zdania i zostawiam je tak jak się urwało. Właściwie powinienem skreślić cały ten fragment, do którego z pewnością nie wrócę. Zachowuję go jednak na pamiątkę. Albo raczej dla przestrogi: że każdy watek może nagle się urwać. W nieoczekiwanym czasie i z niejasnych powodów następuje stylistyczny zgon. Rozpoczęte zdanie jak gdyby nie chce żyć dalej i sztywnieje z otwartymi ustami. Tym razem postanowiłem nie usuwać ciała. Niech leży. Niech mi przypomina, że pisząc ani przez chwilę nie jest się bezpiecznym.

Kolacja z Kunderami i François Furetem, historykiem, dyrektorem Ecole des Hautes Etudes. Od lutego mam co tydzień wyjaśniać doktorantom, czym jest i czym była inteligencja w Polsce. Przed 11-tą Furet odwiózł nas do domu. Jadąc powiedział z kierowniczy: — Sprawa polska wraca do dziewiętnastego wieku.

W kilka dni później wywiad dla *Libération*. Rozmawia ze mną Daniel Rondeau, inteligentny i życzliwy Polse. Opowiada, że lewicowi intelektualisci przeżywają niepewność, czy święte zasady progresizmu nie niszczą podstawowych wartości społecznych. Zaskoczyła ich polska Solidarność, w której ujrzeli ruch bezsprzecznie postępowy, rewolucyjno-demokratyczny. Głowią się jednak nad połączeniem w tym robotniczym i masowym ruchu hasel proletariackich z religijnością katolicką i obyczajowym konserwyzmem. Bardzo ich niepokoi Wałęsa z Matką Boską na piersi, wierną żoną i siedmiorgiem dzieci. Dręczy ich bowiem podejrzenie, że ów model komórki rodzinnej okaże się bardziej przydatny społecznie niż wolny związek Sartre'a z panią de Beauvoir. Pod koniec wywiadu Rondeau przyjrzał mi się ciekawie i spytał, czy jestem wierzący.

W La Haquinrière u Krzywickich. Zawiózł nas Adam Zagajewski swoim zielonym Volkswagenem, znanym mi jeszcze z Berlina. Kilkanaście osób przy stole, żywa polska rozmówka, anegdutki. Miły nastrój, koty na fotelach, czujne, obserwujące, cisza za oknami i wyborny śledź z soją. Główny temat: Polacy i Francuzi. O szorstkości, jako o sposobie bycia polskim, i grzeczności, jako stylu francuskim. O tym, co się kryje wewnątrz pod jednym i pod drugim i z czego się wzięły te style narodowe. Zagajewski naprzeciw mnie, finezyjny nawet w milczeniu, głowa, podbródek i policzki w króciutkim ciemnym zaroście. Dał mi niedawno swoją książkę osnutą na tle pobytu w Berlinie Zachodnim, bardzo ciekawie pisaną. Powrót o 1-ej w nocy. Puste bulwary i mosty, w dole Sekwana, czarna, posrebrzona.

Przyszły egzemplarze amerykańskiego wydania „Miesiący” w przekładzie Richarda Lourie. Tytuł: *A Warsaw Diary*. W walizce z Warszawy przyjechały moje dwa swetry i pięć koszul. Kończę „Pamiętniki” Wacława Lednickiego. Przeczytałem Sołżenicyna „Naszych pluralistów”, kilkadziesiąt stronie ostrej polemiki z sowieckimi dysydentami. Wiele zaciekłości z obu stron i jakaś furia, którą trudno pojąć. Sołżenicyn pisze o Rosji nieszczęśliwej, o narodzie rosyjskim jako męczenniku sowieckiego ustroju. Pisze z pasją, jego wielka i sprawiedliwa nienawiść do komunizmu budzi najgłębszy szacunek. Ale w tekście znalazła się brutalna insynuacja w stosunku do Siniawskiego

(postaci jednej z najczystszych w tym kręgu) o rzekomych okolicznościach zwolnienia go z gułagu. Przypomina mi się chichot Iwaszkiewicza, jak opowiadał o sowieckich literatach, którzy przybывая do Warszawy w bratnich delegacjach oczerniali jeden drugiego za plecami: tamten donoszczyk, a on kanalia i dusza lokajska...

W Warszawie Andrzejowi Kijowskiemu, choremu na nowotwór oka, odmówiono paszportu do Francji. 30 listopada telefonowaliśmy do Kijowskich z życzeniami imiennymi dla Andrzeja. Głos brzmiał z bliska: — W ciągu tygodnia słyszę cię po raz drugi... — W piątek wieczór musiał słuchać mojej audycji w Radio France. M. pyta o Kazię. — Nie ma jej w domu — mówi Andrzej — poszła do św. Marcina rozdzielać paczki świąteczne.

Długi spacer wieczorny po Montparnassie, suche powietrze z dymkiem, ciepłe światła i zapach pieczonych kasztanów. Za restauracyjnymi szybami ludzie przy stolikach, połysk sosjerki, czyjaś dłoń unosząca kieliszek, obcisły biały mankiet ze spinką i biały pochylony grzbiet kelnera. Ten obraz trwa już co najmniej od półtora wieku, nie licząc kilku pauz. Czarowna kraina życia, baśń o normalności, po której chodzą Jaś i Małgosia spłoszeni przez babcię-wilka.

Polskie słowo „niewola” bardzo trudno przełożyć na francuski. *Captivité? dépendance? asservissement? soumission nationale?*... Nie. *Esclavage?* Na pewno nie. Podobnie z angielskim *slavery*. Żadne z nich nie przystaje ściśle, każde oznacza co innego. Zdaniem Kundery należałoby wprowadzić termin *non-liberté*. Wyjaśniam jednak, że w słowie „niewola” drugi składnik ma jeszcze inny sens i można by je także przełożyć na *non-volonté*. Co na Kunderze robi spore wrażenie. Wraca do tego kilkakrotnie. Dziwi się, patrzy na mnie... A ja na niego. O, z dumą. Nie wypadliśmy sroce spod ogona, szepcze we mnie najbrzydsze z przysłów polskich.

Dalej „Pamiętniki” Wacława Lednickiego, do których wróciłem po pierwszej lekturze. Dzieło pamiętnikarskie na wspaniałą miarę. Epicka saga rodzinna i opis życia polskiego ziemianstwa w majątkach na Białorusi — i polskiej inteligencji w Rosji przedrewolucyjnej. Lednicy mieli posiadłość Borki w guberni smoleńskiej, koło stacji Katyń. Prócz tego wygodny dom w Moskwie. Ojciec, Aleksander Lednicki, był adwokatem, jednym z najznakomitszych w Rosji, i posłem do Dumy. Prowadził szeroką działalność w kołach polsko-rosyjskich. Społecznik, organizator, postać obywatelska w wielkim stylu. Związany z Rosją liberalną, łączyły go bliskie stosunki z Kadetami,

partią konstytucyjnych demokratów. Przewijają się przez te dwie księgi nazwiska rodzinne Poczobuttów, Odlanickich, Świackich, Nitosławskich, typy malownicze i bogate, nieraz przezabawne, ciotek, wujków, kuzynów, sąsiadów, rezydentów, i charakterystyki dworów okolicznych. Opisy wnętrz zdumiewająco szczegółowe, nieledwie inwentaryzatorskie. I postacie zaprzyjaźnionych Rosjan, pięknych ludzi-Moskali. Nie mogłem się od tej lektury oderwać, godzinami leżałem zaczytany i zauroczony światem, którego już nie ma. Wszystko dawno przepadło. Pamiętniki (w Polsce nigdy się nie ukazały) Wacław Lednicki pisał w Stanach Zjednoczonych, będąc profesorem literatur słowiańskich w Harvardzie i Berkeley. Pożyczili mi je Bohdanowie Paczowscy. Po kolacji na rue Cassini, w ich mieszkaniu otoczonym książkami, gdy powiedziałem przed wyjściem, że nie mam co czytać na wieczór, Maria zdjęła z półki dwa ogromne tomy. Uśmiechała się: zobaczysz, zobaczysz... nie ci nie powiem. Ale o autorze słyszałem od dawna. I o ojcu także. Drugi tom profesor Lednicki poświęcił niemal w całości obronie swego ojca. Pamiętam fotografię w czarnej ramce, zamieszczoną bodaj w *Kurierze Porannym* po śmierci Aleksandra Lednickiego. Był to mój rok naturalny, 1934, zapamiętałem to zdjęcie, masywną, szczeniastą głowę i dłoni spoczywającą ciężko na poręczy fotela. Twarz starego pana, który był kiedyś... ministrem? senatorem? Niewiele o nim wiedziałem. Chyba nie. Prócz tego, że popełnił samobójstwo. Śmierć tragiczna, w okolicznościach niezupełnie jasnych i z przyczyn sięgających do lat przed moim urodzeniem; te lata będą zawsze tajemnicze.

Więc w drugim tomie syn, Wacław Lednicki, oczyszczając zmarłego ojca ze ścigających go zarzutów i oskarżeń — stronicie naładowane pasją i miłością — niejedno wyświetla w tym polskim dramacie sprzed lat. Czytając drugi tom miałem chwila mi wrazenie, jakby pisał go Hamlet wezwany przez ducha. Obronę syn przeprowadza w punktach. Nieprawda, że na biurku ojca stała fotografia cara. Kłamstwo, że ojciec wyrzekł się Polski niepodległej. Nigdy nie zwalczał Legionów Piłsudskiego. Nieprawda, że w domu mówiło się po rosyjsku. Jest natomiast prawdą, że ojca szkalowała endecja. I dalej, punkt po punkcie, cytaty z przemówień ojca, akcja pomocy dla Polaków w Rosji organizowana przez ojca, propozycje ugody odrzucone przez ojca, to fałsz że ojciec chciał Polski bez Gdańska... Syn pisze: w Rosji i w Polsce niepodległej ojca niszczyli endecy, ale fizycznie zamordowali go *inni*. Pisze też o sobie, iż po śmierci ojca wyzwiał na pojedynek ministra rządów sanacyjnych, pułkownika Matuszewskiego. Wcześniej wspomina o dawnej kłótni ojca z Piłsudskim — gdzie? kiedy? W dorożce, w Paryżu, w roku

1904 czy 1905, gdy Piłsudski, który wyprawiał się wówczas na rozmowy sztabowe do Tokio, uraczył Aleksandra Lednickiego we fiakrze paryskim swymi planami zbrojnego powstania w kraju; na co mecenas zbladł, wysiadł z fiakra i krzyknął, że dosyć już przelało się młodej polskiej krwi. Straszna scena. A trzeba by wiedzieć, że w dorożce siedział nie tylko przyszły Marszałek i Naczelnik Państwa, lecz obok niego co się zowie potężna osobistość, polityk i mówca rangi męża stanu, który mógłby w Rzeczypospolitej zostać prezydentem.

Czytam ten pamiętnik jak powieść kryminalną: zabili go, czy pozbawił się życia? kto był sprawcą śmierci? Pytam o to Bolesława Wierzbiańskiego, który właśnie przyjechał na parę dni z Nowego Jorku. Piłsudczycy — twierdzi — nie darowali mu, że skapitulował przed Rosją, a endecy, że do nich nie przystał. Bolek Wierzbiański, redaktor wychodzącego w Stanach Zjednoczonych *Nowego Dziennika*, był moim kolegą w latach uniwersyteckich. U Lednickiego w „Pamiętnikach” kilkakrotnie występuje nazwisko Nagórskich. Żoną Bolka jest bratanica Zygmunta Nagórskiego, który Aleksandrowi Lednickiemu złożył hołd w artykule opublikowanym po jego śmierci. Wierzbiański mówi: nagonka, zaszczucie. Pani Nagórska, matka jego żony, do dziś wspomina tego człowieka z podziwem i bólem. Znała go w Rosji: „Opiekowałam się Polakami, myślałam o nas wszystkich...” Więc w końcu — depresja nerwowa i samobójstwo w 71 roku życia? mord polityczny? samobójstwo wymuszone?

Piłsudskiego trudno obciążać za tę śmierć odpowiedzialnością. W roku 1934 był już chorym starcem. A zresztą... po cóż by? Dawne różnice poglądów i jakaś kłótnia w dorożce przed trzydziestu laty? O zemście politycznej nie mogło być mowy, co najwyżej dzieliła ich obcość. Lednicki-syn wspomina w pamiętniku, że podczas wojny ojciec wyjednał od rządu carskiego dla wziętych do niewoli legionistów status jeńców wojennych, zgodny z międzynarodowymi konwencjami. Byłby to powód raczej do zobowiązania niż zemsty. Kim zatem byli ci *inni*, których syn oskarża o morderstwo w znaczeniu dosłownym, fizycznym? Winę pułkowników sanacyjnych Wacław Lednicki zdaje się sugerować wyraźnie. Nie mówi jednak więcej, milczy. Poza wzmianką o pojedynku z Ignacym Matuszewskim (pułkownikiem) ani słowa przeciw piłsudczyźnie i właściwie nie o piłsudczykach. Prawdziwym gniewem autor wybucha dopiero, pisząc o jadowitych kalumniach rzucanych na ojca przez endeków, i wtedy sypią się nazwiska. Jeśli był jakiś konflikt z piłsudczyzną, to musiałby się wiązać z nieznanymi faktami, których nie przekazały świadectwa. Rok 1934: rok Berezki Kar-

tuskiej, parę lat po Brześciu, emigracja Sikorskiego i Witosa, formowanie się Frontu Morges. Może tu należałoby szukać przyczyn, w kulisach gry politycznej lat trzydziestych. Lecz nawet i w tym wypadku domniemanie zabójstwa nie wydaje się prawdopodobne.

Zagadki polskie. W okresie swojej pracy w Rosji, przed niepodległością, Aleksander Lednicki stykał się bezustannie z polskimi działaczami, którzy później mieli odegrać w Polsce rolę nieraz znaczne; z ludźmi takimi jak Grabscy, Raczkiewicz, Prystor i wielu innych. Były wśród nich osobistości nie tylko polityczne, lecz również inżynierowie, lekarze, artyści, uczeni. W „Pamiętnikach” kilkakrotnie jest mowa o Leonie Petrażyckim. Kim był profesor Leon Petrażycki, dziś zapewne wiedzą jedynie nieliczni specjaliści. Ale ja także wiem, bo na I i III roku studiów uniwersyteckich musiałem zgłębiać jego fenomenologiczną teorię i filozofię prawa. Petrażycki był profesorem uniwersytetów rosyjskich i autorytetem światowej miary. Był „rosyjskim Polakiem”, jednym z tych co po wojnie i rewolucji osiedli na stałe w Polsce. Jednym z najwybitniejszych — wielkim uczonym i myślicielem, chlubą nauki europejskiej. Po powrocie do kraju wykładał na Uniwersytecie Warszawskim. Podobno źle mówił po polsku. Przypominam sobie jego portret wiszący w którymś z audytoriów wydziału prawa. Samobójstwo popełnił na kilka lat przed śmiercią Aleksandra Lednickiego. Jeszcze w moich latach studenckich mówiono półgłosem o zaszczuciu Petrażyckiego oszczerstwami i o intrygach, jakimi go oplątano. Miał, jak pamiętam, zabić się wystrzałem z rewolweru. O Lednickim krążyły dwie wersje: jedna, że się zastrzelił, i druga, że rzucił się z okna mieszkania w Alei Róż.

Kartka z Warszawy od Mariana z wiadomością o śmierci Jasia Steina. Rak płuc. Zeszłego roku w czerwcu był w Paryżu i z Cité des Arts wziął nas do Closerie des Lilas na pieczone ślimaki. Wesoły i ruchliwy, doskonale wyglądał. Nazajutrz byliśmy u Jo Goldenberga na ulicy Rosiers. Przy płaceniu rachunku dał chyba jakiś zawrotny napiwek, bo kelner szepnął: — Pan się może omylił...? Jaś spojrzął: — Nie. — Uśmiechnął się, ale spostrzegłem, że wzrok mu stwardniał. Musiał już znać diagnozę. Umarł w Caracas.

Przed zapowiedzianą podwyżką cen w Polsce znów pchnięto w teren wojskowe grupy operacyjne. Jak na jesieni 1981 przed stanem wojennym. Po dwóch latach dyktatury generał ze swoją ekipą dziennikarzy wydaje się politycznie bezradny. Wojsko ma kontrolować we wsiach i miastach sklepy, magazyny, transport, skup i komunikację. 4 grudnia na Barburki w Katowii-

cach były zajścia, podobno aresztowano Annę Walentynowicz i Kazimierza Świtonia. Reforma ekonomiczna padła.

Popołudnie u nas z Marysią Paczowską, która tylko co wróciła z Londynu. Opowiada o dniu spędzonym w londyńskim Zoo („to odpoczynek patrzeć na zwierzęta, jak one sobie żyją bez wiecznego przebiegania się i kremów na twarz i samochodów, włosów sobie nie malują, nawet nie muszą się uczesać czy ogolić”). Potem o Lwowie w 1940, o wywózkach, gdy w nocy było słyhać jak budy zatrzymują się przed sąsiednimi domami. Noc w noc do 4 rano ojciec kazał jej siedzieć na łóżku w zimowym płaszczu, ciepłych rękawiczkach i bucikach, z imieniem, nazwiskiem i datą urodzin na tekturowej kartce zawieszanej u kołnierza. Każdej nocy byli gotowi do drogi. Pytam, czy mogę jeszcze zachować pożyczone od niej pamiętniki Lednickiego, o których właśnie pisze. Oboje z Bohdanem poznali go we Włoszech w latach 60-tych, w Rapallo. Po jej wyjściu znów biorę oba tomy. Oglądam fotografie i wertuję spis nazwisk. Zdziwiałe, ilu Rosjan w tej książce. Lwow, Milukow, Muromcew, Nabokow... Szachowscy... W „Pamiętnikach” brzmi ton żalu, nostalgii za pojednaniem, do którego nie doszło. Ledniccy, Petrażyccy poznawali Rosję wykształconą i światłą, obracali się wśród ludzi rozumiejących Polskę. Piłsudski poznawał Rosję w więzieniach i na Syberii; opisał wstrząs, jaki przeżył, kiedy mały żołdat kuł go pięścią w zęby na aresztanckim etapie. Plan odbudowania polskiej państwowości w oparciu o rosyjskich liberałów był jednak programem trzeźwym, pewnie w owych latach jedynym, który wydawał się realny. Nierealne zdawały się mrzonki zbrojnego wywalczenia niepodległości przeciw Rosji. W rodzinie Billewiczów i Piłsudskich uważano Ziuka za wariata, pisał o tym dziadek Andrzej, Ludwik Krzywicki we wspomnieniach. W dziesięć, piętnaście lat później było już oczywiste, że mrzonki wariatów się spełniły. W Polsce, zwłaszcza po maju 1926, realiści i organiczycy musieli przeżywać ciężkie chwile.

Prawie wszystko, o czym napisał w obu tomach, cały ten świat połowy jego życia, wszystko dawno przestało już istnieć. Jak gdyby śnił mi się dziwny sen, w którym jeździ się konno do sąsiadów przez lasy Katyńskie i tańczy mazura na moskiewskich balach, i gdzie Polacy mają przyjaciół Rosjan, z którymi rozmawia się o wolnej Polsce.

Niedawno uświadomiłem sobie, że jedynymi z bliżej znanych mi ludzi, którzy mają przyjaciół Rosjan, są dwaj polscy rusycyści i poeta, który studiował literaturę w Moskwie.

Vittorio Strada w przedmowie do włoskiego wydania „Miesiący”, pisząc o moim stosunku do Rosji, ostrzega mnie przed

polskim nacjonalizmem. Podobnie jak Besançon we Francji twierdzi, że nie należy mylić komunistycznego totalitaryzmu ZSSR z dawnym imperium rosyjskim. *Su questo punto mi trovo in disaccordo con Brandys...* I wymienia po kolei różnice — ideologii, celów, obszaru działania itp. Z pewnością ma rację. Ale może ja nie myślę Rosji z komunizmem. Może sądzą tylko, że Rosja miała decydujący wpływ na formowanie się współczesnych państw ideologiczno-totalitarnych i że to w Rosji od dawna się rodził ich ohydny pierwowzór. Może też niekoniecznie trzeba mnie przestrzegać przed antyrosyjskim polskim nacjonalizmem. Będąc na miejscu Strady raczej bym się namyślił, czy Polacy nie wiedzą o Rosji więcej niż zachodni pisarze. Bądź co bądź od trzystu lat Rosja siedzi im na karku i mają swoje sprawy z Rosjanami. Doprawdy, nieraz za dużo wymaga się od Polaków. Powinni zapomnieć o Rosji i bać się komunizmu. Może jednak i o komunizmie Polacy co nieco wiedzą. Najosobliwsze jest to, że kiedy ja z partii komunistycznej wystąpiłem siedemnaście lat temu, Vittorio Strada jest do dziś jej członkiem.

Gdy intelektualści na Zachodzie uczą nas, czym była i czym nie jest Rosja, przypomina mi się odpowiedź udzielona pewnemu krytykowi. W trakcie dyskusji w Związku Literatów na wieczorze autorskim Wiecha zabrał głos krytyk L., który oświadczył, że w gruncie rzeczy Wiechowi brak poczucia humoru. Pod koniec przemówił autor: — W związku z zarzutem kolegi L. opowiem anegdotę o baronie Rotszyldzie. Jadł śniadanie na Polach Elizejskich, gdy podszedł do niego żebrak, natarczywie prosząc o jałmużnę. „Dobry człowieku — rzekł zniecierpliwiony Rotszyld — macie tu pięć franków, ale na przyszłość pamiętajcie, że w czasie jedzenia nie należy przeszkadzać żebranią”. „Panie Rotszyld — odpowiedział żebrak — pan może jesteście wielki bankier, ale żebrać pan mnie nie będzie uczył”.

Rzecz byłaby prostsza, straszliwie prosta, gdyby ludzie Moskale w ogóle nie istnieli. Ale istnieją. Był Hercen, Czechow, był Bunin i Muromcew (przewodniczący Dumy, jego sylwetkę ciekawie opisał Wacław Lednicki), był Aleksander Błok, było wielu mądrych i szlachetnych Rosjan. Dzisiaj jest Sacharow — i moczar Solżenicyn, zamknięty w swojej pustelni w Vermont. Są inni — w Rosji, w obozach i zakładach psychiatrycznych, albo rozproszeni w sowieckiej masie. Na emigracji są też Brodski, Niekrasow, Gorbaniewska, Siniawski, Bukowski. Dlaczego nie powiązały się ze sobą te dwie emigracje, rosyjska i polska, mimo doświadczeń, jeśli nie wspólnych, to przecież nie odległych, dlaczego nie stykałem się z nimi, z przyjaciółmi

Rosjanami, ani w Nowym Jorku, ani później w Paryżu, dlaczego odezwał się do mnie Kundera i przedtem Skvorecki, a oni nie, ani ja do nich — nie wiem, ale to jest zastanawiające i wiele daje do myślenia, to że tak mało garniemy się do siebie, jakbyśmy nie czuli wzajemnej ciekawości.

Drobniutka mżawka, ciepło i wilgotno. Chodzi się z gołą głową i w letnim płaszczu na podpince. Pani Drago, która co tydzień przychodzi do nas sprzątać, narzeka na zimno. Usłyszała w radio, że w Warszawie temperatura spadła do 17 stopni poniżej zera, i pyta czy to możliwe. Tłumaczę, że w Polsce mrozy bywają nieraz 30 stopniowe. Wówczas ładna pani Drago patrzy na nas jak na dwa polarne niedźwiedzie i wiem, że wieczorem powie mężowi: trzeba wracać do Portugalii.

W piątek na Surcouf w Centre du Dialogue wieczór literacki poświęcony Mironowi Białoszewskiemu, który kilka miesięcy temu umarł w Warszawie. Przed niecałym rokiem w Polskim Instytucie w Nowym Jorku czytał swoje wiersze i prozę. Spotkaliśmy się wtedy po czterech latach od wspólnego pobytu w Oborach. Białoszewski po nowojorskim występie napisał komuś w liście do Warszawy, że miał silną treść. „Ale nagle widzę jak zza filaru uśmiecha się do mnie pani Marysia Brandysowa i zaraz zrobiło mi się lepiej”. Do Paryża sprowadzono taśmy nagrane w czasie tego wieczoru. W salce na rue Surcouf, z Konstantym Jeleńskim i Jackiem Trznadłem, mamy po kolei mówić o Białoszewskim. Kiedy przyjechałem, było już pełno, w głębi i w przejściach stało sporo osób. Zawsze chwila zdziwienia na widok tej salki w światłach, zatłoczonej ludźmi. Najczęściej przechodziłem przez nią rano, idąc do jadalni na wczesne śniadanie. Był w niej półmrok, bo witraże Lebensteina nie przepuszczały światła. Nieraz czekałem parę minut aż się rozwidni i księża skończą w kaplicy poranne modlitwy. Listopad 1977, M. leżała wtedy w szpitalu Laënc. W półmroku bieleła się tylko głowa Chrystusa wyrzeźbiona na krótko przed śmiercią przez Alinę Szapocznikow. Witraże ciągnęły się wzdłuż sali, dzieląc ją od ulicy. Patrzyłem na jedźców Apokalipsy występujących z ciemności, jeden miał trupa głowę Goebbelsa, skrzydlate potwory z kopytami były zarazem ludźmi, diabłami i końmi. Zza witraży dochodził już zgrzyt podnoszonych żaluzji sklepowych, rozjaśniało się, po chwili milkł szept modlitw i mogłem się przyłączyć do księży wychodzących z kaplicy. Ten obraz sali był dla mnie najprawdziwszy. Ilekroć widzę ją zapełnioną publicznością, wydaje mi się zbyt jaskrawa. Przy elektrycznym świetle witraże są matowe, ściany białe. Jest głośno i jasno. Trzeba się przyzwyczaić do drugiego obrazu tej sali, który jest także prawdziwy.

Nie przygotowałem sobie wspomnienia, wiedziałem tylko, że zaczęło od spotkania w Oborach pięć i pół roku temu. Przeszedłem wtedy za wcześnie na niedzielną kolację i czekając w hallu spostrzegłem przez otwarte drzwi do jadalni mężczyznę w krótkim znoszonym paletku, z gołą szyją i w tenisówkach na nogach. Chodził po jadalni przyglądając się uważnie nakryciom. Na stolikach rozstawione były talerze z wędliną i serami, w niedzielę dawano w Oborach zimną kolację. Gość w paletku wziął talerz ze stolika pod oknem, dołożył sosu i pieczywa, nakrył drugim talerzem i wyszedł z jadalni. Nie zauważył mnie, przeszedł szybko, wpatrzony w talerz. Byłem pewny, że to jakiś mieszkaniec pegeeru zorganizował sobie niedzielną zakąskę pod pół litra czystej i że będzie skandal, bo dla kogoś zabraknie kolacji. — A, to pan Białoszewski wziął do pokoju śniadanie — wyjaśniła Tereska, pokojówka. Nie wiedziałem, że Białoszewski przyjechał rano do Obór. Żył w nocy, a spał za dnia. Nazajutrz wróciliśmy późno po całym dniu w Warszawie. Chodząc po ciemku wokół klombu zobaczyłem go, jak wysunął się z oficyny. W czapce i paletku z podniesionym kołnierzem szedł w stronę bramy. Gwiazdy, żaby, słowiki... Północ. Dla niego to było południe. Wyruszał na spacer po godzinach porannego pisania. Ale poznałem go dopiero w kilka dni później, na wieczorze poetyckim. Julia przysłała nas zaprosić na ten poetycki wieczór w jego imieniu, do jego pokoju w oficynie.

W Centre du Dialogue mówiłem o tym wieczorze w pokoju Białoszewskiego. Powiedziałem, że wnętrze przypominało szafas lub pieczarę — gałęzie na ścianach, okna szczelnie zasłonięte jakąś czarną materią — i że niewidoma poetka recytowała wiersze. Opowiadałem też o Białoszewskim, jak chodził po pokoju, chwilami niemal śpiewając swoje krótkie, łamigłówkowe utwory. I o tym, że mnie zachwycił. Czym? Tego właśnie nie potrafiłem dokładnie wyrazić. Wspominałem o rygorze, jaki narzucał, o wytwornej etykietce prostoty i skromności, w której było wiele dumy. A potem jeszcze mówiłem, że jego wierszyki raptem zaczęły mi się kojarzyć z „Dziadem i babą” Kraszewskiego i bajkami Mickiewicza. Później zgubiłem wątek. Publiczność chyba się nie zorientowała. Przez parę chwil czułem pustkę w głowie i zdaje się, że spostrzegł to Konstanty Jeleński, który siedział obok mnie z lewej strony.

Powinienem być wtedy przekazać rzecz może najważniejszą. Tę mianowicie: po wieczorze poetyckim w Oborach uzyskałem pewność, że Białoszewski jest blisko skontaktowany z małą i szarą praktyczną codziennością, a zarazem ze sprawami niewidzialnymi. Bliżej niż my. Czułem wyraźnie, że ten gość w paletku i rozdeptanych tenisówkach („nikt nie był do niego po-

dobny, a on był podobny do wszystkich” — powiedział Jeleński, kiedyśmy wstawali zza mikrofonu), że ów poeta-człowieczek dobrze wie, iż w dniach Apokalipsy nie trzeba się dziwić, lecz trzeba mieć kaszę i makaron; a jeszcze lepiej wie o czymś, czego należy strzec mileżeniem, o czymś najdyskretniej ukrytym, mającym prawdopodobnie związki z muzyką, i czego nie wypada potrzącać słowami.

Powiedziałem kilka zdań o „Pamiętniku z Powstania Warszawskiego”, zabrakło mi jednak trafnych sformułowań. Skończyłem wspomnieniem o wieczorze autorskim w Nowym Jorku; po występie Białoszewski podpisywał książki i przywitał się z nami dopiero przy lampce wina. Rozmawialiśmy chwilę, napomknąłem o wspólnym pobycie w Oborach. — A wie pan — ożywił się — ja niedawno byłem w Oborach. Tam jest dalej tak samo cichusienko. Sielanka, sielanka... — Później pozowaliśmy we troje z M. do fotografii, którą mam w Paryżu. Wszyscy troje jesteśmy na niej uśmiechnięci. Ale nie zobaczyliśmy się już więcej i nasza znajomość ograniczyła się do tych dwóch wieczorów literackich. Lub do trzech, jeśli liczyć wieczór na ulicy Surcouf. Umarł na zawał serca, trzeci z kolei. Po pierwszym napisał książkę, którą czytałem latem w Lanckoronie. Dał jej tytuł „Zawał”.

M. w kuchni z radiem, ja porządkuję u siebie w pokoju. W pewnej chwili zaczynam słuchać, potem idę do niej i widzę, jak stoi nieruchoma. Oboje patrzymy na tranzystor. Podano wiadomość o Polsce: w Warszawie złożył wizytę szef KGB na czele delegacji (nazwisko zabrzmiało niewyraźnie). Korespondenci twierdzą, że kluczowe punkty zarządzania w PRL mają być obsadzone przez sowieckich doradców.

W liście z USA: „Nelly była dwa tygodnie w Moskwie z wycieczką studencką rusycystów i później tydzień w Warszawie. Wróciła mocno wstrząśnięta. Mówi, że nigdy przedtem nie widziała Warszawy takiej wschodniej i biednej, takiej brzydkiej, i tylu pustych sklepów. Ogonki mimo to co krok. Ludzie strasznie nienawidzą rządu i żyją w rozpaczliwej mieszaninie z jakąś mesjanistyczną nadzieją. *Hope against hope*. Wierzą, że w końcu coś się stanie, coś zabłyśnie. A najsmutniejsze jest to, że oni się powoli przyzwyczajają i już nie czują się tak zupełnie nieszczęśliwi. Ale Nelly mówi, że to wszystko i tak nie jest najgorsze w porównaniu z Moskwą. Tam na ulicy co trzeci człowiek zatacza się pijany, a jak nie pijany, to wściekły. Klną okropnie jeden na drugiego. Ulicą wali ponury tłum”.

Jeszcze w Nowym Jorku opowiadał mi G., że był z żoną w Warszawie. Pani G. jest Holenderką, w domu rozmawiają

ze sobą na przemian po angielsku i po holendersku. Wieczorem w hotelu „Forum”, kiedy leżeli już w łózkach, zapytała go, co oznacza to słowo, które ich znajomi Polacy wciąż powtarzają w rozmowie. — Jakie słowo? — zdziwił się G. Nie umiała sobie przypomnieć. Dopiero w chwilę później, kiedy zgasił lampę, usłyszał jak żona szepcze do siebie po ciemku: *Nywola...? Niwola...?*

Czwartek. Nagrywam dla radia France Internationale ostatnią audycję przed dłuższą przerwą, którą zapowiedziałem. Wziąłem z „Miesiący” wspomnienie zimowego wieczoru na Nowym Świecie z moich lat przedmaturalnych. Czytam o sankach, ślizgających się po jezdni, o dorożkarzach i panach w melonkach i wystawie magazynu mody, o sklepie kolonialnym z wieszonym zajacem i bażantem. Czytam z żezką, przekazując słuchaczom ów warszawski obrazek sprzed wojny i na zakończenie stwierdzam, że jest to widok najbezpieczniejszego czasu mego życia. Potem przesłuchujemy nagrany tekst. Słyszę mój głos z taśmy: *...jest widokiem najbezpieczniejszego czasu życia* i myślę, co ja mówię, jak to najbezpieczniejszego, przecież akurat wtedy Hitler objął rządy w Niemczech, a Stalin szykował w Moskwie wielkie czystki. Z obu stron szła zagłada, ładny obrazek wkrótce zgaśnie jak świeczka. Ale w tych słowach jest prawda. Czuliśmy się wtedy bezpiecznie. W ostatnich dniach przed zbrodnią nie przeczuwaliśmy jej i nawet nie potrafiliśmy jej sobie wyobrazić. Byliśmy niewinni. Nie wiedzieliśmy, do jakiego zła człowiek jest zdolny, do czego jesteśmy zdolni my, ludzie. Tak, to były dobre przedwojenne czasy.

Retro przynosi ukojenie. Mam kilka widoków, które oglądam co jakiś czas jak w fotoplastikonie. Tutaj one mi się pokazują częściej niż gdzie indziej; pewnie dlatego, że w Paryżu długo się zachowują kształty epok i właściwie nie tu nie mija. Wszystko trwa na swoim miejscu, czasy przeszłe stoją kamiennym rzędem obok siebie, świetnie zakonserwowane. Wprawdzie jest w tym coś z pięknego truchła i drżymy, żeby się nie rozpadło, jednakże dla kogoś, kto lubi nostalgiczne skojarzenia i kogo wzruszają na przykład ławki w ogrodzie, podobne do ogrodowych ławek w jego dzieciństwie... o, to jest wymarzone miejsce. Wczoraj przechodziłem ulicą, przy której wznosi się kościół; aby go obejrzeć, przystanąłem w niewielkiej odległości na skwerze. Skwer był ogrodzony niskimi sztachetami z furtką, ławkę obsiadła grupka licealistów, bardzo hałaśliwa; jeden z chłopców jadł sandwicza rzucając okruchy wróblom. Patrzyłem na nich. Nie na kościół, ale na nich. To był obraz. Unośliło się nad nim kilka chmur, gałęzie platanów i powiew spokoju. To był obraz sprzed pół wieku i przenikał go spokój

sprzed pół wieku. Po lekcjach szliśmy na skwer przy Zborze Ewangelickim. Skwer był obrośnięty drzewami, wchodziło się przez furtkę w ogrodzeniu. Siedzieliśmy na ławce jakby w altanie. Powiedziałbym, że mieliśmy wtedy dość czyste sumienie wobec ludzkości, a nasza świadomość nie była jeszcze zavalona stertami trupów i kłamstw. Rozmawialiśmy nie o Hitlerze i Stalinie, lecz o Oskarze Bartlu, naszym wychowawcy i nauczycielu historii, którego lubiliśmy. Niekiedy też analizowaliśmy głośny wypadek nauczyciela geografii, profesora Ballaweldera, który przez siedem lat przygotowywał się do podróży krajoznawczej po Afryce (na ekwipunek zbierano składki w starszych klasach) i gdy zaszczipionego na wszystkie choroby tropikalne uczniowie wraz z ciałem pedagogicznym odprowadzili na Dworzec Główny i wśród pożegnalnych okrzyków pociąg ruszył, z półki spadł kufer na głowę profesora Ballaweldera, który w dwa dni później obudził się szczęśliwie w szpitalu Dzieciątka Jezus, lecz Afryki nigdy już nie zobaczył. Była to słynna opowieść. Powtarzaliśmy ją ze smutkiem i zachwytem, zbici ciasno na ławce, trzymając teczki między kolanami. Na głowach mieliśmy czapki z granatowego sukna i czasem z nudów rzucaliśmy je celując w gromadkę wróbli. Gdybym miał dziś namalować ten obraz, umieściłbym w głębi za naszymi plecami, albo ponad nami wśród gałęzi, szycerze bestie i potwory o pyskach gargouillów wystających z Notre-Dame lub rogatych jeźdźców z witraży Lebensteina. Czekają już na nas.

„Chłopcze, czy masz jakieś zmartwienie?” W zimie po pierwszej lekcji tak zapytał mnie profesor Bartel, kiedy przyszedłem do szkoły błądy z niewyspania i niezupełnie przytomny. Zimą pierwsza lekcja odbywała się przy zapalonych lampach, światło raziło w oczy. Bartel przyjrzał mi się: — Uszy do góry, chłopcze — i odszedł szybkim krokiem w stronę pokoju nauczycielskiego. Na ogół wszakże odnosił się do nas z pokpiwającą ironią, którą przyjmowaliśmy wyrozumiale. Gdy wchodził do klasy bez uśmiešku, wiedzieliśmy, że jego żona znów gorzej się czuje. Miał chorowitą żonę. W czasie wojny spotkałem go tylko raz jeden, na początku 1940-go, wkrótce po opuszczeniu mieszkania na Asnyka. Zajął je Liebert, dyrektor Arbeitsamtu, zastrzelony później przez AK. Kazano nam się wynieść z dnia na dzień. Matka zapakowała trzy walizki, dozorca wziął na przechowanie obrazy (potem sprzedawaliśmy je z M. do końca wojny), na Filtrowej znalazł się pokój sublokatorski u żony pułkownika, który był we Francji z Sikorskim. Po nocy przespanej na kanapie poszedłem z ojcem do administratora domu. Chudy człowiek w binoklach wstał z krzesła i powiedział, że nas nie zamelduje. — Proszę szukać pokoju gdzie indziej. —

Wiadomość o usunięciu nas z domu na Asnyka musiała już dojść do niego. Odsunął ręką nasze dowody osobiste. Ojcu zadrgała górna warga, poczerwieniał. — Pańskim obowiązkiem jest... — Nie przyjmę tego meldunku — powtórzył administrator — mam zakaz. — Kłamał. Dotychczas niczego takiego nie ogłoszono, ubiegał zarządzenie niemieckie o dzielnicy żydowskiej. Chciałem mu to powiedzieć, ale ojciec złapał mnie za ramię. Zaczął krzyczeć. Krzyczał strasznym głosem. W tym dużym i pewnym siebie mężczyźnie odezwało się pięć tysięcy lat bólu. Krzyczał o barbarzyńcach i o małpoludach. Wołał o Einsteina, o matce Jezusa! Wybiegłem za nim na ulicę, kilka osób przystało. Prosząc, żeby się uspokoił, naraz spostrzegłem Oskara Bartla wychodzącego z sąsiedniej bramy, z domu spółdzielni nauczycielskiej. Ojciec rzucił się ku niemu. Krzyknął: — Profesorze, czy da pan wiarę!... Profesorze!... — Żadyszał się, sapał. Wyjaśnię pokrótce co zaszło. Bartel stał pomizerniały, z cierpiącą twarzą. Mnie także było przykro. O tym, że jego żona jest Żydówką, powiedział mi kiedyś na pauzie Jurek Lichtenstein z VIII B.

W Warszawie mróz około 20 stopni, tak mi piszą. Przed Domem Literatów pośliznął się na oblodzonych schodkach Jan Maria Gisges i padając złamał podstawę czaszki. Umarł w szpitalu nie odzyskawszy przytomności. Przez trzydzieści lat pełnił funkcje sekretarza administracyjnego Związku. Miesiąc temu został wiceprezesem nowo powołanej organizacji, która po rozwiązaniu ZLP zabrała mu nazwę, siedzibę, domy pracy i wszelką własność materialną. Jan Maria Gisges upadł po swoim wielkim skoku, lata cichej służby właśnie teraz miały mu zaowocować błyszczącą karierą. Lecz oto źle stąpnął i padł. Nie od pioruna — to zima warszawska podłożyła mu pod obcas lód zamiast posadzki balowej i runął na wznak, ze swoim przedziałkiem i wąsikiem. Cóż to? Psikusy wyczynia Nieobecny w ciemnych dniach, gdy nikomu nie chce się żartować?

W mróz przemówił Prymas. Nie było w miastach wystąpień zbiorowych, do których wezwało kierownictwo podziemnej Solidarności, by uczcić pamięć robotników poległych w grudniu 1970 na Wybrzeżu. W trzy dni później Prymas potępił wezwanie językiem ciężkim i niesprawiedliwym. Mógł nie wypowiedzieć tych słów. 16 grudnia w Polsce panował spokój. Ulice w śniegu, na rogach kordony zomowców z tarczami i w hełmach, ogonki przytupywały z zimna. Wałęsa leżał chory na grypę, pomnik w Gdańsku odgradziły zwarte kolumny milicji, przez opróżniony plac żona Wałęsy szła po śniegu, by złożyć kwiaty pod pomnikiem. Ukłękła, wstała po chwili i rozglądając się zrobiła

ręką bezradny gest. Dziesięć dni temu w Oslo witała ją para królewska, tłum skandował jej imię, czekając aż się ukaże na balkonie. Podbiła serca Norwegów, oczarowała pół globu swoją urodą i taktem, swobodną godnością. Mały Wałęsa stał obok niej na podium, trzymając w ręku szczerozłoty medal przyznany ojcu. Ojciec stał w Gdańsku przed radioodbiornikiem, z pochyloną głową, przy nim ksiądz Jankowski. Wszystko pokazała w obrazkach, uśmiechając się do francuskich telewidzów, przystojna spikierka TF2.

Trwa ballada, cudowna opowieść o Lechu Wałęsie i jego żonie Danucie.

Pod placem Concorde nocą w pustym tunelu metra gra na flecie niemłoda kobieta. Stoi pod ścianą. Ma wąską, kozią twarz o zamkniętych powiekach i czuprynkę ostrzyżoną na jeża. Gra arie z „Carmen”. Jest późno, długim korytarzem prawie nikt nie przechodzi. Muzykanka gra z przymkniętymi oczyma, mając za plecami brudną nagą ścianę, a przed sobą leżący na ziemi stary kapelus. Błyszczą w nim jedna moneta.

Na ulicach kwietniowa pogoda. Przed sklepami na Saint-Paulu z wystawionych straganów bije zapach ryb i krabów. Według prognoz meteorologicznych Boże Narodzenie będzie w tym roku najcieplejsze od początku XX wieku. Wiele kobiet ma świeżo ufryzowane głowy, lekkie, przejrzyste szale chronią je przed wilgocią. Trudno się precyzyjnie przez zatłoczony chodnik. Karuzela na placu obraca się w światłach i muzyce. Stoje przed wejściem do Monoprix. Widzę kupujący tłum, patrzę na formy i kolory przedmiotów, których nie kupię, i czuję... Jest w tym coś z imaginacji czy z abstrakcji, a jednak czuję niepokój podobny do wyrzutu sumienia.

Trzecie kolejne Boże Narodzenie poza krajem. Rok temu byliśmy w Englewood u Witków Markowiczów, z Kropką, Moniką, Klarą, Danielą i garstką znajomych przygnanych do Ameryki w różnych latach. Po wigilijnej kolacji wszyscy mogli siebie zobaczyć w telewizji — video przeniosło na ekran sceny filmowane przy stole. Pamiętam, że później siedziałem z Kropką Minkiewiczową. Prosiłem ją, żeby mi opowiedziała, jak w czasie okupacji wiozła dorożką przez Warszawę ściganego listami gończymi aktora Damięckiego. Opowiedziała mi to jeszcze raz.

Ciepło. Wiosna. W tym roku wigilię spędzimy w La Hacqui-nière u Krzywickich. Osiedli we Francji nie tak dawno, dwadzieścia lat temu, ale należą do niezbyt licznych Polaków, w których nie wyczuwam niepokoju uchodźców. To, co określiłem jako niepokój podobny do wyrzutu sumienia przeżywa się nieomal fizycznie. Miejsce, w którym się żyje jest miejscem nie

całkowicie oczywistym i niezupełnie materialnym, rodzajem cienia dającego osłonę, ale substancja jest gdzie indziej.

Wtorek, 27 grudnia. Telewizja ukazała Papieża spowiadającego mahometanina, który miał go zabić. Byli jakby spleceni ze sobą. Papież schylony obejmował kłęczącego Agcę, dotykając skronią jego piersi. Nad białą głową Papieża widać było ciemną głowę skazańca. Zdjęcie trwało długo. Papież, wsłuchując się w szept Agcy, przez chwilę, jak w nagłym bólu, zacisnął palce na jego ramieniu. Kamery uchwyciły ów moment: dłoń Papieża gniotącą szary rękaw więziennego swetra.

Kazimierz BRANDYS

Ś. † P.

STANISŁAW KWIATKOWSKI
podporucznik rezerwy WP

absolwent Wyższej Szkoły Handlu i Nauk Politycznych w Warszawie, uczestnik kampanii wrześniowej 1939 roku w 9. pal, Woldenberczyk, członek AK, po wojnie w służbie kompanii wartowniczych w Mannheim, kierownik Biura Emigracyjnego w obozie Heilbronn, długoletni skarbnik Oddziału Koła b. żołnierzy Armii Krajowej na stany Nowej Anglii, zmarł 21 sierpnia 1983 roku na Florydzie, pochowany w New Britain, Connecticut.

ŻONA
I GRONO PRZYJACIÓŁ

Sąd Ostateczny

Umarłem i poszedłem w zaświaty. Brama zaświatów przystrojona była czerwoną flagą.

— Spodziewałem się raczej niebieskiej — powiedziałem do odzwiernego.

— Dawno pan umarł?

— Nie, dopiero co, przed chwilą.

Portier pokiwał głową, jakby takiej właśnie oczekiwał odpowiedzi. Zadowolony z siebie, jak znawca, który prawidłowo ocenił przedmiot.

— Pochodzenie?

— Z ziemi. Planety, znaczy się.

Spojrzał na mnie za zadumą eksperta, który po rozpoznaniu zastanawia się nad metodą. Było w nim coś niezmiernie fachowego, choć trudno mi było ustalić o jaki fach chodzi. Ale z pewnością nie zwyczajnego portiera. A jednocześnie nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że z tym fachem już gdzieś się spotkałem.

— No — powiedział. — Nie będziemy z tego robili historii, choć za te żarty mógłby pan mieć przykrości. Za niepoważny stosunek, znaczy się. Ale tym razem jeszcze darujemy. Pochodzenie?

— Już powiedziałem.

Uderzył pięścią w stół.

— Robotnicze, chłopskie, czy inteligenckie. A może obszarnicze, co?

— Obszarnicze? Nie, skądże — zaprzeczyłem skwapliwie, bo odezwał się we mnie dawny refleks.

— No to wypełnić! — I podesunął mi formularz o wielu

rubrykach wydrukowany na dobrze mi znanym, szarawym papierze złej jakości.

— Ja chciałem tylko przez to powiedzieć, ja myślałem, że tu już wszystko wiadomo. Więc już nie trzeba.

Wzniósł oczy do nieba, jeżeli tak rzecz można, bo przecież znajdowaliśmy się w niebie, z anielską, ale groźną, bo zbyt ostentacyjną cierpliwością.

— Pewnie, że wiadomo, Ale co to ma wspólnego? Wiadomo, a trzeba, to dwie różne sprawy.

— Jako na ziemi tako i w niebie?

— Właśnie.

I podał mi pióro na łańcuszku (żeby petenci nie kradli? Ale tu, w niebie?!) również skądś mi znajome. Na końcu stalówki tkwiły zaschnięte szczątki muchy męczenniczki.

— Tylko czytelnie. I niczego nie pomijać.

Jakże to, Piotrze Święty, przecież tu niebo, a nie ziemia — tak chciałem już powiedzieć, ale spojrzałem na jego wygoloną twarz i zaniechałem. Święty Piotr, o ile mi wiadomo, nosi obfitą brodę. Może oddalił się na chwilę, a ten tutaj, to tylko jego pomocnik, podczas nieobecności szefa nadużywający władzy? Widocznie zdarza się nawet w niebie. Nie należy czepiać się takich drobiazków, tym bardziej, że poza tym wszystko wydawało się w porządku. Wielki portret Boga Ojca, z wielką prawidłową brodą wisiał na ścianie stróżówki.

Zaopatrzone w przepustkę udałem się w głąb raj. Ciekawie rozglądałem się po terenie, wypatrując aniołów i zbawionych dusz. Jakoż niebawem natrafiłem na nie, ale wyglądały jakoś dziwnie, to znaczy trochę inaczej niż się spodziewałem. Zamiast siedzieć pojedynczo na indywidualnych obłokach szły dokądś w zwartej kolumnie z orkiestrą dętą na czele. Orkiestra da się wytłumaczyć na różnych obrazach, które widywałem za życia, anioły używały trąb, choć też i przygrywały na harfach, a tu były wyłącznie trąby. Bardziej zdziwiły mnie ich skrzydła, przycięte krótko tuż u ramion, więc jakby nie skrzydła, tylko ich kikuty. Przyłączyłem się do ostatniej czwórki. Jak w każdym pochodzie, tak i w tym na końcu wlekły się egzemplarze najmniej dorodne i najmniej dziarskie. Niedużego wzrostu i niemrawe. Nikt się nie odzywał do mnie, więc po pewnym czasie sam musiałem nawiązać rozmowę.

— Alleluja — powiedziałem do jednego, co włócił się na samym, na samiutkim końcu, bo był najbardziej opieszalszy. Przypuszczałem, że w ten sposób pozdrawiają się tutejsi.

— Alleluja — odwzajemnił, ale bez zapału, formalnie jakby.

— Jak tam zbawienie — ciągnąłem dalej, nie zrażony jego rezerwą. — Dobrze idzie?

— W porządku — odpowiedział obrzucając mnie krótkim, badawczym spojrzeniem.

— A ten pochód, to dokąd?

Przyjrzał mi się dłużej i uważniej, ale nic nie odpowiedział.

— Przepraszam, że pytam, ale ja co dopiero z ziemi, niezorientowany jestem.

— Z ziemi? — powtórzył, ale wciąż z tą jego rezerwą.

— Dopiero co, a na bramie niczego się nie mogłem dowiedzieć. Ten Święty to jakby nie Święty Piotr, żadna z nim rozmowa.

— Święty Piotr?

— On, albo jego zastępca, nie wiem dokładnie, a nie śmiałem pytać, bo z góry mnie nieco traktował.

Niemrawy milczał przez chwilę.

— A skąd ja mogę wiedzieć, czyś pan rzeczywiście z ziemi, czy nie z ziemi — rzekł wreszcie.

— Wystarczy mi spojrzeć na plecy. Jeszcze nie mam skrzydeł, dostanę je dopiero po rozprawie sądowej, oczywiście jeżeli mnie zatwierdzą.

— Fakt — przytaknął i rozpogodził się. — Przepraszam za ostrość, ale jak pan tu dłużej pobędzie, to pan zrozumie.

— Swoją drogą ciekawe te wasze skrzydła, palanty jakiegoś, a nie skrzydła. Czemu takie krótkie?

— Zwolnijmy trochę — zaproponował. Zwolniliśmy kroku, aż między nami a końcem pochodu powstała pewna odległość.

— To proste — wyjaśnił, kiedy ostatni aniołowie nie mogli nas już usłyszeć. — Do czego służą skrzydła?

— Jak to, do czego. Do latania, oczywiście.

— A jak się lata, to można gdzieś polecieć, nie?

— To samo z siebie wynika.

— A jak polecieć, to i odlecieć, nie?

— Jak to, odlecieć...

— No tak, żeby już nie wrócić.

Zaczęło mi coś świtać.

— Chce pan przez to powiedzieć, że naumyślnie dają takie krótkie skrzydła... żeby nie można było...

Zamiast odpowiedzi pomachał kikutami. Nie wznosił się ani o centymetr.

— Ale to przecież nonsens! Kto chciałby uciekać z raj?

— Zależy z jakiego. Tutaj się dużo zmieniło od czasu, kiedy się pan uczył religii.

— To prawda, że katechizmu uczyłem się już dawno, dawno temu. Jeszcze w przedwojennej szkole.

— Właśnie. Tymczasem Historia poszła naprzód. Według nieubłaganych praw.

- Mógłby mi pan to bliżej wyjaśnić?
- Czegoś się pan uczył, na przykład w sprawie grzechu...
- Normalnie. Żeby nie kraść, nie zabijać... Całe Dziesięcioro Przykazań.
- Nieaktualne.
- Jak to, nieaktualne? Kraść i zabijać już można?
- Ani można, ani nie można. W ogóle już nie o to chodzi. Teraz są inne kryteria. Grzechem jest wszystko, co hamuje postęp społeczny, a cnotą wszystko, co go przyspiesza. Jak już pan koniecznie chce kraść, to kradnij pan w sprawie przyspieszania. Tak samo z zabijaniem. Tylko według tego będziesz pan sądzony.
- Zaraz, zaraz, bo nie nadążam. To znaczy raj... raj też już jest postępowy?
- Więcej. Teraz raj, to ostateczna realizacja wiesz pan czego. Według nieuchronnych praw... Uczył pan się chyba tego po wojnie.
- O Jezu! — jęknąłem.
- Jaki Jezu. Radzę panu z tym uważać.
- A więc ten Święty Piotr...
- Jaki Święty Piotr. Dawno zlikwidowany.
- Ale przecież... kierownictwo się nie zmieniło. Sam widziałem portret.
- Tego z brodą, co? Nie przypomina pan sobie innego portretu też z brodą, dosyć podobnego...
- Olśniło mnie.
- Karol?! — wykrzyknąłem.
- Pokiwał głową. Słowa były już niepotrzebne.
- Niebo zawirowało mi przed oczami. Chciałem zawrócić i pędem stąd się wydostać, ale przypomniałem sobie, kto jest na bramie. Tamten objął mnie ramieniem.
- Trudno, bracie — powiedział współczująco. — Nieubłagane prawa Historii.
- Dokąd teraz idziemy... — wybełkotałem.
- Na wiec.
- Na jaki wiec...
- Będą sądzili jednego, a my jako głos ludu. „Niech żyje”, „Precz”, znasz to przecież.
- Znam — wyszeptałem, patrząc w niebo, to znaczy w dół. Gdybyśmy byli na ziemi, powiedziałbym: „patrząc w ziemię”.
- Ale zaraz, czy to właśnie nie Ciebie będą sądzili? Boś ty przecież jeszcze nie sądzony, dopiero idziesz na sąd.
- Zgadza się. To ja, to mnie.
- Odsunął się natychmiast.
- Nie gniewaj się, ale zobaczymy się dopiero po rozprawie — powiedział szybko. — Sam chyba rozumiesz.

- Myślisz, że mogą mnie skazać?
- Feliks to ty nie jesteś, a oni nie żartują. W dawnym ustroju były takie rzeczy, jak grzechów odpuszczenie, ale teraz nic, tylko te prawa i prawa. Nieubłagane.
- I przyłączył się do kolegów aniołów. Od tej pory nie tylko nie rozmawiał już ze mną, ale również udawał, że mnie nie widzi.
- Wlokłem się za nimi ze spuszczoną głową. „Nieubłagane prawa”... „Oni nie żartują” — huczało mi w tej głowie. Więc takie jest teraz niebo, tego rodzaju. Tak nieprawdopodobna, oszałamiająca wprost zmiana, kto mógł przypuszczać, kto mógł przewidzieć.
- A jednak, kiedy się lepiej zastanowić, zmiana wcale nie aż tak zaskakująca. Czy nie dosyć żyłem na ziemi w drugiej połowie dwudziestego wieku? Czy nie dosyć przeczytałem gazet w różnych językach, rozpraw uczonych i dzieł literackich? Czy nie dosyć słuchałem radia i rozmów towarzyskich, czy nie dosyć oglądałem różnych telewizji? Czy nie dosyć, żeby przewidzieć na co się zanosi? Nie rozumiałem może co oni ani jak mówią, piszą i pokazują? Rozumiałem przecież. Obserwowałem jak rosły nowe wartości, jak zmieniało się pojęcie Dobra i Zła, jak ginęła stara i jak powstawała nowa religia. A więc?
- Więc to nie rozum mnie zawiódł, tylko wiara. Po prostu nie wierzyłem, że to naprawdę i że to aż tak. Moje osobiste doświadczenie nie pozwalało mi uwierzyć, że oni też, że dobrowolnie... I teraz tu jestem, całkiem nieprzygotowany do sądu, od którego zależy moje zbawienie wieczne lub potępienie na wieki.
- Bo jeśli istnieje zbawienie, to również potępienie musi istnieć. A zatem...
- Oto już miejsce Sądu Ostatecznego. Dolina obszerna, a nad nią góra wyniosła, wszystko pokryte czerwonym, przydialnym suknem. Pochód zatrzymał się w dolinie, a góra obsiedziana już była przez Patriarchów i Ojców Nowego Kościoła, Błogosławionych, Proroków i Świętych od spodu wzwyż, według rangi i stopnia, aż do Trójcy na samym szczycie. Najwyższy, ze wspomnianą już, kolosalną brodą, był najwyżej. Siedział na tronie, a w ręku trzymał Pismo, wszystkie tomy, wydanie zbiorowe. Zza jego ramienia wyglądał mu ten honorowy Vice, co też ma brodę, tylko przyciętą i nie tak kędzierzawą. Po lewicy Najwyższego siedział Łysy, z bródką całkiem już przyciętą, bo w szpic, a po prawicy ten z wąsami tylko. A poniżej. — Ach, kogo tam nie było.
- I znalazłem się sam jeden u stóp tej olbrzymiej góry, a za mną tłum zbawionego ludu. Archanioł zadał w trąbę — nie rozpoznałem, czy był to Susłow, czy Budionny — i zaczął się proces.
- Najpierw sekretarz sądu odczytał moje akta. Poznałem go.

Za życia nie był wielkim Sekretarzem, to znaczy mniej był znany w świecie niż inni Pierwsi Sekretarze, za to u nas bardzo był znany. To ten z malutkim wąsikiem *à la* szcoteczka, do góry czesany. Wielu moich rodaków jeszcze go pamięta i pewnie dlatego został przydzielony do mojej sprawy, że kiedyś należałem do jego terenu. Całe moje ziemskie życie było w tych aktach opisane. Marnie to wyglądało. Wprawdzie za młodu należałem do różnych pobożnych organizacji, ale martwy ze mnie był członek, faryzeusz właściwie. A później... Im później tym gorzej.

— Wiele grzechów ma podsądny na sumieniu — zagał Przewodniczący, ale musiał przerwać, bo przeszkadzało mu jakieś gadanie. — Proszę nie rozmawiać na sali — upomniał małego, grubawego, w okularach, z przedziałkiem, który w grupie Błogosławionych pouczał o czymś swoich sąsiadów, szeptem wprawdzie, ale namiętnie. — Wiele ciężkich grzechów popełnił, wiele boskiej obrazy.

— Precz! — krzyknął tłum w dolinie.

— Ale Sąd Ostateczny chce sprawę rozpatrzyć do końca i dać mu szansę zbawienia.

— Niech żyje! — krzyknął tłum.

— Niechaj podsądny się zbliży i odpowie na pytania. Wszystko będzie zależało od jego odpowiedzi.

Postąpiłem kilka kroków i zatrzymałem się u samego podnóża góry. Musiałem dobrze zadzierać głowę, żeby widzieć wierzchołek.

— Proszę nie zakłócać — zwrócił się znów Przewodniczący do tego, co nie przestawał gadać. — *S'il vous plait.*

— Acha — pomyślałem sobie — to jakiś Francuz.

— Oto pierwsze pytanie. Jaki jest stosunek podsądnego do feudalnego ucisku?

— Bardzo lubię.

Szmer zgromy przeszedł po górze i dolinie. Nie była to całkiem prawda, feudalowie są mi dosyć obojętni, ale wolałem przesadzić dla większej pewności. Nie mogłem ryzykować niczego, co by mi groziło zbawieniem. Tylko Francuz mówił coś bez przerwy, na nic nie zwracając uwagi.

— Towarzyszu Sartre, proszę opuścić salę. Acha, więc podsądny jest zwolennikiem klas posiadających? To może wobec tego podsądny nam powie, co sądzi o sprzeczności między społecznym sposobem wytwarzania a prywatną własnością środków produkcji.

Musiałem przeczekać małe zamieszanie, kiedy wynosili Sartra, bo sam wyjść nie chciał. Dzierżyński niósł go do spółki z Thorem, on zaś gadać nie przestawał. Dopiero kiedy go wynieśli był spokoj i w ciszy zabrzmiały moje słowa.

— Mnie wszystko jedno. Byle były pieniądze.

Jęknęła góra i dolina. Samego Przewodniczącego jakby zamurowało. Opanował się jednak i rzekł po chwili przez zaciśnięte zęby.

— Coraz to lepiej. Więc oskarżony popiera wyzysk?

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, czy jest duży czy mały. Jak jest duży, to popieram, a jak jest mały, to też popieram, ale mniej.

Tym razem nawet jęk się nie rozległ. Bywa groza tak straszna, że przejawia się tylko milczeniem.

— Przejdźmy do zagadnienia ruchów narodowo-wyzwoleńczych. Jaki jest pogląd oskarżonego w tej sprawie?

— Chodzi o Polaków?

Pękła cisza i krzyk świętego oburzenia wypełnił niebiosa. „Precz, precz, to jest prowokacja!” — krzyczało w dolinie, a góra też krzyczała głosami wszystkich Archaniołów, Proroków, Patriarchów i Świętych. I wydawało się, że nie będzie temu końca, aż Najwyższy wzniosł lewicę. Na ten znak cisza zaległa znowu. Najwyższy pochylił się i szepnął coś do ucha Przewodniczącemu.

— Ostatnie pytanie — ogłosił Przewodniczący. — Sam Determinizm Dziejowy pragnie dać podsądnemu tę ostatnią szansę. Od tej jego ostatniej odpowiedzi będzie zależało jego zbawienie. Niech więc podsądny dobrze zważy, zanim odpowie: jaki jest jego stosunek do...

I tu wymienił przynajświętsze słowo, najświętsze ze świętych, tak święte, że nie mogę go tutaj przytoczyć, w tym opowiadaniu świeckim i niegodnym. Mogę tylko wyjawić, a i to z drżeniem, że zaczyna się ono od litery „S”.

I znowu cisza, ale tym razem najgłębsza z cisz, cisza kosmosu. Taka, w której słychać jedynie obroty planet, pulsowanie słońca i trwanie galaktyk. A ja w tej ciszy powiedziałem:

— Pierdole.

Grom, rozwarły się czeluście i pochłonięły błuzniercę. W ogniu i dymie mignął mi ktoś gruby, z cygarem w jednej ręce, z widłami w drugiej — Churchill? — rechotał ktoś, chyba Harry Truman i wywijał czarnym ogonem, paliła mnie smoła Wall Streetu i dusiła Pentagońska siarka. Więc to na wieki wieków Amen? — zdążyłem tylko pomyśleć i wciąż jeszcze nie dowierając, że udało mi się uniknąć Zbawienia, runąłem w piekło Kapitalizmu.

Sławomir MROŻEK

Archiwum polityczne

Niemcy : marzenie i rzeczywistość*

Niemcy Zachodnie są — po Stanach Zjednoczonych — krajem, od którego najbardziej zależy bezpieczeństwo Europy, a zarazem krajem najmniej rozumianym przez resztę Europejczyków. Opinia publiczna Niemiec przeszła — od inwazji Afganistanu — ewolucję wręcz przeciwną rozwojowi opinii publicznych innych krajów zachodnich. RFN nie chciała podzielić diagnozy swych sprzymierzeńców dotyczącej klęski odprężenia i wzrostu sowieckiego zagrożenia. Stała się ośrodkiem pacyfizmu, okazała pogardliwą obojętność wobec losu Polaków, jeśli nie jawną wrogość do Solidarności. Mimo to Bundestag głosował za rozmieszczeniem Pershingów. Czy można jednak powiedzieć, że ta decyzja usunęła zagadkę i dwoistość uczuć Niemiec? Przymierze Atlantyczne rozwiązało jeden ze swych problemów, problemy niemieckie pozostały jednak nietknięte.

Jakie to problemy? Mimo kompetencji francuskich specjalistów od spraw niemieckich, francuska opinia publiczna wzdraga się przed ich zrozumieniem, pozostaje dotknięta umysłową ślepotą wobec faktów niezmiernie prostych.

Nie rozumiemy wielu poczynań niemieckich, wydają się nam pełne sprzeczności po prostu dlatego, że stanowią reakcję na pełną sprzeczności sytuację, na łamigłówki, o których mamy bardzo niejasne pojęcie.

Oto pierwszy fakt, prosty i tak monumentalny, że na ogół zapoznawany: *RFN nie jest państwem suwerennym*. Może się to wydać zadziwiające, skoro kraj ten ma głowę państwa, rząd, ministrów spraw zagranicznych i obrony narodowej. A przecież tak jest, mimo że reżim okupacyjny został w RFN (choć nie w Berlinie) od dawna zniesiony. Tak jest zgodnie z artykułem II Konstytucji: „Trzy mocarstwa, Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania rezerwują sobie prawa i odpowiedzialności bę-

dące poprzednio w ich posiadaniu”, czyli prawa do wszystkiego co dotyczy Berlina i całości Niemiec w perspektywie ostatecznego statusu kraju i traktatu pokojowego, który go zatwierdzi.

Drugi prosty fakt, wynikający z poprzedniego, o którym równie często się zapomina — gdyż RFN dysponuje w praktyce wszystkimi atrybutami państwa suwerennego — to ten, że *żaden traktat pokojowy nie został podpisany między Niemcami i ich dawnymi wrogami* — trzema wyżej wymienionymi i Związkiem Sowieckim: oto przyczyna ich ograniczonej suwerenności. Niemcy mogą decydować o wszystkim poza problemem niemieckim. A skoro na ten traktat pokojowy można jeszcze czekać dobrych parę wieków, chcieliby odzyskać pełnię swej suwerenności jakimkolwiek sposobem, w ramach obecnego *status quo*, nie rezygnując jednak z szans przyszłego zjednoczenia.

Trzeci prosty fakt: *Niemcy nie dysponują autonomią w zakresie militarnym*. Nie chodzi tu tylko o brak autonomii jaką dysponują Francja i Anglia, ponieważ narodowa broń atomowa jest im zabroniona: Niemcy nie są nawet w pełni dopuszczani do decyzji strategicznych. Mogą przyjąć lub nie zgodzić się na obecność obcych broni na swym terenie — prawo którego nie posiada NRD w stosunku do uzbrojenia sowieckiego — ale nie mają kontroli nad ich użyciem. Traktaty z roku 1954 i 1955, ograniczające suwerenność Niemiec w zakresie militarnym są nadal prawomocne. Tym niemniej, mimo braku suwerenności w tym zakresie, obie republiki niemieckie razem wzięte posiadają na swym terytorium najsilniejszą w historii świata, gdzie by to nie było, koncentrację wojsk i potencjału militarnego. Trudno się dziwić, że ten szczególny przywilej wywołuje napięcia psychologiczne i może prowadzić do skrajnych i sprzecznych poczynań.

To samo można powiedzieć o czwartym ważkim i prostym fakcie: *problem zjednoczenia obu państw niemieckich jest nie do rozwiązania, a zarazem nie sposób go usunąć*. Nie sposób go usunąć, bo tkwi w umyśle każdego Niemca, choćby się tego wypierał, a również dlatego, że figuruje we wstępie do Konstytucji RFN, określającym Niemcy jako „naród rozdzielony i dążący do jedności”; nie do rozwiązania, gdyż wymagałoby to desowietyzacji NRD lub sowietyzacji RFN.

Pierwsza ewentualność jest na krótką metę mało prawdopodobna, zaś trudno sobie życzyć drugiej, przynajmniej z punktu widzenia demokracji: jeśli chodzi o ZSSR, nie ulega wątpliwości, że przynajmniej *neutralizacja Niemiec Zachodnich* pozostaje jego głównym celem w Europie, kluczem do władzy nad Zachodem.

Wobec tego cierniowiska, co mówię? — wobec tego matecznika cierni, kłujących Niemców, choćby się przewracali z boku na bok, ich świadomość i polityka próbują trzech różnych form przystosowania.

Pierwsza to program Zielonych, pacyfistów lub neutralistów, polegający na prostej i całkowitej negacji rzeczywistości. Nie istnieje dla nich sowieckie zagrożenie, a być może nawet sam Związek Sowiecki. Wobec usunięcia tej przeszkody, jasne, że

* *Le Point*, Nr 589 z 2 stycznia 1984.

sprawa *euromissiles* staje się bezpodstawną amerykańską ingerencją, narzuceniem Pershingów Republice Federalnej Niemiec dla celów całkowicie urojonych. Neutralizm staje się przez to samo ruchem oporu przeciw amerykańskiemu imperializmowi i doprowadza w rezultacie do odrodzenia niemieckiego nacjonalizmu. Z faktu, że ten neutralistyczny nacjonalizm musi doprowadzić do ponownej utraty niepodległości Zieloni nie zdają sobie absolutnie sprawy, skoro sowiecka potęga militarna jest dla nich tworem zachodniej wyobraźni. Nie traćmy czasu na dociekanie, czy ruch pacyfistyczny jest szczyry, czy manipulowany przez Wschód: i jedno i drugie jest prawdą. Chodzi nam o stwierdzenie, że Zieloni uciekają przed rzeczywistością i że ta ucieczka służy sowieckim interesom.

Forma przystosowania socjalistów jest niewiele mniej irracjonalna od czasu ich ostatniego kongresu, który dał w rezultacie triumfalny powrót Willy Brandta, kosztem Helmuta Schmidta, poprzez najbardziej skrajną reafirmację *Ostpolitik*.

To nowe otwarcie na Wschód nawiązuje do jednostronnej wersji byłego odprężenia, według której ustępstwa na rzecz Sowietów, nawet bez ustępstw z ich strony, są zawsze korzystne, a więc zawsze niewystarczające.

SPD nie posuwa się wprawdzie (jak to czynią Zieloni) aż do odmowy wzięcia pod uwagę obecności SS 20 na Wschodzie, ale widzi w nich replikę na agresywność Reagana, niezależnie od tego, że został on wybrany prezydentem Stanów Zjednoczonych trzy lata po rozmieszczeniu nowych rakiet sowieckich! Znamy co prawda zwyczaj partii socjalistycznych zmieniania kierunku polityki zagranicznej zależnie od tego, czy są u władzy, czy nie, i SPD nie jest tu wyjątkiem. Nie zmienia to faktu, że ich zmiana frontu jest w obecnym kontekście międzynarodowym groźna. SPD natomiast nie chce uznać dramatycznej wprost powagi tego kontekstu i faktu, że odpowiedzialni zań są w pierwszym rzędzie sowieci, woli składać magiczne hołdy wartości odprężenia samego w sobie, co z pewnością nie prowadzi do odprężenia opartego na rzeczywistych przesłankach.

Nie należy jednak wyciągać stąd wniosku, że przystosowanie chrześcijańskiej demokracji do niemieckich sprzeczności stanowi całkowite przeciwieństwo stanowiska socjalistów. CDU okazuje więcej realizmu, jest bardziej świadoma zagrożenia demokracji, wie, że RFN nie może zawierzyć swego losu dobrej woli Moskwy. Tym niemniej CDU podziela teorię SPD, według której metoda drobnych kroków w kierunku zbliżenia obu państw niemieckich przyczyni się zwolna do zelżenia podziału Europy na dwie części. „Zwłaszcza w chwili gdy stosunki międzynarodowe są trudne — napisał ostatnio kanclerz Helmut Kohl w liście do pierwszego sekretarza NRD Ericha Honeckera — *oba niemieckie państwa muszą dołożyć wszelkich starań, by zacieśnić swe wzajemne zbliżenie*”. Przywódca Niemiec komunistycznych ze swej strony mówił w październiku 1983 roku o „narodzie niemieckim” i o prawie „całego ludu niemieckiego” do zajęcia stanowiska

przeciw wyścigowi zbrojeń. Co więcej, użył formuły, która odbiła się szerokim echem w RFN i którą Kohl powtórzył, biorąc ją na własny rachunek, „wspólnoty odpowiedzialności” między dwoma państwami niemieckimi. Polepszenie stosunków międzynarodowych w zakresie ludzkim, rodzinnym, narodowym jest oczywiście sprawą pierwszorzędnej wagi i musimy zrozumieć jego potrzebę, jeśli nie chcemy głęboko urazić niemieckiej wrażliwości. Ale CDU łudzi się, gdy jej przywódcy zaczynają wierzyć, że owe międzynarodowe stosunki przesłaniające ich horyzont staną się załącznikiem nowego odprężenia w całej Europie, a może na całym świecie! Iluzje te stają się wręcz niebezpieczne, gdy Bonn wydaje się gotowe zamknąć oczy na zagrożenie planetarne, byle międzynarodowe stosunki nadal się polepszały. Nic w tym zresztą nowego: NRD służy Sowietom jako narzędzie szantażu wobec RFN. Nie należy się zatem spodziewać, by Moskwa zgodziła się jutro zarząca tę kurę stale składającą złote jaja.

Tymczasem nawet CDU — dzisiaj u władzy — chętnie sobie wyobraża, że NRD będzie się cieszyć wzrastającym marginesem autonomii w stosunku do ZSSR, w ramach istniejącego przymierza. W jej oczach Niemcy Wschodnie cieszą się sporą i rosnącą swobodą działania. Stąd nadzieja, że w miarę zbliżenia między dwoma państwami niemieckimi odegrają one w przyszłości rolę centralnego bloku i staną się czymś w rodzaju trzeciej siły europejskiej, do której mogłyby się przyłączyć kraje takie jak Węgry, a nawet Bułgaria. Marzenie to zdradza niepokojącą ignorancję sowieckiej rzeczywistości, niebezpieczny brak rozeznania między „marginesem swobody działania” dla kraju sowieckiego bloku i *wyjściem z samego systemu*, co jest bez precedensu i czego trudno oczekiwać w niedalekiej przyszłości, a w żadnym razie z woli ZSSR i z jego błogosławieństwem.

Ciągłość wiary Niemców w korzyści wynikające z odprężenia nie jest zatem spowodowana motywacją ekonomiczną, jak się często mawia, lecz polityczną. Handel międzynarodowy stanowi drobną część handlu zagranicznego obu państw, a eksport RFN do innych krajów wschodnich minimalną część jej bilansu. Nie o to zatem chodzi. RFN chce zwiększyć swą suwerenność polityczną albo poprzez stworzenie nowych specyficznych stosunków z ZSSR i Europą Wschodnią, albo w ramach Europy Zachodniej ściślej zjednoczonej na nowych zasadach. Nie można nie uznać tego dążenia do suwerenności za niesprawiedliwe. Można natomiast zarzucić Niemcom, że dążą do tego celu wyobrażając sobie współczesny świat innym niż jest w rzeczywistości, zaprzeczając lub minimalizując fakt sowieckiego niebezpieczeństwa i traktując jako podległych wojennych wszystkich tych, którzy nie podzielają ich marzenia.

Zadaniem sprzymierzeńców RFN jest wyprowadzić ją z tego marzenia w stronę nowych układów europejskich, aby oszczędzić jej wyjścia sowieckimi drzwiami.

Jean-François REVEL

Tłumaczył K. A. JELEŃSKI (przekład za zgodą autora i tygodnika *Le Point*).

Korespondencja z Rzymu

(PIONIERSKIE PRZEDSIĘWZIĘCIE)

Potrzeba było pojawienia się włoskiego przekładu książki „Korzenie tożsamości” Bohdana Cywińskiego — pierwszej części trylogii o dziejach najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowo-wschodniej — aby przy okrągłym stole w Wiecznym Mieście zasiadli przedstawiciele pobratymczych wspólnot katolickich. Ks. H. Fokciński, dyrektor Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych, wydawca książki, która ukazała się dwa lata temu (przekład włoski na jesieni ub. roku) zorganizował 30 stycznia wieczór dyskusyjny z udziałem autora.

Głównym motywem spotkania było krytyczne spojrzenie na treść pierwszego tomu pracy Cywińskiego, która nie pretenduje do miana książki historycznej w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest, jak sam autor stwierdza, esejem historyka-publicysty, który stara się zarysować problematykę, tzn. zbadać korzenie katolicyzmu i Kościoła tego regionu, by móc w następnych częściach przejść do dziejów zderzenia z komunizmem. Autor napotykał na różne trudności ze znalezieniem odpowiednich źródeł w kraju, ma kłopoty z ich wyborem i oceną na Zachodzie. Praca ta więc nie jest pozbawiona braków i usterek, na które zwrócili uwagę kolejni prelegenci. Jest znakomicie, przejrzyste napisana, a przede wszystkim oddaje zamysł autora: przedstawienia analizowanej problematyki w trójstronnej relacji między społeczeństwem, władzą i Kościołem. Szczególna wartość tej pracy polega na próbie sformułowania współzależności dziejów Kościoła i kształtowania postaw religijnych i ideowych w całej strefie środkowo-wschodniej Europy. Z tego punktu widzenia jest to przedsięwzięcie o charakterze pionierskim, niezwykle użyteczne jako narzędzie pracy dla osób zajmujących się problemami tej strefy. Uwaga autora koncentruje się w zasadzie na łacińskich Kościołach katolickich Polski, Litwy, Węgier, Czech, Słowacji, Chorwacji i Słowenii oraz Kościoła grecko-katolickiego w dawnej Małopolsce Wschodniej i w rumuńskim Siedmiogrodzie (Transylwanii).

W zagajeniu spotkania Ks. Fokciński słusznie podkreślił, że należy wykorzystać uprzywilejowane warunki dla przeprowadzenia swobodnej dyskusji nad pracą zakrojoną na tak rozległą skalę. Autor pisze we wstępie: „Obieg rzeczowej informacji o historii najnowszej Kościoła w bloku komunistycznym oficjalnie nie istnieje. Pojawiają się na ten temat jedynie publikacje jawnie propagandowe, rysujące skrajnie fałszywy obraz. W praktyce wymiana prawdziwej informacji — nawet wewnątrz Kościołów w poszczególnych krajach — jest nikła, hamowana ostrożnością

w kontaktach i niedostatkiem zaufania. Tym bardziej brak jest warunków do uformowania się wspólnej samoświadomości Kościoła w całym omawianym regionie”. Cywiński przyznaje, że „książka, pisana w Polsce i przez Polaka, nosić będzie na sobie znamiona specyficznej polskiej perspektywy”.

Ten polonocentryzm, „naturalny i nieunikniony”, jak powiada autor, wytknął mu pierwszy z prelegentów, sędziwy historyk litewski, Ks. Józef Vajštūra (marianin). Kontestował on podejście autora do problemu chrystianizacji Litwy za pośrednictwem polskich misjonarzy oraz, generalnie biorąc, polonizacji, której ulegała szlachta, ale opierał się skutecznie lud. W tym, co mówił, czuło się resentymenty związane z niezagojonymi wciąż ranami polsko-litewskiego antagonizmu. Tu i ówdzie przesadził liczby i przejaskrawił polskie winy, usuwając w cień winy litewskie, zwłaszcza w odniesieniu do okresu pierwszej wojny światowej i międzywojennego dwudziestolecia. Zarzucił chyba jednak słusznie Cywińskiemu, że stosuje czasem dwie różne miary dla Polski i dla Litwy, kiedy krytykuje np. nierozważny związek ideałów religijnych i narodowych w życiu społeczności na Litwie i upolitycznienie kleru litewskiego. To co gani na Litwie, zasługuje na pochwałę w Polsce?

Resentymenty były całkowicie nieobecne w wypowiedzi młodego ukraińskiego historyka, emigranta w trzeciej generacji z Brazylii, bazylianina Porfyria Pirdruczego. Zwrócił on uwagę na niedomagania przekładu, niedokładności terminologiczne, konfuzję między Rusią i Rosją itp. Wina to wydawcy włoskiego*, któremu jednak mimo wszystko należy się uznanie za tę inicjatywę, bez której nasi pobratymcy, nie znający języka polskiego, nie mieliby możliwości zapoznać się z tą książką. Także i on jednak, zgadzając się z autorem co do negatywnych konsekwencji politycznego uwikłania ukraińskiego kleru grecko-katolickiego, zarzucił mu, że w zakończeniu odnośnego rozdziału wyprowadza niesłuszny, zbyt ogólnikowy wniosek dotyczący ukraińskiego nacjonalizmu. Skoro go potępia, to dlaczego przemilcza polski nacjonalizm?

Zabrakło niestety zaproszonego węgierskiego historyka, jezuitę László Szilasa. Wystąpili natomiast dwaj inni jezuita: czeski historyk Jan Krajcar i chorwacki historyk Mijo Korade. Pierwszy z nich zwrócił uwagę na specyficzne zjawisko rozdzwiku pomiędzy poczuciem narodowym i religijnym w Czechach i na rolę Jana Husa jako symbolu niezależności duchowej. W przeciwieństwie do dziejów Kościoła na Słowacji, katolicyzm w Czechach i na Morawach nie zapuścił korzeni, aczkolwiek nie należy

* Katolicki wydawca, ośrodek CSEO w Bolonii, nie po raz pierwszy publikuje niestaranne przekłady z polskiego. Choć go, być może, potraktowałem zbyt ostro w numerze grudniowym z okazji wydania Czesława Miłosza (bo nie dokonał wprawdzie niczego wbrew obowiązującemu prawu ale zabrał się do przekładu w sposób dyletancki), trzeba zakwestionować jednak wybór polskich autorów względnie przekładanych prac. Wydawca ten kieruje się bowiem jednostronnym kryterium wyboru prac „pod Papieża”.

nie doceniać zjawiska konwertytów z XVIII i XIX wieku. Zupełnie odrębną kartę stanowią dzieje katolicyzmu na Słowacji, zwłaszcza nurtu politycznego, który poprzez Stronnictwo Ludowe (*Lidova Strana*) ks. Hlinki i później ks. Tiso, doprowadził do skrajnie nacjonalistycznych dewiacji. Chorwacki historyk natomiast, poza wytknięciem błędów rzeczowych i terminologicznych, zarzucił autorowi znaczne „zawyżenie” liczby ofiar masakry, której sprawcami były nacjonalistyczne oddziały „ustasz”. Bronił reputacji abpa Stepinaca i innych kontrowersyjnych do tej pory kwestii, związanych ze złożonością dziejów Chorwacji i Słowenii na skutek wojny domowej.

Bohdan Cywiński skorzystał niewątpliwie z tej zbiorowej *audiatur et altera pars* i nawet zwrócił się do zebranych z prośbą o umożliwienie mu przeprowadzenia konsultacji z ekspertami odnośnych krajów przed oddaniem do druku maszynopisu drugiego tomu. W ostatnim rozdziale pierwszej części książki autor stawia pytanie, czy istnieje coś takiego jak Kościół regionalny w Europie środkowo-wschodniej. W czasie spotkania, odpowiadając na głosy w debacie, sprecyzował, że zamierza przeanalizować wspólne religijne postawy i więzi, mimo lokalnych różnic mentalności i duchowości w każdym Kościele tej strefy. Dlatego chciałby zbadać także doświadczenia pastoralne w poszczególnych krajach i odpowiedzieć na pytanie: jak ludzie reagują w tym regionie na misję lokalnego Kościoła i na politykę władzy. Jednym słowem, zamierza nadal zajmować się nie tyle samym Kościołem, ile środowiskiem społecznym, w którym ten Kościół działa (nazywa to „ekologią Kościoła”).

Nie można mu odmówić racji, kiedy pisze we wstępie: „Sporządzanie obecności Kościoła w świecie wyłącznie na płaszczyźnie sił politycznych jest z chrześcijańskiego punktu widzenia nie do przyjęcia... Gdy filozofia okazuje się zbyt teoretyczna, socjologia — wąska, a polityka w swym praktycyzmie — zbyt cyniczna pytanie o sens doświadczeń Kościoła w zderzeniu z komunizmem pozostaje nadal otwarte”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 lutego 1984 r.

„BERLIŃSKIE TROPY”

Pierwszy w języku polskim esej o Zachodnim Berlinie.

Do nabycia u Autora:

Andrzej KEMPFI,

7, Anselm Road, London S.W.6.

Cena z przesyłką: £ 1.20 (\$ 1,75).

Obserwatorium

Docierające do nas z różnych środowisk w kraju reakcje sygnalizują zjawisko rosnącej dezorientacji społeczeństwa na skutek taktyki Prymasa Polski, która polega na stałej ustępliwości wobec władzy i na wyciszaniu wszelkich przejawów jej nieprawości. To stanowisko, obserwowane z niepokojem już od dłuższego czasu, uwidoczniło się ostatnio w dwóch jego wystąpieniach: w orędziu świątecznym i kazaniu w dniu 6 stycznia. W pierwszym przypadku za uprawianie polityki zgromieni zostali w równej mierze księża-kolaboranci z „Caritasu” i kapłani szykanowani za publiczną obronę działaczy „Solidarności” („ludzi pokrzywdzonych” — jak nazywa ich orędzie prymasowskie). Na skutek protestów jednych i drugich Ks. Prymas w ostatniej chwili polecił usunąć inkryminowany fragment orędzia. Zostało więc odczytane w kościołach w wersji auto-ocenzurowanej. Ponieważ jednak „korekta” przyszła za późno, w prasie — z wyjątkiem *Tygodnika Powszechnego* — ukazał się tekst integralny. Ten epizod świadczy, jak bardzo niepewnie czuje się Głowa Kościoła w Polsce, skoro — już po opublikowaniu tekstu orędzia w oficjalnym biuletynie Biura Prasowego Episkopatu — podejmuje decyzję wprowadzającą doń zmiany. W drugim przypadku mieliśmy do czynienia wręcz z podarunkiem dla Jaruzelskiego i Andropowa, tj. z potępieniem jedynie instalacji rakiet w Europie Zachodniej, a przemilczeniem uprzedniego ich zainstalowania na terenie ZSSR.

Rozumiemy, że Ks. Prymas nie ma łatwego zadania po takim poprzedniku jak zmarły kardynał Wyszyński i to w sytuacji, która jest na pewno bardziej skomplikowana niż w okresie stalinowskim, kiedy kardynał Wyszyński też decydował się na niepopularne kroki, jak choćby słynny układ z władzą z 1950 roku (kontestowany zarówno przez kardynała Sapięgę, jak i przez Watykan). Należy ponadto przyjąć, że Prymas ma zapewne jak najlepsze zamiary, ale niestety wykonanie mocno szwankuje. W prymasowskich wystąpieniach budzą od samego początku zastrzeżenia: brak jednoznacznych sformułowań, posługiwanie się nieraz terminologią wziętą żywcem z urzędowej propagandy i po-

zory schlebiana władzy. Szczególnie irytujące są niektóre jego wezwania. Kiedy nawołuje wiernych do wspólnego odmawiania modlitwy w domach rodzinnych, precyzuje: „choćby po wieczornym dzienniku telewizyjnym”. Wiadomo przecież, jak zniebawidzone są te programy w społeczeństwie. Ks. Prymas patrzy jednak na działalność środków masowego przekazu tak, jakby chodziło o normalny kraj i normalny system.

Na te świadome czy nieświadome niedomagania jedynym remedium wydaje się wzmocnienie kolegalności biskupów, to znaczy przejęcie przewodnictwa duchowego w sprawach ogólnospołecznych i narodowych przez Radę Główną i plenarne Konferencje Episkopatu. Przypomnijmy, że w sierpniu ubiegłego roku plenarna sesja biskupów, w której Ks. Prymas nie uczestniczył z powodu choroby, zajęła bardzo zdecydowane, twarde stanowisko w sprawie postulatów społecznych (i do dziś dnia ten dokument jest źle widziany przez władze państwowe). W obecnym, trudnym okresie z punktu widzenia społeczno-gospodarczego na plan pierwszy wysuwają się decyzje Prymasa, które mają charakter polityczny, natomiast niewątpliwie w cieniu pozostają jego osiągnięcia na planie ściśle pastoralnym. Tylko odciążenie Ks. Prymasa poprzez kolektywne wystąpienie biskupów może zaradzić dalszym zgrzytom, prowadzącym nie tylko do spadku autorytetu Prymasa, ale także do osłabienia prestiżu Kościoła w społeczeństwie.

Pozostaje do rozstrzygnięcia, jaki jest stosunek samego Papieża do tej budzącej niepokój sytuacji. Chociaż podobno jest tym bardzo zmartwiony, niewiele jednak, jak się wydaje, może wskórać, poza dobrymi radami, by tę sytuację zmienić na lepsze.

REDAKCJA

Kraj

Polskie rolnictwo

Trzecia rewolucja techniczna wyklucza nas z europejskiego systemu gospodarczego. Przy naszych przestarzałych technologiach, czyniących z nas kraj najbardziej energożerny, stałożerny, przy małej wydajności robotnika i fatalnym wyglądzie naszych wyrobów przemysłowych — jesteśmy dla gospodarki europejskiej obciążeniem.

Jedynym naszym bogactwem jakim jeszcze dysponujemy jest dziewiętnaście milionów hektarów użytków rolnych.

Jest to bogactwo przy właściwych metodach uprawy bezcenne bo stale regenerujące się, bezcenne, bo na roli pracuje grupa społeczna zwana chłopami, która — choć najbardziej postponowana, dyskryminowana politycznie i społecznie, jednak wykazuje chęć do pracy, ulepszania swoich warsztatów, zwiększania produkcji. Te walory polskiego chłopstwa wynikają ze związku jego pracy z ziemią. Jest to jeszcze najmniej zdemoralizowana grupa społeczna.

Te nasze dziewiętnaście milionów hektarów użytków rolnych to ziemię rozdrobnioną w pięciohektarowych gospodarstwach (przeciętnie), a więc znów najfatalniejsza struktura w Europie.

Są to ziemię najgorzej uzbrojone technicznie, bez odpowiedniej sieci dróg, bez odpowiadającej dzisiejszym potrzebom sieci elektrycznej, praktycznie odcięte od kolei żelaznej. Zarządzenie likwidujące małe stacje kolejowe doprowadziło do tego, że droga każdej tony produktu rolnego i każdej tony materiału przeznaczonego dla produkcji rolnej wydłużyła się o 30 kilometrów. Te 30 kilometrów obecnej odległości wsi od kolei pokonujemy traktorami, sprzętem nieprzystosowanym do transportu drogowego, niszczącym w tym transporcie silniki i gumienie.

Niekompleksowa i niekonserwowana melioracja zamiast polepszać stan gleb, często je degraduje. Obszar pól nawadnianych w Polsce w roku 1983 jest mniejszy niż był w roku 1913.

Na zaopatrzenie naszego rolnictwa, na wyposażenie w podstawowe narzędzia pracy przemysł państwowy przeznaczył 4 % swojej produkcji, nastawiając się tym samym nie tyle na likwidację sektora prywatnego w rolnictwie, ile na likwidację samego rolnictwa.

Mimo wszystko te dziewiętnaście milionów hektarów ziemi wraz z chłopami, którzy chcą na niej pracować, jest jedynym, ale już ostatnim bogactwem, jakim dysponujemy. Jeżeli nie uratujemy rolnictwa, nie uratujemy Polski.

„Otwarcie na Zachód” pogrążyło nasz kraj w długach zaciągniętych na bezsensowną industrializację, bezsensowną podwójnie, bo pogłębiała ona nasz status kraju surowcowego, a jednocześnie coraz bardziej uzależniała od surowców, którymi nie dysponujemy i dysponować nie będziemy. To zadłużenie uderzyło w podstawy rolnictwa, bo doprowadziło do zalewu taniego zboża amerykańskiego, co podważyło sensowność uprawy ziem w Polsce.

Dziś nikt nam nie udzieli kredytu na ratowanie polskiego rolnictwa, a własny, rozwalony głupimi inwestycjami przemysł nie zarobi na nie, choć trzydzieści lat wysysał zeń wszystkie soki. Dziś ten przemysł sparaliżowany jest centralistycznymi zarządzeniami, wydawanymi pod płaszczykiem reformy gospodarczej.

Dzięki sensacjom, jakich dostarczyło społeczeństwo polskie Europie, wzbudziliśmy na Zachodzie zainteresowanie Polską, a przede wszystkim działalność charytatywną na rzecz tego biednego kraju. Dzięki tej działalności, przy aktywnym udziale zachodnich katolików, zbierano sumę dwóch miliardów dolarów przeznaczoną na ratowanie polskiego rolnictwa. Nie jest to suma duża, daleka od potrzeb, ale racjonalnie wykorzystana może stać się niezbędnym bodźcem do aktywizacji naszego rolnictwa, do zapoczątkowania koniecznych zmian w jego fatalnej strukturze, do wyzwolenia go spod druzgocącej hegemonii priorytetów przemysłowych. Najlepszym przykładem tych priorytetów jest to, że chociaż ruszyło wydobycie węgla, wciąż brak sznurka do snopowiązałek, lemieszki do pługów, pasów klinowych do prymitywnych maszyn rolniczych, dętek do opon traktorowych.

Wykorzystanie tej pomocy zachodniej, która spada nam dosłownie z nieba już w ostatniej chwili jest tematem całkowicie utajnionych pertraktacji między rządem a Episkopatem. Rząd może odrzucić tę pomoc lub w jakiś sposób nie dopuścić do jej wykorzystania, Episkopat zaś jest formalnie odpowiedzialny za to, by pomoc ta trafiła rzeczywiście do rolnictwa.

Pezetpeeria udowodniła dwudziestoma miliardami długów, jak szybko i beztrasko potrafi marnować pieniądze. Dla pezetpeerii zmarnowanie dwóch miliardów charytatywnej pomocy może być kwestią paru tygodni. Ma w tym względzie wprawę i doświadczenie.

Episkopat przez desygnowanie swego czasu do władz „Solidarności” kompletnie bezradnych wobec współczesnych problemów ekspertów udowodnił, że nie ma kadry i jest nieprzygotowany do zajęcia się sprawami, które nie są ściśle związane z rytuałem religijnym. Najbardziej może niepokoić społeczeństwo absolutna tajność tych pertraktacji, mimo że strona rządowa formalnie stoi na stanowisku jawności życia politycznego, a Episkopat w swych enuncjacjach postuluje taką jawność. Widać, że dla obydwu stron oficjalne deklaracje a praktyka życia codziennego — to dwie różne sprawy. Społeczeństwo zaś w chwili gdy piszę te słowa najbardziej zaabsorbowane jest problemem, czy 31 sierpnia wsiadać do tramwajów między godziną 14-tą a 16-tą, czy nie wsiadać i nie ma głowy do zajmowania się problemami stanowiącymi o jego dalszym losie.

Podobno tematem sporu w sprawie właściwego wykorzystania tych dwóch miliardów dolarów są sprawy doktrynalne i problem rozbija się o to, czy pieniądze mają umocnić „sektor prywatny”, czy też wspomóc „gospodarkę socjalistyczną” jako całość.

Rolnictwo, jako część gospodarki narodowej, jest sektorem prywatnym i by istnieć i się rozwijać, musi się rządzić prawami obowiązującymi w tym sektorze. Szkoda tylko, że ten sektor nie ma absolutnie swojej reprezentacji politycznej, nie ma też reprezentacji zawodowej, które byłyby siłą kreującą jej właściwy rozwój i chroniły jej interesy. Dotychczasowe formalne reprezentacje wsi nie spełniały swojego zadania, czego najlepszym dowodem jest niedożywienie Polski i deficyt produktów żywnościowych. Innych przykładów przytaczać już nie trzeba. Jest to tym bardziej dla nas bolesne i zawstydzające, że cała Europa, gęściej przecież od nas zaludniona, mająca zaangażowane tylko od 10 % do 20 % sił produkcyjnych w rolnictwo, bardziej od nas zurbanizowana, ma nieustające kłopoty z nadwyżkami produkcji rolnej, mimo że się lepiej od nas odżywia. Ze swoją konsumpcją mięsa wspieraną importem między innymi z Chin na poziomie 40-45 kilogramów mięsa na osobę (oficjalnie) nie utrzymamy się długo jako społeczność zdrowa i rozwijająca się biologicznie we właściwym kierunku.

Tylko odbudowa i jednocześnie unowocześnienie rolnictwa może uratować nasze społeczeństwo od fizycznej i moralnej degeneracji, może uratować Polskę. Te dwa miliardy dolarów pochodzące z datków i darowizn litościwych zachodnich Europej-

czyków są dla naszego rolnictwa wielką szansą i, jeżeli nie zostaną sprzeniewierzone lub roztrwonione, mogą być tym koniecznym bodźcem dla całej naszej gospodarki.

Płody rolne są naturalnym surowcem dla wielu gałęzi przemysłu. Przemysłowe przetwórstwo płodów rolnych zwielokrotnia dochody rolnictwa. Rolnictwo jest stałym, niezawodnym klientem przemysłu maszyn rolniczych, przemysłu pasz i przemysłu chemicznego.

Aby rolnictwo mogło spełniać swe zadania, musi być wyposażone w narzędzia pracy, w maszyny do produkcji rolnej, musi mieć stały i niezawodny serwis używanego sprzętu i pewność, że sprzęt ten będzie stale uzupełniany, wymieniany na nowocześniejszy w miarę postępu techniki i zmieniających się, a przede wszystkim zwiększających wymagań.

Rolnictwo polskie, jako samodzielny trzeci sektor gospodarki, musi dysponować przemysłem maszyn rolniczych i usługami jako jednorodnym kompleksem wyżywieniowym.

Według nieoficjalnych i niekompletnych danych — jako że wszystko utrzymywane jest przez rząd i Episkopat w ścisłej tajemnicy — pomoc ta ma się przede wszystkim wyrażać w dostawach gotowych, konfekcjonowanych zachodnioeuropejskich wyrobów przemysłu paszowego (koncentraty, odżywki) dla hodowli oraz środków owadobójczych i chwastobójczych. Ten sposób wspomagania naszego rolnictwa niesie z sobą wielkie dla niego niebezpieczeństwa.

Wyroby te w swej dzisiejszej postaci są kolejnym, którymś tam z rzędu etapem wielkiej rewolucji agrarnej, trwającej na zachodzie od pół wieku. Wyroby te są dostosowane do potrzeb, wymagań oraz przygotowania rolnictwa zachodnioeuropejskiego na obecnym jego poziomie. Zachodni rolnik stosuje te wyroby już od lat po wielokrotnych różnorodnych próbach, po przystosowaniu swej hodowli do tych a nie innych koncentratów i przy dostępności innych koncentratów, jeżeli inaczej zaprogramował swą hodowlę.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że nasza hodowla w Polsce jest na etapie półnaturalnej dzikości. Trzeba sobie zdawać sprawę, że nasza hodowla rozregulowana stale zmieniającą się opłacalnością raz jednej, raz drugiej dziedziny, odeszła już dawno od planowania narzuconego przez naturę lub przez chłopską tradycję. Rolnik hoduje tylko to, co dziś „płaci” na punkcie skupu lub na wolnym rynku.

Na Zachodzie stosowanie tych preparatów było poprzedzone nie tylko wieloletnimi badaniami, ale także wieloletnim instruktażem wśród rolników, którzy potrafili je wykorzystywać w optymalnych dawkach i warunkach. Są to przede wszystkim dodatki

do pasz powszechnie stosowanych przez zachodnich rolników, do pasz przygotowanych przez przemysł, lub przygotowanych we własnym gospodarstwie metodami półprzemysłowymi. Są to produkty rozprowadzane na Zachodzie przez świetnie tam działający aparat usługowo-dystrybucyjny.

Wątpię, czy plebanie i probostwa, które mają rozprowadzać te preparaty są przygotowane do tej funkcji, zaś istniejący aparat gminnych spółdzielni zgnoi je i zmarnuje, tak jak wszystko, co mu się do dystrybucji dostarcza. Zresztą powierzenie tych darów aparatowi GS-ów byłoby sprzeczne z intencjami ofiarodawców, którzy przeznaczają je na ratowanie polskiego rolnictwa, a nie na zwiększenie obrotów i przerobu GS-ów. Trzeba tu z całym naciskiem zaznaczyć i podkreślić, że w rękach pezetpeerii właśnie aparat GS-ów spełniał i spełnia najważniejszą rolę w wyniszczaniu rolnictwa jako wrogiego sektora prywatnego, w łupieniu tego rolnictwa z należnych mu zysków. Aparat GS-ów lepiej niż by to mogła zrobić służba bezpieczeństwa doprowadził rolnictwo polskie, a tym samym Polskę, do stanu w jakim się znajduje. Tę samą rolę spełniała i spełnia państwowa instytucja „Agroma”, nie dopuszczająca do właściwej i kompleksowej mechanizacji rolnictwa.

Pomoc zachodnia zaplanowana jest na pięć lat i ma wynosić 400-500 milionów dolarów rocznie. Trzeba sobie zdawać sprawę — znając metafizyczne ciągotki ekspertów Episkopatów mogę wnosić, że nie zdają sobie z tego sprawy — że za tę sumę zostaną nabyte na Zachodzie i przesłane do Polski setki tysięcy, jeżeli nie miliony ton różnorodnych produktów. Będą to produkty w różnokolorowym opakowaniu, o wielojęzycznych instrukcjach i różnej wytrzymałości na transport, o różnych zasadach przechowywania i różnych terminach ważności.

W czasie swoich reporterskich podróży po Zachodzie miałem możliwość podglądania, jak taki transport wygląda, jak jest wyposażony technicznie i jak jest zorganizowany. Przemieszczenie takiej masy towarowej, przy naszych zwyczajach w transporcie, już z góry skazuje część tych darowizn na zmarnowanie. Wątpię, czy ze strony Episkopatu wystąpił ktoś kompetentny, kto ustaliłby ze stroną zachodnią warunki i zasady transportu. Oczywiście nie wiadomo — bo wszystko jest utrzymane w ścisłej tajemnicy — czy ktoś kompetentny ze strony polskiego Episkopatu przedstawił ofiarodawcom naszą listę potrzeb, czy też wszystko odbywa się według staropolskiej zasady, że „darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby”.

Jako fachowiec muszę stwierdzić, że taki napływ do Polski koncentratów paszowych byłby korzystny, gdyby był skorelowany z możliwościami naszej hodowli i naszymi umiejętnościami.

Koncentraty odpowiednio przygotowane i odpowiednio stosowane ograniczają spożycie zbóż, ba, zapobiegają jego marnotrawstwu, jakie obecnie ma miejsce. Te dostawy miałyby wielkie znaczenie, gdyby zapoczątkowały jakąś rewolucję hodowlaną w Polsce, gdyby były początkiem czegoś, co ma się rozwijać tak, jak od 50 lat rozwija się na Zachodzie.

Pomoc ta, realizowana w naturaliach, ma trwać przez pięć lat. Pięć lat to w hodowli długi okres. Przez te lata tak rolnik jak i hodowane przez niego zwierzęta przyzwyczajają się do właściwych metod wyżywienia. Po pięciu latach rolnictwo — jeśli idzie o hodowlę — będzie musiało wrócić do stanu półdzikości, a rozdzielnictwo pasz całkowicie do rąk pezetpeerii. Tym właśnie rozdzielnictwem pezetpeeria już od 35 lat trzyma rolnika za gardło.

Nie zapominajmy odstrasżającego przykładu uzależnienia własnej hodowli od importowanych pasz, jakim był los brojlerów i kur, które zdechły, gdy zabrakło amerykańskiej kukurydzy.

Trzeba ratować uprawę ziemi w Polsce. Trzeba wydobyć tę uprawę z technicznej nędzy, braku właściwych narzędzi. Bez właściwej uprawy własnej roli nie ma rozwoju rolnictwa.

Premier Pińkowski na początku swojej kadencji zapowiedział, iż rząd będzie czynił wszelkie wysiłki, aby zainteresować obcy kapitał niedokończonymi inwestycjami.

Potwierdził to generał Jaruzelski na początku swojej premierskiej kadencji i powtarza to, choć coraz ciszej, przez cały czas jej trwania.

Niedokończone inwestycje a przede wszystkim niezrealizowane licencje to garb na naszej gospodarce, który będą niosły następne pokolenia. Dokończenie choć części tych inwestycji — ale tylko tych, które zaspakajałyby nasze potrzeby i nie cofałyby nas technicznie — rozładowałoby rynek pracy, uporządkowałoby ten rynek, bo dzisiejszy stan zatrudnienia nie jest niczym innym jak ukrytym bezrobociem.

Jedną z najfatalniejszych decyzji inwestycyjno-licencyjnych jest afera z licencją Fergussona. Zawsze byłem przeciwny tej licencji z przyczyn, które często wyliczałem i nie będę ich dziś powtarzał. Przekreśliła ona prace rozwojowe nad konstrukcją własnej rodziny „Ursusów” i rozwijającą się kooperacją z „Zetorem”. Wstrzymała wszelkie normalne prace modernizacyjne i remontowe w „starym” Ursusie. Dziś fabryka ciągników „Ursus” jest w stanie technicznego rozpadu.

Przeciwko nam pracuje czas. Już cztery lata zmarnowano na dyskusje, co zrobić z licencją Fergussona i nie podjęto żadnej decyzji. Przez te lata w „Ursusie” następowała już nie „dekapitalizacja”, a ruina. Zresztą fabryka ta produkuje zaledwie 50 ty-

sięcy traktorów bez serwisu i części wymiennych. To jest śmiesznie mało.

Aby nasze rolnictwo mogło się porównywać z rolnictwem europejskim — a daleko mu jeszcze będzie do dorównania mu — potrzebuje co najmniej półtora miliona traktorów. Nie zapominajmy, że traktor to nie tylko ciągnik rolniczy, ale także maszyna transportowa i w tej niewłaściwej roli będzie występował jeszcze bardzo długo zarówno w rolnictwie, jak i poza rolnictwem. Półtora miliona traktorów to minimum potrzeb naszego rolnictwa. Dodajmy do tego, że muszą to być nie tylko traktory, ale i pełnosprawny ich serwis.

Dziś jestem za ukończeniem inwestycji i kontynuowaniem licencji Fergussona, gdyż przeciwko nam pracuje czas.

W stanie, w jakim znajduje się dziś ta licencja, przy dopływie kapitału rządu 120-150 milionów dolarów, przy właściwej organizacji, inwestycję tę można dokończyć w ciągu 24 miesięcy i osiągnąć zdolność produkcyjną 150 tysięcy traktorów. Zapewni to nasycenie naszego rolnictwa dopiero za dziesięć lat, ale to nasycenie może się rozpocząć już po kilku miesiącach, w miarę sukcesywnego uruchomienia wydziałów tej fabryki. Od siebie dodam, że uchwały Biura Politycznego i Prezydium Rządu z roku 1974 przewidywały okres 18 miesięcy na zrealizowanie całego przedsięwzięcia.

Biorąc za dobrą monetę zapewnienia premiera Pińkowskiego a następnie Jaruzelskiego, że udział obcych kapitałów w dokończeniu inwestycji w Polsce w niczym nie zagraża naszemu ustrojowi ani naszym soюзom, istnieje podstawa do powołania konsorcjum, które w oparciu o te podarowane nam kapitały mogłoby się podjąć dokończenia inwestycji Fergussona.

Może byśmy się przy okazji dowiedzieli, a i dowiedzieliby się przy okazji angielski podatek, jakie były warunki tej licencji i związanego z nią gwarantowanego przez rząd brytyjski kredytu wysokości 370 milionów funtów. Za tę sumę miał być wybudowany pod klucz zakład o zdolności produkcyjnej 150 tysięcy traktorów i 100 tysięcy silników wysokoprężnych rocznie. Pieniądze pobrano, fabryki nie ma. Co się stało z pieniędzmi, wie tylko Wrzaszczyk. Nie na próżno mówi się w Polsce nie o licencji, a o aferze Fergussona.

Zdaję sobie sprawę, że zachodnia pomoc może być obwarowana warunkiem, że będzie realizowana w towarach, a nie w sumach potrzebnych na dokończenie inwestycji. Warto by jednak było zadać pytanie i warto by Episkopat powtórzył je zachodnim ofiarodawcom Polski — czy pomoc ta ma być chwilowym dożywianiem naszego rolnictwa i niczym więcej, czy też ma być rzeczywiście pomocą dla rolnictwa. Jeżeli tak, to

powtarzam: podstawowym warunkiem pomocy polskiemu rolnictwu jest wydobyć go z technicznej nędzy, z chronicznego łamania jego możliwości brakiem potrzebnych narzędzi!

Polskiemu rolnictwu potrzebny jest traktor wraz z kompletem narzędzi uprawowych, sprzętu do pielęgnacji i zbiorów, traktor z dostępnym wszędzie serwisem, traktor sprzedawany lub udostępniany rolnikom na warunkach dla nich najdogodniejszych, ustalanych przez rolników, na warunkach torujących rozwój rolnictwa a nie uzależnianie od innego, pozarolniczego czy antyrolniczego sektora.

Jak wiadomo z enigmatycznych wyjaśnień Urbana — ta zachodnia darowizna ma być podstawą fundacji wspierającej rolnictwo polskie. Oficjalnie nic więcej na ten temat nie wiadomo — nieoficjalnie krążą różne plotki i wersje. Nic więcej nie stoi na przeszkodzie, by taka fundacja przejęła kontynuację inwestycji Fergussona na warunkach proponowanych przez Pińkowskiego i Jaruzelskiego firmom zachodnim.

Niestety, jak słyszałem, koła związane z Episkopatem, mające wpływ na dysponowanie tą pomocą, nie są zainteresowane w inwestowanie w jakiegokolwiek dziedzinie technicznej czy przemysłowej. „Nie będziemy budowali komunistom jeszcze jednej fabryki czołgów” — takie słyszałem uzasadnienie tego stanowiska.

Jestem człowiekiem dość zorientowanym w problemach polskiego przemysłu i jako taki wiem dobrze, że produkcja czołgów w Polsce nie uległa żadnemu zakłóceniu i nie przeżywa kryzysów. Polskie czołgi spisują się znakomicie po obydwu stronach absurdalnego frontu irańsko-irackiego i są na ten front dostarczane w terminach i w potrzebnych ilościach. Przekonać się o tym można z krótkich migawek filmowych z frontu iracko-irańskiego w dziennikach warszawskiej TV.

Fundacja taka czy powołane przez nią konsorcjum byłoby o tyle korzystne, że wymogłoby na firmie Fergusson dokończenie inwestycji w Polsce na zasadach poprzednio podpisanego kontraktu, to jest ukończenie tej inwestycji pod klucz. A więc kompleksowo i bez niedoróbek i poślizgów, niestety znanych w polskich inwestycjach. Powtarzam — stan tej inwestycji w chwili obecnej, po zastrzyku koniecznych kapitałów, umożliwiłyby podjęcie produkcji traktora już po kilku miesiącach, a 20-24 miesiące wystarczą na uruchomienie pełnej produkcji. Warunki licencyjne Fergussona zapewniały tej firmie dostawy stali najlepszej jakości. Dałoby to gwarancje, że ciągnik budowany byłby wreszcie z dobrych materiałów.

Ursus dysponuje zespołami ludzi, którzy wiedzą, jak wygląda prawdziwy serwis dla rolnictwa. Lata dostaw „Ursusa” do Fran-

cji i Szwecji, mimo niekorzystnych warunków finansowych, pozwoliły sporej grupie fachowców z Ursusa zobaczyć zachodnie rolnictwo i przeszkolić się w jego obsłudze. Ludzie ci byłiby bezcenni, gdyby można było wykorzystać ich doświadczenie w warunkach polskich.

Rozmowy na temat wykorzystania pomocy zachodniej są do dziś słodką tajemnicą dialogu Kościół - państwo. Jest to sprawa zbyt ważna dla naszego narodu, decydująca o jego przyszłości, by jej rozstrzygnięcie mogło nastąpić w tajemniczych kuluarach bez udziału społeczeństwa. Te decyzje będą rzutowały na przyszłość jedyne go naszego bogactwa, jakim jest ziemia orna. Konsultacje odbywające się w ogonkach ludzi oczekujących przydziałowego mięsa, konsultacje łapówkarzy przy rozdziale talonów na traktory nie zastąpią fachowej konsultacji, jaka jest konieczna, by i tej pomocy Zachodu nie zmarnować.

Nasze rolnictwo, nie mając możliwości rozwoju, traci decydującą w tym sektorze motywację do pracy. Spadek pogłowia, nagłe koniunktury mleczne, wybijanie stada podstawowego macior przy jednoczesnej koniunkturze w dostawach zbóż dowodzą, jak bardzo to rolnictwo jest chore. Uzdrowić je może tylko racjonalna uprawa własnej ziemi.

Kolejne zmarnowanie i tych dwóch miliardów dolarów może pokazać społeczeństwo polskie opinii zachodniej jako społeczeństwo nie do uratowania, niezaradne, nie potrafiące się uporać z własnymi problemami, oczekujące od Zachodu tylko litości i wsparcia i nie mogące niczego dokonać o własnych siłach.

Oczywiście, jak we wszystkich ważnych dla Polaków sprawach, tak i w tej decydujący głos ma mieć nasz Wielki Brat. Tak głosi sterowana przez nieoficjalne czynniki plotka, tego dowodzi struktura poufnych przecieków. Tymi przeciekami rząd wywiera nacisk na Episkopat i koła z nim związane, chcąc zmusić Episkopat do przyjęcia własnego wariantu rozdysponowania zachodniej pomocy. Episkopat, oficjalnie i faktycznie odcinający się od polityki, sam uczynił się nieodpornym na tego rodzaju polityczne naciski. Rozpowszechnianie plotek lub wyolbrzymianie nacisków sowieckich jest od lat w rękach pezetpeerii skutecznym sposobem terroryzowania społeczeństwa.

Sprawa jest zbyt ważna dla nas, ważna teraz i w nie dającej się określić przyszłości, by można jej właściwe rozstrzygnięcie uzależnić od fałszywych pogłosek, od rozpowszechniania atmosfery grozy sowieckiej interwencji. Mówi się przecież od lat, że istnienie sektora prywatnego w rolnictwie polskim drażni decydentów w Moskwie.

Rolnictwo to — jak wspominałem — nie ma swojego przedstawicielstwa politycznego, nie ma niezależnych organizacji zawo-

dowych, ale los jego nie jest tylko sprawą rolników, jest sprawą wszystkich Polaków. Muszą się więc wśród nas znaleźć grupy, a jeżeli nie grupy, to chociaż jednostki na tyle odważne i w miarę kompetentne, które zadałyby decydom sowieckim wprost pytanie — czy chcą doprowadzić do tego, by pomoc sowiecka, która dotychczas rzekomo odbywa się „kosztem kieszeni radzieckiego robotnika” (jak to stwierdził tow. Zagładin w wywiadzie dla komunistycznej prasy włoskiej) przerodziła się w rzeczywiste dożywienie Polaków kosztem garnka sowieckiego obywatela?

Muszą znaleźć się wśród nas ludzie odważni, odporni na groźby Rakowskiego, że za to zostaną wywiezieni na Sybir, którzy zwrócą się publicznie do władz sowieckich z pytaniami, których boi się lub nie chce zadawać pezetpeeria. Stan Polski najdobitniej świadczy, w jak niewłaściwy sposób pezetpeeria reprezentuje nasze interesy przed „Wielkim Bratem”.

Józef KUŚMIEREK

Warszawa w sierpniu 1983

INFORMACJA BIURA PRASOWEGO EPISKOPATU POLSKI W SPRAWIE ZAMIERZONEGO POWOŁANIA FUNDACJI ROLNICZEJ

W ciągu ostatnich miesięcy miało miejsce szereg wypowiedzi dotyczących utworzenia Fundacji Rolniczej, mającej na celu zorganizowanie pomocy dla indywidualnego rolnictwa polskiego, opartej na środkach pochodzących z zagranicy.

Ze strony Konferencji Episkopatu Polski podstawową informacją o tym projekcie był jeden z punktów przekazanego wiernym Komunikatu ze 197 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski z 17 listopada 1983 roku, który brzmi następująco:

„Biskupi omówili sprawę utworzenia fundacji rolniczej. Episkopat Polski ponad rok temu podjął stosowne kroki zapewniające — za pośrednictwem Episkopatów Europy Zachodniej i Ameryki — zdobycie środków na polepszenie i unowocześnienie polskiego rolnictwa. Inicjatywa ta spotkała się z pozytywnym przyjęciem. Również rząd polski ustosunkował się pozytywnie do tego programu. Trwają aktualnie rozmowy nad zagadnieniami prawno-organizacyjnymi, aby pomoc zagraniczna została jak najlepiej zużyta, zgodnie z intencjami ofiarodawców, dla dobra polskich rolników indywidualnych, rzemiosła i całego społeczeństwa. W związku z tym biskupi wyrażają nadzieję, że w przyszłym roku fundacja będzie mogła podjąć działalność. Należy wyjaśnić, że otrzymane przez fundację środki zagraniczne przekazywane będą rolnikom i rzemieślnikom odpłatnie, a uzyskane tą drogą fun-

dusze użyje fundacja w kraju na cele społeczne. Wszystkim przyszłym ofiarodawcom, jak również ludziom dobrej woli sprzyjającym tej doniosłej dla naszego kraju inicjatywie już dziś składamy podziękowanie”.

Niedostatek informacji, ich fragmentaryczność i nieścisłość w przekazie krajowym i w komentarzach zagranicznych wywołują często nieporozumienia co do celów, wielkości i form zamierzonego przedsięwzięcia.

1. Głównym celem przedsięwzięcia i fundacji powołanej do jego realizacji będzie udzielenie pomocy rolnictwu indywidualnemu, którego produkcja decyduje w istotnym zakresie o zaspokojeniu potrzeb żywnościowych narodu, w sposób umożliwiający temuż rolnictwu zdolności podnoszenia jego produktywności, załamanej długoletnim niedostatkiem środków produkcji i ostrym w ostatnich latach brakiem równowagi rynku.

Pomoc ta może i powinna zwiększyć efektywność gospodarowania własnymi zasobami gospodarstw rolnych oraz pobudzić przedsiębiorczość indywidualną i zespołową. Przewiduje się, że prócz środków produkcji kierowanych bezpośrednio do gospodarstw rolnych pomoc materiałowra wesprze również rozwój rzemiosła obsługującego rolnictwo, a także będzie — w miarę możliwości — użyta do wzmocnienia wytwarzania w kraju niektórych ważnych środków produkcji rolniczej, np. środków chemicznych.

Przewiduje się, że programy będą „samopowielające się”, to znaczy realizowane w przyszłości w oparciu o środki refundowane od rolników i rzemieślników (do nich należeć będą np. programy zaopatrzenia wsi w wodę, które będą wymagały dłuższego okresu realizacji).

Ze środków złotówkowych uzyskanych od rolników i rzemieślników za udostępnione im towary będą finansowane — na zasadzie nieodpłatności — programy pomocy socjalnej mające na celu poprawę warunków bytowych ludności wiejskiej, rozwój oświaty rolniczej itp.

2. Wstępne oceny ekspertów polskich i zachodnich określiły wielkość pożądanej pomocy na kwotę 5 mld marek zachodniemieckich, to jest w przybliżeniu na 2 mld dolarów. Jest to kwota orientująca o wielkości przedsięwzięcia sukcesywnego kilkuletniego pozyskiwania środków finansowych przez ofiarodawców i świadczenia pomocy w postaci dostaw z zagranicy towarów potrzebnych do realizacji określonych programów.

Jesienią 1983 roku eksperci polscy przedstawili ekspertom ofiarodawców projekt programów działania Fundacji. Projekt ten, przyjęty przez ekspertów zachodnich, przewiduje dwa etapy realizacji pomocy. W pierwszym, mającym na celu niezbędną weryfikację funkcjonowania Fundacji i form pomocy, dostawy realizowane w ciągu roku obejmą towary o wartości ponad 20 mln marek. W drugim etapie przewiduje się realizowanie programów obejmujących dostawy o wartości około 2,5 miliarda marek zachodniemieckich. Trwają prace nad rozwinięciem już opracowanych programów i powiększeniem zakresu pomocy w ramach pierwotnie określonej wielkości potrzeb.

W wielu wypowiedziach i komentarzach podważano realność wymienionych kwot lub pomniejszano znaczenie wspomnianej pomocy w stosunku do potrzeb polskiego rolnictwa.

3. Stan przygotowań do utworzenia Fundacji Rolniczej rokuje, że będzie ona mogła być powołana jeszcze w pierwszym półroczu 1984 roku, jeśli będzie uchwalona ustawa o fundacjach i jeśli dojdzie do pełnego porozumienia między władzami państwowymi i kościelnymi co do utworzenia Fundacji. Rozmowy w tym zakresie trwają. W kolejnych konsultacjach ekspertów zaproszonych przez Episkopat z przedstawicielami Rządu i jego ekspertami zostały wstępnie omówione kierunki działania Fundacji oraz projekty niektórych programów, które były podstawą konsultacji z ekspertami ofiarodawców.

Do opracowania i uzgodnienia pozostało jeszcze wiele spraw proceduralnych. Będzie to wymagać wspólnego wysiłku i dobrej woli obu stron. Podkreślić należy potrzebę takich rozwiązań, które prócz sprawnego działania nowych form współpracy instytucji realizujących zamierzone przedsięwzięcie, zapewniłyby jego pełną wiarygodność ze strony ofiarodawców i społeczeństwa.

Warszawa, 15. I. 1984 r."

Wrażenia z Polski

U PROGU 1984 ROKU

Szara i smutna jest zimowa Warszawa. Ciemne ulice i załóżnie puste sklepy, zięjące nieestetycznymi, wyblakłymi oknami wystawowymi, które właściwie zatraciły swój pierwotny cel. Może nawet śmieszniej było niegdyś patrzeć na portrety brodatych czy łysych „wielkich braci” niż na z rzadka porozrzucane, wypłowiałe i zakurzone przedmioty podrzędnego gatunku. Brak właściwie wszystkiego — materiałów, ubrań, koszul, artykułów gospodarstwa domowego, sprzętu elektrycznego, gumki do majtek, żarówek. Żarówki w miejscach publicznych, jak na przykład w windach, zostały specjalnie opancerzone przeciw kradzieży. Za to w sklepach futrzarskich zadziwiają pęki lisich skór, takich z głowami i ogonami, które znajdują widocznie zbyt. W państwowym sklepie z butami, zresztą nie bardzo nadającymi się do noszenia, ceny różnią się nie tylko wysokością, ale i sposobem ich ustalania. Przy jednej parze butów widnieje napis „cena umowna 6.000 zł”, przy drugiej zaś „cena regulowana 2.000 zł”. Kto reguluje, a kto się umawia? Znużona ekspedientka nie umie tego wyjaśnić. Może jest to preludium do reformy gospodarczej.

Czytając ogłoszenia o poszukiwaniu i oferowaniu pracy można się domyślić, że tworzy się mnóstwo prywatnych warsztatów i zakładów usługowych, które wchłaniają wykwalifikowanych pracowników — ślusarzy, tokarzy, krawców czy szewców, zapewniając im wyższe wynagrodzenie. Czasem ogłoszenia te brzmią groteskowo — „zatrudnię rencistę-szewca do produkcji trepów”, „zatrudnię elektryka-automatyka, konserwatora maszyn” lub „przedsiębiorstwo zagraniczne zatrudni preserów na wtryskarkę” (?). Inni, znający zapotrzebowanie rynku, oferują swoje usługi — „inżynier elektryk, praktyka, upoważnienia do nadzoru i projektowe, Fiat 126 z przyczepą bagażową, organizator, wolny czas, oczekuje ciekawej propozycji” lub „hydrolog z uprawnieniami poszukuje ciekawej pracy, najchętniej poza sektorem państwowym” (*Życie Warszawy* z 3 stycznia 1984). Ta ostatnia oferta jest dość znamienna. Wykwalifikowani specjaliści opuszczają

pracę w sektorze państwowym, aby pracować w przedsiębiorstwach prywatnych. Czasem w przyspieszonym terminie przekwalifikowują się, zapisując się na różne kursy zawodowe, po to głównie, aby dostać zaświadczenie uprawniające do otwarcia własnego warsztatu. Czyli coś w rodzaju polskiego NEP-u. Tymczasem podobno w państwowych zakładach przemysłowych oznacza się obniżenie wydajności i jakości produkcji, wzrost nadużyć oraz stały odpływ siły roboczej. Aby zatrzymać ludzi w Hucie Warszawa, na kartki wewnętrznego zaopatrzenia przydzielono 1 kg kiełbasy, po którą trzeba stać cztery godziny w ogonku w czasie pracy; raz w roku Komisja Socjalna daje ponadto talon na 1 kg cukru, pół kilograma mięsa i 1 paczkę herbaty (*Tygodnik Mazowsze* Nr 72 z 15 grudnia 1983 roku).

Poważnym progiem do przebycia była zapowiedziana na 1 stycznia podwyżka cen żywności. Zrozumiały był opór społeczeństwa przy i tak już obniżonej stopie życiowej, nie dziwiła również ostrożność rządu, mającego gorzkie doświadczenie z lat 1970, 1976 i 1980. Aby rozładować to napięcie, Zakład Badania Cen rozpisał ankietę konsultacyjną. W prasie, radiu i telewizji cytowane były wypowiedzi tak zwanych „przeciętnych obywateli”, niektóre ostro występujące przeciwko podwyżce cen, co miało sprawiać wrażenie wielkodusznej tolerancji władz. Prasa podkreślała ożywione zaangażowanie społeczeństwa w konsultację i popularność ankiety, która „nie tylko zajmowała się zbieraniem opinii, ale szeroką wymianą poglądów często wykraczających poza sam problem podwyżek cen” (*Życie Warszawy* z 4 stycznia 1984). Spontaniczność i szczerść tych krytycznych wypowiedzi jest oczywiście grubą przesadą: brzmiały one jak gorzej czy lepiej opanowane fragmenty szkolenia politycznego. Trudno uwierzyć w całą tę zaimprovizowaną akcję szukania porozumienia ze społeczeństwem i nadziei odzyskania zaufania w stosunku do ekipy rządzącej, podczas gdy tylu ludzi, którzy tylko dlatego, że mieli odmienne poglądy od oficjalnych — siedzi do dziś w więzieniach.

Dalszymi przykładami rzucania przynęty społeczeństwu są pewne złagodzenia cenzury, niejednolicie zresztą stosowanej. Podczas gdy pismo *Polityka* cieszy się większą tolerancją, zaostrzono cenzurę *Tygodnika Powszechnego*. Natomiast w telewizji w ostatnich dniach grudnia pokazano parę kontrowersyjnych programów, jak „Kabarecik Olgi Lipińskiej” i film „Amator”. W obydwu przypadkach ostrej krytyce poddane zostały korupcja i marnotrawstwo szerzące się wśród zarządu zakładów państwowych. W jednym z kin wyświetlany jest doskonały film Piotra Szulkina „Wojna światów”, który, odłożony na półkę w 1981 roku, teraz dostał zielone światło. Film jest jaskrawym obnażeniem totalitaryzmu, mającym wiele analogii z obecną PRL-owską egzystencją i z niewątpliwie orwellowskim smaczkiem. Ci, co obejrzeli ten film spiesznie informują przyjaciół, żeby poszli go zobaczyć, bo na pewno wkrótce będzie zdjęty z ekranu.

Jednak za parawanem tych pozornych prób zjednanie opinii

społeczeństwa dzieją się rzeczy, które zaprzeczają tej wyreżyserowanej „pod publiczność” akcji rozcieńczenia socjalizmu. W listopadzie 1983 prof. Edward Lipiński obchodził 95-tą rocznicę urodzin. Środowisko naukowe postanowiło wysłać do niego oficjalną depezę gratulacyjną. Wydział Pierwszy Nauk Humanistycznych i Ekonomicznych PAN-u, ulegając naciskowi z góry, projekt ten odrzucił. Senat Uniwersytetu Warszawskiego nie zważając na decyzję PAN-u uczcił dostojnego jubilata przesyłając mu życzenia. Wypadek bez precedensu.

W dalszym ciągu rażąco są wypadki dezinformacji prasowej. Z końcem grudnia upływała kadencja władz PAN-u wybranych w 1980 roku. Większość członków Akademii życzyłaby sobie, by prof. A. Gieysztor pozostał na stanowisku prezesa Polskiej Akademii Nauk. On sam zdaje się chciałby ustąpić. Władze upatrzyły sobie na to stanowisko 74-letniego prof. Sosnowskiego z Politechniki Warszawskiej. W czasie głosowania, które odbyło się w końcu grudnia, lansowany przez władze kandydat nie uzyskał dwóch trzecich głosów. Prasa o tym w ogóle nie poinformowała, podając jedynie, że wybory do władz PAN-u odbędą się w styczniu.

W *Życiu Warszawy* z 3 stycznia 1984 roku ukazał się wywiad z prof. dr hab. A. Bodnarem, dyrektorem Centralnego Ośrodka Metodycznego Studiów Nauk Politycznych, w którym między innymi stwierdził, że „wydarzenia między sierpniem 1980 a grudniem 1981 ujawniły głód wiedzy historycznej” i że „wiedza powinna być uwolniona od bieżących interwencji politycznych”. To słuszne stwierdzenie jest niestety sprzeczne z oficjalnym projektem programu nauczania w szkołach historii dwudziestego wieku, przygotowanym przez Instytut Programów Szkolnych Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Program ten został przygotowany zbiorowym wysiłkiem aż czterdziestu naukowców, uginających się pod ciężarem tytułów w większości profesorskich, i jest obecnie poddany pod dyskusję zawodowych historyków. Obejmuje on okres historyczny od 1914 r. aż po 1981 r. Pierwsza część zawiera podział na poszczególne tematy lekcyjne. Bogato rozbudowany jest temat konfliktów neokolonialnych w Azji Południowo-Wschodniej, skąd dowiadujemy się o interwencji imperialistów amerykańskich w Wietnamie, Korei i na Bliskim Wschodzie. Pewno nie starczyło już papieru na kontynuowanie historii Wietnamczyków, masowo i z narażeniem życia uciekających z komunistycznego Wietnamu, ani na wzmiankę o sowieckiej interwencji w Afganistanie.

Trzecia część programu koncentruje się na historii PRL-u w latach 1956-1981. Jest to oburzająco prymitywna i nieprawdziwa ocena tych lat, tak świeżo przez społeczeństwo przeżytych. Można to ocenić jedynie jako straszliwy regres w stosunku do okresu „Solidarności” w obiektywnym przekazywaniu historii. Cały okres podzielony jest na trzy części — 1956-1970, 1971-1980 i 1980-1981, czyli poprzedzany kryzysami kolejnych ekip rządzących. Jako przyczyny tych kryzysów podane są „przejściowe trud-

ności gospodarki, której rozmach hamowany był czynnikami natury obiektywnej”, co z kolei wykorzystywane było albo przez „siły rewizjonistyczne, które nigdy nie zostały do końca wyeliminowane” (jak w roku 1968), lub też, w przypadku roku 1970 — przez nastroje zubożenia i niechęci wśród klasy robotniczej. Ten stan dodatkowo spotęgował kryzys naftowy w 1973 r., który pośrednio doprowadził do konieczności podwyżek cen mięsa w roku 1976. Od tego czasu „siły rewizjonistyczne próbowały budować opozycję polityczną w celu sprowadzenia Polski z drogi budownictwa socjalistycznego. Było to działanie antypartyjne i antypaństwowe”. Jest tam trochę poklepywania Papieża, który w czasie swej pierwszej wizyty w Polsce „podkreślił znaczenie państwa, w którym panuje ład i spokój” — uważając to za pochwałę stanu Polski w 1979 r. W 1980 r. protest robotników wynikł na tle nieprawidłowości w życiu gospodarczym i społecznym, „ale nie było tym razem tragicznych wypadków” — w ten sposób autorzy-historycy skwitowali powstanie „Solidarności”. Lech Wałęsa wspomniany jest marginesowo jako „trybun ludowy nie dorastający umysłem i wykształceniem do roli, jaka mu przypadła”. Ostro skrytykowani są doradcy Wałęsy, „których celem było sprowadzenie Polski z drogi socjalistycznej”. Program „Solidarności” polegać miał bowiem na wprowadzeniu anarchii w celu przejścia władzy w Polsce po obaleniu rządów PZPR-u. Wtedy to pojawił się na scenie historii gen. Jaruzelski, który rozpoczął „proces przeciwdziałania rozpadowi państwa, stanąwszy na czele WRON-u 13 grudnia 1981 roku... Rada Państwa wprowadziła stan wojenny w celu wyprowadzenia Polski z kryzysu politycznego, społecznego i gospodarczego”. Ta prymitywna i zakłamana interpretacja historii przerażająco podobna jest do metod indoktrynacji czasów stalinowskich. Trudno sobie wyobrazić, żeby młodzież i nauczyciele mogli to zaakceptować. O ile władza spodziewa się, że uczyć historii do roku 1983 uniknie tajnego nauczania, to wydaje się być w błędzie. Będzie to miało odwrotny skutek. Wzrośnie opór młodzieży, co utrudni życie nauczycielowi i jeszcze bardziej zwiększy popyt na literaturę i prasę wydawaną poza cenzurą.

Państwowa polityka wydawnicza nie może się pochwalić wielkimi sukcesami. Prócz udanej serii — Biografie Sławnych Ludzi — wydawanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy, nie ukazało się nic, o czym warto byłoby wspomnieć. Obiecywana przez Jaruzelskiego poprawa stanu wydawnictw zakończyła się pewnym zwiększeniem ilości egzemplarzy, ale nie zwiększeniem ilości tytułów. Potrzeby czytelników zaspokajane są przez niezależne wydawnictwa jak „Krań”, „Nowa” i inne. Prócz regularnie wydawanych czasopism przedrukowywane są w tysiącach egzemplarzy książki historyczne i pozycje literatury polskiej i światowej nie uznane przez cenzurę. Popyt na słowo drukowane nie ustaje, a raczej wzrasta. Natomiast zmniejszył się zapaf do okazywania czynnego oporu władzy. Mniej ludzi bierze udział w manifestacjach ulicznych. Czy jest to oznaka wzdychającej apatii i przy-

gnębienia narodu, czy braku wiary w skuteczność tej metody oporu — trudno ocenić.

Stosunek do kolaboracji z rządem zdaje się zmieniać swój odcień. Istnieje przekonanie, że rząd i tak mało sobie z tego robi, a społeczeństwo pozbawione jest kontaktu z dobrymi wykonawcami programów telewizyjnych i radiowych. Wybitniejsi twórcy zachowali jednak wyraźne stanowisko w tej sprawie, o czym może świadczyć nieprzyjęcie przez prof. Z. Wójcika nagrody przyznanej mu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki za książkę „Jan Sobieski”, wydaną przez PIW w 1983 roku. Wspomniały list prof. Wójcika tłumaczący wyraźnie powód swej stanowczej odmowy ukazał się w *Tygodniku Powszechnym*.

Mały sabotaż wciąż istnieje. Wciąż krążą mniej lub bardziej parlamentarne dowcipy o PRON-ie, którego prestiż w społeczeństwie równa się zeru. W miejscach publicznych stale pojawiają się napisy „Solidarność żyje”, „Wrona skona”. Kolportowane są pocztówki świąteczne i noworoczne o znaczeniu politycznym, sprzedawane znaczki i bombki na choinkę z nadrukiem „Nobel 1983” i podobizną Wałęsy, jak również masowo kupowane kalendarze ścienne „Solidarności” na 1984 rok. Cała ta akcja kolportażowa ma podwójny cel. Podnosi na duchu coraz bardziej przygnębione i znużone społeczeństwo, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży tych rzeczy wraz ze składkami zbieranymi wśród członków „Solidarności” tworzą fundusz pomocy ludziom najbardziej potrzebującym. Jest to poważna i dobrze zorganizowana akcja. Być może „Solidarność” jako organizacja została sparaliżowana w swej działalności, ale solidarność narodu trwa i to jest chyba jedyny powód do optymizmu.

R. M.

TELEGRAM WYSŁANY 19 STYCZNIA 1984 DO ZARZĄDU ADMINISTRACYJNEGO TYMCZASOWEGO PEN-KLUBU POLSKIEGO

Dowiadujemy się z depeszy AFP o wykluczeniu jednego z członków Polskiego PEN. Przypominamy wam poprzednie telegramy międzynarodowego PEN-Klubu, przestrzegające przed jakąkolwiek akcją dążącą do zastąpienia przez was praworządnie wybranego zarządu Polskiego PEN. Jesteśmy zmuszeni potępić publicznie wasze decyzje powzięte wbrew statutom i duchowi międzynarodowego PEN-Klubu.

René TAVERNIER,
Prezes Francuskiego PEN

Sprawy i troski

Kolegium Związkowe i co dalej?

Jesteśmy ciągle niezdecydowani. Nie mamy ustalonego zdania na temat Polonii zagranicznej z amerykańską Polonią na czele. Włosi, Niemcy, Irlandczycy, Francuzi itd. wiedzą, o co tu idzie. Ludwik Krzywicki dawno stwierdził, że „emigracje z krajów biedniejszych do zamożniejszych są zjawiskiem socjo-ekonomicznym jednej generacji”. Bardzo niewiele urodzonych w Polsce emigrantów powraca w sile wieku do pracy w kraju pochodzenia. Olbrzymia większość wsiąka w życie i stosunki kraju osiedlenia i wychowuje dzieci urodzone w Ameryce w szkołach amerykańskich.

To samo twierdzili socjologowie prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Leopold Caro i prof. Józef Chałasiński, autor studiów nad życiem Polaków w Ameryce. Wybitny historyk polonijny Mieczysław Haiman opisuje gehennę emigrantów, którzy po pierwszej wojnie światowej powrócili do wolnej Polski. Wylicza, jakich niepowodzeń doznali na skutek nieprzystosowalności ich doświadczeń do stosunków w Polsce i twierdzi, że była to przestroga na przyszłość dla całej Polonii.

A my w dalszym ciągu chcemy ustalać stosunki pomiędzy Polską i Polonią zagraniczną na zasadzie pobożnych życzeń, według legendy sprzed 100 lat, że są dwie Polski — jedna w kraju i druga na obczyźnie. Wmawiamy sobie, że w USA mieszka z górą 8 milionów Polaków, a w samym Chicago 750-800 tys. Jest to oczywiście nieporozumienie. Żle odczytujemy zapis ze spisu ludności w USA w 1980 roku, w którym 8,2 mln respondentów podało, że poczuwa się do polskiego pochodzenia. Bo to są Amerykanie polskiego pochodzenia, z których 95 % nie włada językiem polskim i ma słaby zapas wiedzy o Polsce. Z sentymentem podchodzą oni do kraju swoich przodków, pomagają rodzinom, interesują się życiem wsi i miast swojego pochodzenia, ale drugi raz armii Hallera nie zbudują, o czym przekonał się generał Wł. Sikorski.

Jeśli podliczymy członków wszystkich organizacji polonijnych

w USA — od Atlantyku do Pacyfiku — to doliczymy się zaledwie 400 tysięcy osób, w tym sporo takich, którzy należą do paru organizacji, czyli jeszcze mniej. Bardziej miarodajna będzie cyfra 280 tysięcy osób, które zadeklarowały, że język polski jest ich językiem domowym, na co dzień.

Niestety, w znacznym stopniu jest to element żyjący parafialno-folklorystyczną polszczyzną i konsumpcyjnymi nawykami życia amerykańskiego.

Na przeciwnym krańcu tego obrazu staropolonijnego środowiska z dużym procentem emerytów (25 %) znajdują się rodziny z powojennej emigracji oraz nowej, z okresu od Gomułki do Jaruzelskiego, wyróżniające się wyższym stopniem wiedzy ogólnej i zawodowej. W tych środowiskach okazuje się większą troskę o wykształcenie dzieci. Ale im wyższy stopień ich wykształcenia, tym wyższa zdolność asymilowania się, gotowość do współżycia ze środowiskiem amerykańskim i kształcenia dzieci w szkołach amerykańskich.

Wszystko, co tu piszę przedstawia obraz stosunków z pogranicza tradycji polskości i wymagań życia w kraju, który zwie się państwem emigrantów, jak to określał prezydent J. F. Kennedy; kraju, którego kultura stanowi mozaikę kultur różnych grup etnicznych z preferencją dla tych, które więcej wnoszą do życia amerykańskiego. Z uszczerbkiem zaś dla innych, które zamknęły się w gettach etnicznych lub intelektualnych, separując się, przez inercję, od wpływowych środowisk życia amerykańskiego.

Chciałbym tu krótko wyjaśnić, co rozumiem pod określeniem getto intelektualne. Są to te środowiska Polonii, z okresu międzywojennego i emigracji powojennych, które opuściły getto terytorialne, osiedlały się w różnych miastach i stanach Ameryki, zerwały z życiem getta polonijnego, ale nie zintegrowały się z życiem amerykańskim do tego stopnia, by móc wpływać na społeczność amerykańską w interesie własnym i Polski, tak jak potrafili dokonać tego Żydzi, Irlandczycy, Niemcy, Włosi itd.

Z tych obserwacji i wniosków wychodząc, powtórnice podejmuje problem trudności, jakie przeżywa główna polska uczelnia w USA, Kolegium Związkowe w Cambridge Springs w stanie Pennsylvania. Związek Narodowy Polski łoży miliony dolarów, a ogół Polonii również dokłada, aby młodzież polonijna mogła zdobywać wykształcenie zawodowe i jednocześnie nabywać znajomość języka polskiego, wiedzę o historii i kulturze polskiej. Stowem uczelnia ta ma wychowywać Amerykanów pomnych swoich związków z krajem pochodzenia, dziedziców tych wartości, które kultura polska może i powinna wnieść do kultury amerykańskiej, wyznaczając tym samym rangę Polonii w społeczności, w której żyje.

DROGA ROZWOJU KOLEGIUM

Kolegium Związkowe powstało w 1912 roku po uchwale 15-go

Sejmu Związku Narodowego Polskiego, która brzmiała: „Potrzebna jest szkoła, w której Amerykanie polskiego pochodzenia mogliby uczyć się języka polskiego, kultury i historii Polski w dążeniu do naukowych osiągnięć”. Zanotujmy, że nie ma to być jeszcze jedna szkoła języka polskiego, lecz kolegium naukowych studiów polonistycznych — jak sobie tego życzyli założyciele.

Życie zmieniło jednak cele, jakie Sejm Z.N.P. wyznaczył dla Kolegium Związkowego. Wkrótce rozpoczęła się pierwsza wojna światowa i odżyły nadzieje, że Polska odzyska wolność. Młoda wówczas emigracja polska w USA dała 28 tysięcy ochotników do Armii Generała J. Hallera we Francji, a wiele rodzin polskich zamierzało powrócić po wojnie do Polski. Kolegium Związkowemu przypadły nowe zadania. Zostaje nawiązana współpraca z amerykańskim Instytutem Technicznym w Pensylwanii, przy którego pomocy Kolegium Związkowe stało się szkołą przysposobienia do zawodów technicznych głównie dla młodzieży polonijnej, często z rodzin, które planowały powrócić do wolnej ojczyzny.

Dopiero w 1924 roku, gdy fala powrotów do Polski bardzo zmalała, Kolegium Związkowe powraca do studiów polonistycznych, uzyskuje status *Junior College*. W 1926 roku Uniwersytet Jagielloński nawiązuje współpracę z Kolegium Związkowym, posyłając swoich naukowców do pomocy w organizowaniu programów polonistycznych. W 1948 roku uczelnia dostaje pełną akredytację władz i staje się kolegium z 4-letnim programem nauk, uprawianym do wydawania dyplomów bakałarza i magistra. Pierwszy tytuł doktora wydany został w 1955 roku.

Związek Narodowy Polski dał inicjatywę powstania Kolegium Związkowego i przy pomocy całej Polonii łożył poważne fundusze na jego działalność oraz rozbudowę. Pięknie położone Kolegium zajmuje obszar 180 akrów, na których mieści się 12 dużych budynków przeznaczonych na wykłady i pracownie naukowe, bibliotekę, urządzenia rekreacyjne, sportowe oraz sypialnie zdolne pomieścić 1.000 studentów i studentek. Niestety, ten majątek obrasta w długi zaciągane na pokrycie corocznych deficytów.

Na Sejmach Z.N.P. często ścierają się opinie na temat przyszłości tej największej polonijnej placówki naukowej. Coś trzeba począć, aby nie zmarnować tak pięknego dorobku i jeśli możliwe przywrócić Kolegium Związkowemu rangę zakładu naukowego pożytecznego dla polskiej kultury w Ameryce, jak tego sobie życzyli jej założyciele w uchwale 15-tego Sejmu Z.N.P.

KRYZYS LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH

Już w *Kulturze* nr 7 z 1971 roku nalegałem, aby zając się losem upadającego Kolegium Związkowego i wysuwałem propozycje, które przeszły wodzom Polonii mimo uszu. Już wówczas było źle, teraz jest jeszcze gorzej.

W 1971 roku pisałem, że do Kolegium Związkowego zapisanych było 581 studentów. W 1983 roku liczba ta spadła do 222. Ale nie koniec na tym. W 1971 roku na 581 studiujących było 295 studentów polskiego pochodzenia, czyli połowa. Drugą połowę stanowili studenci niepolskiego pochodzenia, którzy za subwencje polonijne uczyli się tego, czego uczą inne, droższe kolegia amerykańskie, nie mając w Kolegium Związkowym obowiązku pobierania nauk na tematy Polski i jej kultury.

Dodajmy, że spośród studentów polskiego pochodzenia, których w 1970 roku było 295, tylko 30 zapisanych było na studia na wydziale slawistycznym, a kończyło polonistykę 2 do 4 studentów w poszczególnych latach.

Postawiłem wówczas — słuszny chyba — zarzut, że marnuje się miliony dolarów z ofiarności publicznej bez pożytku dla spraw polskich, skoro nawet młodzież polonijna nie znajduje w Kolegium zachęty do studiów polonistycznych.

Wykazałem też, że tylko 20 % profesorów i personelu uczącego było polskiego pochodzenia, a 80 % nauczycieli nie mogło wykazać się żadnym zainteresowaniem polską tematyką ani studiami polonistycznymi. Po wizycie w Kolegium w 1971 roku pisałem w *Kulturze*, że „odniosłem wrażenie, iż kandydaci na studentów traktują Kolegium Związkowe jako jedno z 2 tysięcy kolegiów amerykańskich, tylko tańsze i bliżej ich domów rodzicielskich położone”.

Od tego czasu kryzys zamienił się w katastrofę. Z oficjalnego sprawozdania na Sejm Z.N.P. w 1983 roku (str. 21 i 22) wynika, że w 1983 roku na 222 studiujących było już tylko 93 studentów polskiego pochodzenia (41,5 %) i jedynie 12 studentów z polskiej grupy etnicznej zapisało się na Wydział Polonistyczny w roku szkolnym 1983/1984. To nie jest omyłka — rzeczywiście tylko dwunastu, dla których warto było prowadzić Kolegium Związkowe. A ile to kosztowało pieniędzy społecznych?

Według oficjalnego sprawozdania Z.N.P. za okres 4 lat, od 1979 do 1982 roku, na utrzymanie Kolegium Związkowego wydatkowano z funduszy społecznych razem 1.872.242 dolary. W tym subwencje przyznane przez Sejm Z.N.P. wyniosły 1.320.000 dolarów. Doszły do tego takie fundusze, jak specjalna subwencja na spłatę pożyczek, sprzedaż kart świątecznych, fundusze z różnych stypendiów i pieniądze zebrane od poszczególnych ofiarodawców. Ale i te prawie dwa miliony dolarów, utopione w ciągu ostatnich czterech lat, nie pokryły deficytu Kolegium Związkowego. Na stronie 22 oficjalnego sprawozdania Z.N.P. na XXXIX Sejmie, który obradował w Orlando na Florydzie w 1983 roku, czytamy jaki był deficyt Kolegium Związkowego w ostatnich latach. Sprawozdanie doprowadzone jest do 30 czerwca 1983 roku. Jak z niego wynika, łączny deficyt wynosił:

1979 rok	\$ 459.118,00
1980 rok	\$ 554.903,00
1981 rok	\$ 784.312,00
1982 rok	\$ 590.118,00.

Za pełny rok 1983/1984 danych jeszcze nie ma, ponieważ rok akademicki zaczynający się na jesieni 1983 roku skończy się na wiosnę 1984 roku. Nic nie wskazuje, by deficyt malał. Ale cyfry, które tutaj podałem to nie są cyfry całkowite, bowiem stwierdzono, że aby pokryć niedobory Kolegium Związkowego trzeba było zaciągnąć nową pożyczkę hipoteczną w wysokości 375 tysięcy dolarów. Tę „pożyczkę” otrzymało Kolegium od Z.N.P. „Jeśli by tego nie uczyniono, to deficyt w roku 1982/1983 wynosiłby \$ 965.118,00, a nie \$ 590.118,00” — podaje oficjalne zestawienie Z.N.P.

Tak się przedstawia sytuacja finansowa Kolegium Związkowego. Dopłaca się każdego roku od pół miliona do 900.000,00 dolarów na to, aby dwunastu uczniów polskiego pochodzenia mogło się uczyć literatury i języka polskiego. Wychodzi to mniej więcej po 80 tysięcy dolarów rocznie na takiego pełnowartościowego studenta Kolegium Związkowego.

Polonia amerykańska za te setki tysięcy dolarów, które każdego roku dopłaca na pokrycie deficytu Kolegium Związkowego pragnie, aby kształciła się tam młodzież, która wiedzę o Polsce i jej kulturze poniesie do uniwersytetów i środowisk amerykańskich. Nie rozumiem, po co mamy wyręczać amerykańskie władze stanowe, które za pieniądze podatników prowadzą kolegia dla wszystkich dostępne.

Dodajmy jeszcze, że rok 1984 jest nie tylko trudny, jeżeli idzie o deficyt finansowy, ale jest rokiem, w którym waży się losy Kolegium Związkowego jako placówki naukowej w ogóle. Bowiem co 10 lat kolegia w Ameryce muszą odnawiać swoje akredytacje, tzn. podlegają kontroli specjalnej komisji stanowej powołanej do badania, na jakim poziomie kolegium jest prowadzone i jakie kwalifikacje ma personel nauczający. Słowem ustala się, czy ta placówka może być traktowana jako pełne kolegium (odpowiednik małego uniwersytetu), czy też trzeba obniżyć rangę do tzw. *Junior College*, co byśmy mogli porównać do szkoły licealnej, czy też w ogóle należy Kolegium pozbawić akredytacji, a wówczas jego dyplomy tracą ważność.

Otóż w lutym 1984 roku obradowała komisja stanowa (*Middle States Commission*), aby zapoznać się z wynikami przeprowadzonej inspekcji w Kolegium i powziąć decyzje. W sprawozdaniu oficjalnym Z.N.P. jest na ten temat wzmianka: „mamy nadzieję, że komisja ta podtrzyma akredytację naszego Kolegium”, ale jak na razie jest to tylko nadzieja nie wolna od obaw.

SŁABE OSIĄGNIĘCIA

Według popularnego w Polsce powiedzenia mistrza sędzi się po jego dziele. Gdy rektorem był jeszcze prof. Szymański, lat temu kilka, zapytałem go, ilu absolwentów opuściło Kolegium Związkowe od chwili jego założenia. Rektor odparł, że od założenia

nia Kolegium w 1912 roku do jego czasów, tj. przez z górą 60 lat Kolegium Związkowe ukończyło blisko 5 tysięcy absolwentów. Zapytałem go wówczas, ilu z nich zajęło eksponowane stanowiska w życiu amerykańskim? Rektor zdołał podać mi tylko trzy nazwiska — dwóch sędziów polskich, z których jeden doszedł do kariery politycznej jako członek Kongresu amerykańskiego, oraz jednego autora piszącego książki po angielsku. Myślę, że jest to bardzo skromny owoc pracy Kolegium Związkowego. Gdyby zrobiono zjazd absolwentów Kolegium, to nie mieliby czym się popisywać. Co najwyżej tym, że pracują w swoich zawodach, ale żaden z nich nie zabłysnął na horyzoncie życia amerykańskiego. Trzeba jeszcze dodać, że obliczenia od roku 1949 do 1983, jakie przeprowadził Związek Narodowy Polski mówią, że w tym okresie studiowało w Kolegium 2.027 studentów i studentek. Z tej liczby tylko 616 było lub jest członkami Z.N.P. Czyli nawet ta zasłużona organizacja, która chciała ich wychować i subwencjonowała to wychowanie milionami dolarów, aby wykształcić dzielnych działaczy polonijnych, mogących pretendować do jakiejś roli w życiu ogólnoamerykańskim, nie doczekała się tego, by jej wychowankowie odwzajemnili się składką członkowską do Z.N.P. Tylko 28 % absolwentów okazało swój sentyment zgłaszając członkostwo do Z.N.P. i zaledwie kilkunastu z nich umieścić można na liście działaczy znanych na swoim terenie pracy.

Trudności Kolegium Związkowego mają szereg przyczyn. Zaczęłam od tych, które obarczają Polonię amerykańską. Bowiem kto szczerą ręką daje subwencje, powinien już dawno dojrzeć, że idą na marne. Ale trudno znaleźć winę tam, gdzie nad rozumem górują emocje. Wśród czołowych przywódców Polonii znam takich, którzy przestrzegali na Sejmach Z.N.P., że trzeba się zdecydować na jakiś krok, który doprowadzi do poprawy sytuacji w Kolegium Związkowym. Wszelkie jednak propozycje były oddalane przez posłów na Sejmach Z.N.P., którzy z gorącym sercem je odrzucali wierząc, że trudności są przejściowe i położenie Kolegium ulegnie poprawie.

W tej ich patriotycznej postawie tkwi błąd zasadniczy. Ten mianowicie, że zapatrzeni we własne Kolegium, za mało interesowali się losem innych szkół kolegialnych. Prasa wiele pisała o tym, że od 20 lat obserwuje się w USA duży spadek liczby studiujących w małych kolegiach. Na 2.000 szkół kolegialnych w USA, zlikwidowano od 1960 roku aż 650 kolegiów z powodu trudności finansowych, których przyczyną był spadek ilości studiujących.

Od wielu lat młodzież amerykańska nie chce uczyć się w małych kolegiach. Zapisuje się do dużych kolegiów stanowych lub uniwersytetów, lepiej wyposażonych naukowo i rekreacyjnie. Różnica jest ogromna. Tam gdzie uczy się 10 czy 20 tysięcy studentów, codzienne życie przedstawia się atrakcyjniej. Są własne kina i teatry, boiska dla różnych dyscyplin sportowych, baseny kąpielowe, korty, przy kampusach są działnice sklepowe, banki,

własne ambulatoria, dyskoteki, restauracje, własna poczta. Tego nie może im dać Kolegium Związkowe, w którym jest 222 studentów,

Taka jest tendencja w szkolnictwie amerykańskim, której odmienić nie jesteśmy w mocy. Najwyższa więc pora pomyśleć, jakie jest wyjście z kryzysowej sytuacji? Jaki los czeka Kolegium Związkowe? Jaki sens ma finansowanie z dotacji polonijnych nauki młodzieży z innych grup etnicznych, która nie ma zamiaru zainteresować się studiami polonistycznymi? Nie wińmy Kolegium, ale nie zamykajmy oczu na to, co się dzieje w innych zasłużonych, ale małych kolegiach amerykańskich, które muszą się likwidować z powodu braku studentów.

JAK WYJŚĆ Z KŁOPOTÓW

Propozycji wybrnięcia z tych kłopotów jest kilka. Wysuwano myśl, aby dormitoria i budynki szkolne przerobić na mieszkania dla polonijnych emerytów. Otoczenie Kolegium Związkowego jest piękne, dużo zieleni, budynki schludne, klimat łagodny, komunikacja dogodna.

Inny projekt rozważa możliwość sprzedaży atrakcyjnie położonych 180 akrów ziemi wraz z budynkami. Kilkumilionowy dochód pozwoliłby po spłacie długów na założenie Funduszu Stypendialnego Z.N.P. dla studentów polskiego pochodzenia, którzy studiuje na wielkich uniwersytetach amerykańskich, takich jak Harvard, Yale, Berkeley, Northwestern itp., których absolwenci mają otwartą drogę do kariery rządowej i w wielkich spółkach amerykańskich. Zamiast dwunastu studentów polonistyki w Kolegium Związkowym, o którym wiemy, że nie otwiera drogi do wielkich karier, moglibyśmy mieć około setki stypendystów na wielkich uniwersytetach amerykańskich, którzy po ukończeniu studiów i rozpoczęciu kariery zawodowej byłiby zobowiązani spłacić sumy wydane na ich kształcenie, aby następnymi mogli w takiej pomocy korzystać. Jest to jedyna bodaj droga do awansu społecznego Polonii i wzrostu jej wpływów w ośrodkach zarządzania krajem i jego gospodarką. Włączyć tu trzeba również studia polonistyczne.

Trzeci projekt odwołuje się do praktyk innych grup etnicznych, które dały dobre wyniki, np. Ukraińców, którzy sfinansowali studium ukraińskie w Harvardzie. W przypadku sprzedaży Kolegium Związkowego wszystkie uzyskane fundusze przeznaczyć na sfinansowanie katedry polonistycznej w Harvardzie lub w innym uniwersytecie tej samej rangi. Jest to również droga prowadząca do podniesienia znaczenia i autorytetu Polonii w życiu amerykańskim. Poprzedni projekt zmierzał do tegoż celu przez kariery rządowe i ekonomiczne dla wykształconych członków Polonii. Ten zaś projekt przez kariery naukowe, przez promocje wkładu Polski do kultury amerykańskiej oraz przez studia i kontakty naukowe z innymi uniwersytetami, instytucjami i orga-

nizacjami naukowymi zmierza do wzrostu autorytetu Polonii i Polski w społeczeństwie amerykańskim. Odpowiada to celom i zadaniom, jakie wyznaczyli sobie założyciele Kolegium Związkowego 70 lat temu.

Jest wreszcie czwarta propozycja, z kół działaczy polonijnych, którym trudno pogodzić się z likwidacją pięknie rozbudowanego Kolegium Związkowego. Rozważa się możliwość założenia w siedzibie Kolegium podyplomowego studium językoznawstwa polskiego oraz historii literatury polskiej dla polskich i amerykańskich naukowców. Mieliby oni do dyspozycji odpowiedni zbiór biblioteczny i zorganizowany system dokumentacji naukowej, powiązany z uniwersytetami i bibliotekami amerykańskimi. Jest to plan bardzo ambitny, wymagający przekonsultowania z potencjalnymi kandydatami do korzystania z pomocy tak pomyślanej placówki studiów polonijnych.

Trudno prorokować, jaki los czeka Kolegium Związkowe, co zdecyduje przywództwo polonijne i z jakimi wnioskami konkretnymi przyjdzie na kolejny Sejm Z.N.P. Byłoby grzechem niewybaczalnym dalej marnotrawić miliony dolarów z funduszy społecznych na działalność o wątpliwej przydatności dla kultury polskiej w Ameryce, dla awansu społecznego naszej Polonii i dla polsko-amerykańskich stosunków w ogólności.

Edward PUACZ

Jeszcze o Bibliotece Polskiej w Paryżu

Paryż, 9 lutego 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. M. Franciszkowskiego „Biblioteka Polska w Paryżu” (*Kultura* nr 9, 1983) ma tę zaletę, że przypomina rzeczy znane i tę wadę, że niedostatecznie informuje o obecnym stanie Biblioteki. Artykuł ten skłonił p. Monda do wniesienia poprawek do informacji podanych przez Franciszkowskiego (*Kultura* nr 10, 1983), a p. Wyrwę do wystąpienia przeciwko Mondowi (*tamże*, nr 12, 1983), nie wywołał jednak żadnej dyskusji rzeczowej, nie skłonił do zabrania głosu ani komisji bibliotecznej THL, ani dyrekcji Biblioteki, ani wreszcie Rady THL, która Biblioteką zarządza.

P. Franciszkowski pisze równocześnie i o Bibliotece, i o THL,

i o Muzeum Mickiewicza, instytucje te wszelako nie identyfikują się ze sobą. Jeśli więc Franciszkowski stwierdza, że „Towarzystwo zatrudnia jedenaście osób” (str. 82), nie wiadomo, ile z nich pracuje w Bibliotece. To samo dotyczy funkcji osób zatrudnionych. Z wywodu na temat statutu THL i zestawienie jego różnych wersji nie dowiadujemy się niczego o samej Bibliotece. Najważniejsze jej sprawy — budżet, charakter zbiorów, polityka gromadzenia i zakupów książek, sposób ich przechowywania, konserwowania i katalogowania — znane osobście Franciszkowskiemu z kilkuletniej praktyki, zostały zaledwie wspomniane. Nie należą także do informacji o Bibliotece ani wzmianka o niedokończonych pracach St. Lama (chyba tylko dlatego, że ta praca jest tam złożona, ale nie ona jedna przecież!), ani akapit o „inicjatywie wydawania rocznika pt. *Annales*”, ani szereg rad i pytań w rodzaju „może warto to”, „może warto tamto”. Jedynie pobieżny opis zbiorów może zatroskanych o stan Biblioteki zainteresować. Ale już ocena pracy THL jako „sennego przetrwania” nie należy do tematu i jest po prostu sprzeczna z tym, co sam Franciszkowski pisze nieco dalej o jego ofiarnej pracy, działalności odczytowej i koncertowej, odnowie i remoncie gmachu Biblioteki. Zresztą na zbliżającym się zebraniu THL p. Franciszkowski, członek Towarzystwa, będzie miał okazję swoje zarzuty przedstawić na nowo i jaśniej.

Niemniej jednak problemy Biblioteki są poważne i żałować trzeba, że jej dyrekcja nigdy ich publicznie nie przedstawiła. Nieporozumienia wokół Biblioteki wynikają w dużej mierze z faktu, że od bardzo wielu już lat nie ogłasza ona w prasie żadnych sprawozdań, że o jej działalności (lub sennym przetrwaniu) dowiadujemy się pokątnie, trochę z plotek, trochę z samego przebywania na jej terenie i wreszcie trochę z samego artykułu Franciszkowskiego. Jawność jej działalności, publikacja sprawozdań, publiczna dyskusja nad jej problemami wyrównałaby także wzajemne stosunki między prasą a Radą THL.

Jako względnie stały użytkownik zbiorów Biblioteki Polskiej swoje pytania sformułowałbym następująco:

- 1) Dlaczego dyrekcja B.P. woli przyjmować większą ilość osób na pół etatu zamiast zatrudnić paru dobrych bibliotekarzy na pełnym etacie? Dlaczego od kilku lat (do stycznia 1984) B.P. nie miała żadnego bibliotekarza na pełnym etacie? Wiadomo przecież, że takie lub inne rozwiązanie problemu personelu bibliotecznego pociąga za sobą organizację lub dezorganizację samej pracy.
- 2) Jak się przedstawia polityka zakupów, wymiany i kompletowania zbiorów? Czy B.P. ma odpowiedniego pracownika, który wertuje katalogi wydawnictw i wyławia z nich tytuły, których zakup jest konieczny? Kto zatwierdza propozycję zakupów? Czym zajmuje się komisja biblioteczna THL?
- 3) A w związku z tym: czy budżet B.P. jest wyłączony z budżetu THL? To znaczy, czy naczelny bibliotekarz i dyrektor wie-

dzą, jakimi środkami i na jakie cele mogą dysponować (prenumeraty, zakupy, oprawy itd.). Czy te środki są im rzeczywiście dane?

4) Jak przedstawia się czytelnictwo w B.P.? Ile osób z jej zbiorów korzysta? Itd.

Uważam, że o wszystkich tych sprawach społeczeństwo polskie zainteresowane tą najczciodsza instytucją emigracyjną powinno być poinformowane.

Sprawa tzw. *Annales* nie interesuje bezpośrednio Biblioteki, od samego początku, to jest od 1977, wszyscy inicjatorzy zgodni byli co do tego, że rocznik będzie się ukazywał (i że może się ukazywać) jedynie pod auspicjami THL. Tak to zostało też przedstawione poprzedniej Radzie THL, m.in. w czerwcu 1978 na spotkaniu nas wszystkich z p. Zdziechowską, wtedy sekretarzem Rady. Wiadomo mi z całą pewnością, że obecna Rada zatwierdziła publikację rocznika, inicjatorzy nie zgodzili się jednak na współpracę z Radą pod pretekstem, że Rada i jej sekretarz chcą ściśle pismo kontrolować i zamienić je w pismo publicystyczne. Czy opinia nasza o zamierzeniach Rady była słuszna? Tego nie wiem z pewnością, ponieważ zespół jako taki nie spotkał się nigdy z obecnym sekretarzem Rady i nie przedstawił mu swoich planów, nie wysłuchał także punktu widzenia Rady. Rada, która miała firmować pismo, mogła decydować tak, jak chciała, my z kolei mogliśmy się zgodzić lub nie na współpracę. Rozmowy, jeśli ich było więcej niż jedna, odbyły się wyłącznie między pp. Franciszkowskim i Mondem. O dobrej woli p. Monda świadczy jednak fakt, że do czerwca 1981 nosił się on z zamiarem wydawania pisma pod auspicjami Rady i w tym celu poprosił nas o spotkanie. Ja sam już wcześniej zespół opuściłem definitywnie i tak też na zaproszenie odpowiedziałem. Trzeba więc przyznać, że to sami inicjatorzy, nie zdobywając się na wysiłki wyjaśnienia własnego stanowiska, uchylili się od współpracy z Radą.

W tym kontekście wyjaśnienia p. Wyrwy wydają mi się po prostu żenujące. Wzmianka o „wyciąganiu dla siebie korzyści” jest tak wieloznaczna, że rzuca cień na osobę p. Monda. Powołanie się na opinie osoby zmarłej jest w atakach personalnych nie tylko nieprzyzwoite, ale, w liście Wyrwy, także dwuznaczne, ponieważ osoba ta, jego zdaniem, została później „obłaskawiona”. Czy wobec tego Wyrwa wie, jakie sądy zmarłej były słuszne? Czy tylko te, które jemu odpowiadają? Nie uważam też, że p. Mond „rozwałił po prostu całą ekipę”. To ekipa nie chciała rozmawiać z Mondem i posłużyła się w kontaktach z Radą osobą Franciszkowskiego, a więc kimś o najstarszym do tych rozmów autorytecie (p. Franciszkowski, pracownik B.P., był wtedy od Rady THL bezpośrednio zależny). Nie sądzę także, że p. Mond chciał za naszymi plecami zorganizować nową ekipę. O rozmowach jego z innymi osobami na temat ich ewentualnej współpracy byliśmy poinformowani listem z czerwca 1981. Lista autorów tzw. *Annales* nie była zamknięta. Byłoby to absurdem. Rów-

nież co do stanu przygotowania pierwszego numeru nie mogę się zgodzić z p. Wyrwą: aż do mojego odejścia w końcu 1980 lub na początku 1981 numer 1 nie był przygotowany. Widziałem tylko parę niedokończonych i nieczytelnych brulionów. Dwie tylko rzeczy zostały ukończone, publikacja Wyrwy i mój artykuł.

Jak więc widać, od 1977 do 1980 ani jeden numer „pisma” nie został przygotowany w całości. Ekipa nie zdołała wydać swego pisma za poprzedniej Rady THL i wycofała się po zmianie Rady. Sprawa *Annales* należy do licznych pomysłów, szlachetnych z pewnością, lecz poronionych, a wina za to spada przede wszystkim na inicjatorów *Annales*, do których sam należę. Przykro mi tylko, że po latach wraca ona i służy do ataków osobistych. Nasze inicjatywy będą się mogły realizować tylko wtedy, kiedy nauczymy się ze sobą rozmawiać, jeśli nie będziemy miotani pasjami i niechęciami osobistymi, ale przekładając nad wszystko dobro wspólne, zacniemy się cenić za to, co zdołaliśmy zrobić.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Zenon KAŁUŻA

7, av. de Corbera, 75012 Paris.

„SOLIDARNOŚĆ” NA ZACHODZIE

Poza krajem znajduje się tylko jedna komórka NSZZ „Solidarność” — Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” Za Granicą z siedzibą w Brukseli, z biurami w Brukseli i Paryżu. Jest ono placówką usługową (a nie komórką statutową), utworzoną przez TTK i przed nią całkowicie odpowiedzialną. Zgodnie z decyzją TTK, Biuro pełni funkcję działu zagranicznego i stanowi reprezentację krajowych władz NSZZ „Solidarność” poza Polską. Biuro jest akredytowane przy Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych oraz przy Światowej Konfederacji Pracy, które sponsorują jego działalność i zapewniają pomoc organizacyjno-prawną. Część paryska Biura jest pod bezpośrednią opieką francuskich demokratycznych związków zawodowych (CFDT, CFTC, CGC, CGT-FO, FEN).

Głównym zadaniem Biura jest prowadzenie akcji informacyjnej na temat NSZZ „Solidarność” i sytuacji w Polsce oraz uzyskiwanie i koordynacja politycznej, moralnej i finansowej pomocy dla Związku w kraju. Pomoc tę Biuro organizuje przede wszystkim we współpracy ze związkami zawodowymi oraz z organizacjami i instytucjami — w pierwszym rzędzie polonijnymi — które decydują się pomagać „Solidarności” bez stawiania warunków.

Ponadto jako komórki filialne Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” Za Granicą działają placówki w kilku innych krajach. Swoją aktywnością zyskały one uznanie (i sponsorowanie) lokalnych central związkowych, aprobatę krajowych władz Związku, a za ich funkcjonowanie Biuro Koordynacyjne ponosi pełną odpowiedzialność.

1. Biuro Informacyjne Solidarności w Szwecji (Solidaritets Informationskontor i Sverige), Västmannagatan 9 III, 11124 Stockholm. Jego kierownikiem jest Marek Michalski.

2. Biuro Informacyjne Solidarności w Kanadzie (Solidarity Information Office in Canada) c/o Canadian Labour Congress, 15 Gervais Drive, Don Mills, Ont. M3C 148. Kierownikiem jest Wojciech Gilewski.

3. Biuro Informacyjne Solidarności w Wielkiej Brytanii (Solidarity Information Office in the UK) Acorn House, 314/320 Gray's Inn Rd., London WC1X 8DP. Kierownikiem jest Marek Garztecki.



LACHMANN GALLERY

POSIADAMY OBRAZY OLEJNE, AKWARELE
I RYSUNKI NASTĘPUJĄCYCH MALARZY:

Józef Brandt, S. Czajkowski, T. Czyżewski, J. Fałat,
S. Filipkiewicz, H. Gotlib, L. Gottlieb, A. Grottger,
A. Gieryski, M. Kisling, A. Wierusz-Kowalski, Roman
Kramsztyk, J. Matejko, J. Mehoffer, Z. Menkes, J. P. Nor-
blin, A. Orłowski, W. Podkowiński, Z. Pronaszko,
H. Siemiradzki, Jan Stanisławski, Jan Styka, A. Szyk,
E. Żak i inni.

Galeria gwarantuje autentyczność
wszystkich prac.

LACHMANN GALLERY

704 Paterson Ave., E. Rutherford, N.J. 07073, USA

Tel.: 201-438-1845

Sąsiedzi

Polski przykład

Narodziny i zmierzch Solidarności — szesnaście miesięcy, które wstrząsnęły imperium sowieckim — sowieckie „środki masowej informacji i propagandy” relacjonowały i komentowały szczegółowo i zawsze kłamliwie. Niemało też pisali o wydarzeniach w Polsce — z myślą o własnym kraju — dysydenci sowieccy żyjący na Zachodzie. Wychodząca w Paryżu gazeta *Russkaja mysl* jest dzisiaj niewątpliwie jedynym ukazującym się na świecie pismem (nie licząc gazet polskich), które nadal szczegółowo informuje o wydarzeniach w Polsce.

Ważniejsze i ciekawsze niż poglądy ludzi sowieckich, którzy po wyjeździe z ojczyzny mogą swobodnie wyrażać swe myśli na Zachodzie, są opinie obywateli sowieckich żyjących za żelazną kurtyną. Zapoznanie się z nimi nie jest jednak łatwe. Informacje dochodzące z ojczyzny socjalizmu dowodzą, że cena prawdy jest w ZSSR znacznie wyższa niż w Polsce. Pod koniec 1983 roku inżynier petrochemii Razgładnik skazany został za zbieranie wypowiedzi stronników Solidarności na siedem lat łągu o obostrzonym reżymie. Wadim Jankow, moskiewski inteligent — wyrzucony z instytutu fizyko-technicznego za list w obronie kolegi — został aresztowany za „List do robotników rosyjskich w związku z wydarzeniami w Polsce” i 21 stycznia skazany na cztery lata łągu o obostrzonym reżymie plus trzy lata zesłania. W. Jankow mówił robotnikom sowieckim m.in.: „Chciałbym, abyście uczciwie odpowiedzieli sobie na następujące podstawowe pytanie: czy problemy Polski nie są również waszymi problemami? Przedsierpniowy ustrój gospodarczo-polityczny Polski zbudowany został w zasadzie na wzór sowieckiego i mógł jedynie kopiować jego wewnętrzne wady i sprzeczności”.

Sowiecki robotnik Jurij Aleksandrow, wybrawszy wolność w Paryżu pod koniec 1983 roku, opowiada o posiołku na Dalekiej Północy: „Wszyscy robotnicy wiedzieli o Solidarności. Po pierw-

sze z radia (zachodniego), po drugie z *Literaturnoj gazety*, która dużo złego pisała o Solidarności. Ale my czytaliśmy między wierszami. Kiedy wprowadzili stan wojenny, robotnicy powiedzieli: 'A więc wszystko się skończyło' (*Obozienie*, dodatek do *Ruskiej myśli* nr 7, 1983).

Jurij Aleksandrow śledził wydarzenia w Polsce z krańca świata, z półwyspu Jamał. Znany ukraiński poeta Wasyl Stus śledzi je z więzienia i obozu. Aresztowany po raz pierwszy w 1972 roku, odsiedział pięć lat łagru o obostrzonym reżymie i trzy lata zesłania na Kołymie, w sierpniu 1979 wrócił do Kijowa, a w maju 1980 znów został aresztowany i skazany na piętnaście lat łagru. Wyjątki z „Łagrowego zeszytu”, ogłoszone w monachijskiej *Suczarniści* (listopad 1983), przedrukowaliśmy w styczniowej *Kulturze* w „Kronice ukraińskiej”. Zdaniem Stusa znaczenie Solidarności polega na tym, że zaproponowała ona „niezwykle skuteczny wariant wyzwolenia” — mianowicie wariant związkowy. Właśnie ten wariant jest szczególnie przydatny dla narodów sowieckich: „Ruch helsiński to dla naszego kraju wyższa matematyka, podobnie jak być może i ruch narodowo-patriotyczny. Za to ruch w sprawie mieszkań i kęsa chleba, w sprawie normalnej płacy dla robotników — jest zrozumiałą i możliwą do przyjęcia dla wszystkich”.

W 1983 roku pojawiła się w samizdacie pierwsza obszerna (237 stron) praca nieznanego autora o wydarzeniach w Polsce. Nosi ona tytuł „Polska rewolucja” i relacjonuje szczegółowo wydarzenia w Polsce od sierpniowego strajku w Gdańsku do wprowadzenia stanu wojennego. Zawiera dokumenty (gdańskie materiały Solidarności), wywiady ze *Spiegla* sowieckiego urzędnika Walentyna Fallina i Jacka Kuronia oraz krótki zarys historii Polski od 1939 roku.

Nie brak w książce błędów rzeczowych, spornych twierdzeń i ocen, ale jej wartość polega na tym, że obraz wydarzeń w Polsce i rewolucji lat 80-tych wyszedł spod pióra sowieckiego inteligenta czytającego polską prasę (być może w przekładach) i *Spiegla*. Nie należy zrażać się błędami autora — dla polskiego czytelnika będą one oczywiste — bo nawet błędy są warte uwagi. Trudno jednak z nimi polemizować — po pierwsze dlatego, że nie wiemy, kim jest autor, a po drugie dlatego, że znajduje się on tam, gdzie rozmyślenia o Polsce niezmiennie kończą się w uralskich albo kołymskich łagrach.

W posłowniu do książki autor cytuje Tiutczewa: „Błogosławiony, kto świat ten odwiedził w przełomowej chwili”, zaś w pierwszym akapicie oświadcza: „Zachodzące na naszych oczach — albo ściślej mówiąc starannie i systematycznie przed naszymi oczyma skrywane — wydarzenia w Polsce mają najwyższą wagę historyczną. Szczególne warunki, w których znajduje się Polska, samym Polakom nie pozwalają nazywać rzeczy po imieniu. Padło już jednak jedyne trafne słowo: 'W Polsce dokonuje się rewolucja'”. Wstęp pod tytułem „Co dzieje się w Polsce?” autor kończy

następująco: „Muza historii mówi dziś po polsku. Od nas zależy, czy nauczy się rosyjskiego”.

W historycznej części trafiają się, jak powiedziałem, błędy, wynikające z niedostatecznej znajomości faktów i — być może nieświadomionego — wpływu oficjalnego punktu widzenia. Autor pisze np., że dopiero po tym, jak zachodnie państwa zaczęły w 1939 roku odwiekać pertraktacje z Moskwą, Stalin „rozpoczął tajne rokowania z niemieckim dyktatorem”; słabość Armii Krajowej polegała zdaniem autora na tym, że stanowiący jej kościec oficerowie polscy „wnieśli do niej charakterystyczne cechy kasty, do której należeli: konserwatyzm, ślepe posłuszeństwo rozkazom, nierzadko wielkopańskie nawyki... W polskim ruchu oporu znalazło się wielu ludzi, dla których Armia Krajowa była zbyt prawicowa. Jedności narodowej nie udało się osiągnąć”; w Katyniu „rozstrzelano dziesiątki tysięcy polskich oficerów”.

„System stalinowski — stwierdza autor — panował w Polsce od końca wojny do jesieni 1956 roku”. Upadł, bo na drodze do sowietyzacji stanęły siły hamujące ją i utrudniające jej pochód. Wśród nich autor wymienia na pierwszym miejscu Kościół i dodaje: „Katolicka kultura i organizacja mogą wam się podobać lub nie, ale nie możecie ich lekceważyć”. Kościół w Polsce „zachował swoje wpływy i swoją organizację (podkreślenie autora). W Rosji nie bardzo sobie umiemy wyobrazić, czym jest zorganizowany Kościół, dlatego że rosyjska Cerkiew prawosławna dostała w spadku po Bizancjum niewolniczą pokorę wobec władzy...”. Autor ma też własne zdanie o polskiej inteligencji. Uważa, że dzieliła się ona zawsze na „radykałów”, z reguły bezbożnych, i na „konserwatystów”, z reguły katolików (w odróżnieniu od Rosji, gdzie cała inteligencja była radykalna, a partia konserwatywna była zawsze skrajnie nieinteligentka). W czasie wojny i po wojnie radykalna polska inteligencja poniosła duże straty. Natomiast katolicka inteligencja, mimo wszystkich ofiar, odtworzyła swoje szeregi, bowiem w Polsce nigdy nie zaniknęło tradycyjne polskie wychowanie. W ten sposób „Kościół zachował w Polsce swe wpływy i swą organizację”.

Także polska klasa robotnicza znacznie różni się od sowieckiej, przede wszystkim dlatego, że może przekazywać swe doświadczenia i uczucia młodemu pokoleniu. 1956, 1968, 1970, 1976 to etapy, które doprowadziły do 1980 roku. Autor „Polskiej rewolucji” przypisuje dużą wagę faktowi, że dorastająca pod Gomułką i Gierkiem młodzież dojrzała „nie zawsze w sytości, ale bez dawnego strachu. Jest to pokolenie, które dojrzało w socjalizmie bezwziętym”. I wreszcie polskie chłopstwo. Rejestrując ważną różnicę w stosunku do ustroju sowieckiego, autor podkreśla, że mimo iż polscy chłopcy są właścicielami ziemi, znajdują się pod silnym naciskiem państwa. Ocenę polityki rolnej Gierka autor zamyka formułą: „Jeśli Gierk świadomie planował głód i z góry stwarzał po temu odpowiednie warunki, nie mógłby osiągnąć lepszych rezultatów”.

Szczególne cechy polskiego społeczeństwa doprowadziły do tego, że zaniknął strach, a ściślej poziom jego obniżył się. Zdaniem autora rewolucji sprzyjały ponadto dwa inne czynniki. Nie wie jednak, jak je ocenić. Pierwszy z nich to kredyty amerykańskie za czasów Gierka. Autor nie ma wątpliwości, że „celem amerykańskiej polityki było oderwanie Polski od bloku sowieckiego”, podkreśla, że „Amerykanom przyświecały ich własne interesy”, przyznaje jednak, że interesy te „były zbieżne z interesem narodu polskiego, zmierzającego do uniezależnienia się od Rosji... Z punktu widzenia polskich interesów politykę amerykańską krytykować można jedynie za to, że była nie dość konsekwentna i zbyt oglądała się na Moskwę”.

Drugi czynnik autor ocenia zdecydowanie negatywnie. Jeszcze za Gomułki „partia, rozluźniając obowiązujące zasady moralne, wydała Polskę na niszczący wpływ Zachodu”. Dozwolona została „muzyka rozrywkowa zachodniego typu, malarstwo abstrakcyjne” i inne infantylny rodzaje sztuki. W gazetach pojawiły się zdjęcia gwiazd filmowych i innych znanych piękności, ubranych czy rozebranych. Cały ten potok brudów miał stworzyć społeczeństwo rozmiękczone, podatniejsze na modelowanie i głupie. Wykorzystanie brudów w celach politycznych było — zdaniem autora — „bardziej świadome w Polsce niż u nas”.

Ograniczone horyzonty autora i jego podatność na sowiecką propagandę są szczególnie wyraźne w jego ocenach polskiej kultury: „Stworzono pozory wyzwolenia kultury. Socrealizm został wyśmiany i artyści pracujący starą manierą nie korzystali już z monopolu państwowego. Ale formalne tricki artystyczne nie mogły przesłonić duchowej pustki. W muzyce wszystkie chwytły były dozwolone, ale kompozytorzy w najlepszym przypadku zwracali się bojaźliwie ku tematowi kościelnemu. W teatrze i filmie wolno było jeszcze hołdować pewnemu naturalizmowi, ale przede wszystkim w dziedzinie pornografii. W literaturze było najmniej wolności, a poważne problemy życiowe zostawały jak przedtem poza ramami dozwolonego przez cenzurę pisarstwa, ale można było ogłupiać ludzi formalnymi eksperymentami. Wszystko stało się współczesne, brudne i płaskie jak na Zachodzie, z tą jednak różnicą, że na Zachodzie ta „współczesność” była regulowana względami handlowymi, a w Polsce — naśladownictwem Zachodu i czujnością kierownictwa”. Nie całkiem też autor jest przekonany o celowości wyjazdów Polaków za granicę: „Władze ograniczały do prawu tylko dla politycznie źle widzianych... I wszyscy Polacy zaczęli jeździć po świecie, przywożąc z zagranicy szmatki, pornografię, ale czasami także nowe pojęcia”.

Autor nie ma wątpliwości, że Gomułka a po nim Gierek, otwierając okno na Zachód, przyspieszyli proces degradacji polskiego społeczeństwa. Nie zdołali jednak „zabić w narodzie jego tradycyjnego ducha niezależności i sprzeciwu wobec poniżenia”.

Główna część książki to szczegółowa kronika okresu Solidarności. Za najważniejsze wydarzenie, iskrę, która rozpałała pło-

mień Solidarności, autor uważa powstanie KOR-u. Od tego momentu zaczyna się zorganizowany polityczny ruch oporu. Warunkiem istnienia systemu typu sowieckiego jest „polityczna próżnia, wytrzebienie wszelkich zarodków myśli i organizacji politycznej i co za tym idzie niewolnicza zależność od władzy”. Aby się ten idealny ład utrzymał, potrzebne jest „regularne ścinanie głów, inaczej odrastają. I dlatego w Polsce, gdzie od 1956 roku nie stosowano terroru, odrodził się zorganizowany ruch oporu”.

W sumie niekiedy trudno jest osądzić, czy nieścistości autora są wynikiem braku informacji, czy też sposobem wyrażenia opinii o sowieckiej rzeczywistości. Autor np. usilnie podkreśla, że KOR „ukrył przed władzami prawdziwą strukturę swej organizacji”. Twierdzenia takie można odczytywać w kontekście sporów, jakie prowadzili sowieccy dysydenci w latach 60-70, a może prowadzą i dziś. Spierano się wówczas, czy dysydemtom potrzebna jest podziemna organizacja czy nie. Piotr Grigorienko, który w latach 60-tych usiłował taką organizację stworzyć, doszedł później do wniosku, że „w podziemiu można spotkać tylko szczyry”. Tak też zatytułował swoje niezmiernie interesujące wspomnienia. Autor „Polskiej rewolucji” najwidoczniej nie zgadza się z tą opinią: „Jak wiadomo — pisze — dysydenci w Związku Sowieckim gardzą wszelką kalkulacją polityczną, uważając, że tylko źli ludzie obliczają skutki swych postępów, a dobrzy powinni bez namysłu wyrażać swe uczucia...”. W opisie działalności KOR-u, który m.in. „nawiązał kontakty z różnymi kręgami społecznymi w Polsce i za granicą, w tej liczbie i z liczną i wpływową polską emigracją”, wyczuwa się ton aprobaty.

Książkę zamyka opis posiedzenia KKP z 12 grudnia 1981 i wprowadzenie stanu wojennego. Autor jest jednak przekonany, że jest to „początek boju ich ostatniego”. Ich — tzn. Jaruzelskiego i jego towarzyszy broni, którzy „wydali wyrok śmierci na polską partię rządzącą, przekształcając ją w żalosną przybudówkę dyktatury wojskowej”.

Nie ulega wątpliwości, że książka bezimiennego autora o „polskiej rewolucji” stanowi zaledwie początek rozważań na ten temat. Można być pewnym, że w ślad za nią pójdą następne, że „polski przykład” stopniowo zacznie przenikać do świadomości ludzi sowieckich. Jak powiedział Wasyl Stus, „ruch w sprawie mieszkań i kęsa chleba, w sprawie normalnej płacy dla robotników — jest zrozumiały dla wszystkich”.

Polski przykład pozwoli może przewyciężyć strach przed działalnością polityczną, głęboko zakorzeniony w świadomości człowieka sowieckiego. Solidarność przetarła drogę ruchom oporu.

Michał HELLER

W sowieckiej prasie

10 lutego 1984 — usłyszawszy oficjalny komunikat o śmierci Jurija Andropowa, która nastąpiła dzień przedtem — przypomniałem sobie powieść Orwella i znalazłem w niej odpowiedź na pytania, których nie przestają zadawać wszyscy zachodni dziennikarze i politycy. „Czy rzeczywiście istnieje Starszy Brat? — zapytuje w czasie tortur Winston Smith. — Ma się rozumieć, że istnieje — słyszy odpowiedź. — Partia przecież istnieje, a Starszy Brat jest wcieleniem Partii... — Czy on kiedyś umrze? — dopytuje się Smith. — Ma się rozumieć, że nie! Jak mógłby umrzeć Starszy Brat?”

9 lutego zniknął Starszy Brat nazwiskiem Ju. W. Andropow. 13 lutego ogłoszono, że Starszy Brat nazywa się Konstantin Ustinowicz Czernienko. Jak zawsze — odnotowuję to tylko z obowiązku kronikarza — sowietolodzy i kremlinolodzy nie odgadnęli nazwiska Starszego Brata. A przecież znowu — ze zdumiewającym zachowaniem rytuału — wszystko odbyło się tak, jak być powinno. Wszyscy już dzisiaj wiedzą, że pretendować na stanowisko Generalnego Sekretarza mogą tylko ci członkowie Politbiura, którzy jednocześnie są sekretarzami KC. Po śmierci Andropowa pozostało ich tylko trzech: dwóch młodych (M. Gorbaczew, 52 lata, G. Romanow, 61 lat) i jeden w średnim wieku K. Czernienko — 73 lata. Dla ekspertów wybór był jasny — nie można przecież urządzać uroczystych pogrzebów co 15 miesięcy. Dla Politbiura wybór był równie oczywisty: tylko dojrzały przywódca może kierować Partią i Państwem.

Politbiuro, które zebrało się po śmierci Andropowa, rozpatrywało dylemat: przedłużyć okres przejściowy albo otworzyć drogę do najwyższej władzy nowemu pokoleniu. Druga decyzja miała swoje zalety biorąc pod uwagę interesy państwa. Jednocześnie miała kolosalną wadę: wejście na scenę „młodych” niewątpliwie odsunęłoby „nie-młodych”. Demonstracyjnie kandydaturę Czernienki na stanowisko Generalnego Sekretarza przedstawił najstarszy członek Politbiura — premier N. Tichonow (79 lat). Poparli go A. Gromyko (1909), D. Ustinow (1908), D. Kunajew (1912), W. Griszyn (1914).

Decyzja Politbiura nie pozostawia żadnej wątpliwości: okres przejściowy będzie się przedłużał dotąd, dopóki najstarsi z wódców będą mogli podnosić rękę do głosowania, dopóki nie „dojrzeją” młodzi. Epoka uroczystych pogrzebów, która zaczęła w listopadzie 1982 roku, jeszcze się nie zakończyła. Wybór Czernienki jest istotny w tym kto go wybrał. 15 miesięcy temu jego kandydatura została odrzucona na rzecz lepszej — Jurija Andropowa. A zatem dzisiaj został wybrany przywódca, który nie nadawał się na to stanowisko w 1982 roku. Kiedy diabeł — jak

opowiada Michał Bułhakow — zobaczył w bufecie moskiewskiego teatru wędliną z napisem „drugiej świeżości” wezwał bufetowego i powiedział: „Wędlina drugiej świeżości” nie istnieje — jest albo świeża, albo nieświeża”. Jak wynika z tej opowieści, diabeł porzucił Moskwę zrozumiawszy, że tam znają diabelskie sztuczki lepiej od niego. Jeszcze jedno potwierdzenie — Generalnym Sekretarzem został kandydat „drugiej świeżości”.

Krótkie królowanie Andropowa jest niewątpliwie dlatego interesujące, że przedstawia sobą przejrzysty zarys modelu najwyższej władzy, mechanizm wyborów, możliwości Generalnego Sekretarza i granice jego władzy. Nie ustają spory zachodnich ekspertów co do charakteru Związku Sowieckiego. I dlatego z początkiem „roku orwellowskiego” znowu słyszy się rzadkie, odważne głosy, że mimo wszystko ustrój sowiecki jest ustrojem totalitarnym. Myślę, że wybór Czernienki rozwiewa wszystkie wątpliwości. Zresztą formuła totalitaryzmu została z niezwykłą jasnością określona w konstytucji ZSSR: „Kierowniczą siłą sowieckiego społeczeństwa, jądrem jego politycznego systemu, państwowych i społecznych organizacji jest komunistyczna partia Związku Sowieckiego. KPZS istnieje dla narodu i służy narodowi. Uzbrojona w marksistowsko-leninowską naukę partia komunistyczna określa generalną perspektywę rozwoju społeczeństwa, linię wewnętrzną i zagraniczną polityki ZSSR, kieruje wielką, świadomą działalnością narodu sowieckiego, nadaje planowy i naukowo uzasadniony charakter jego walce o zwycięstwo komunizmu”. Partia przewodzi, kieruje, określa, nadaje znaczenie — kontroluje wszystko. Generalny Sekretarz ucieleśniający partię jest ograniczony w swej władzy tylko władzą innych członków najwyższej instancji. Pierwszy wśród równych — on jest pierwszym w określaniu taktycznych środków, niezbędnych dla osiągnięcia celów strategicznych, ustalanych kolektywnie (w bardzo wąskim gronie).

Starożytni Rzymianie wyglądają niezmiernie szlachetnie z ich dewizą: o zmarłych albo wcale, albo dobrze. Zresztą nie zawsze im się to udawało — wystarczy wspomnieć Swetoniusza. Dla nas, żyjących w XX wieku, rzymskie cnoty są w ogóle niedostępne. Nie można niczego nie powiedzieć o człowieku, który przez 15 miesięcy rządził Związkiem Sowieckim, a 15 lat najbardziej straszną policją polityczną o powszechnie znanej działalności. Nie można jednak nic dobrego o nim powiedzieć. Sądząc po fotografiach (które ukazały się w zachodniej prasie) zapłakanej żony i płaczącego syna możliwe, że Andropow miał ludzkie cechy: kochał kobiety, dzieci, kwiaty albo psy. W ciągu ostatnich 15 miesięcy swego życia nie przestawał powtarzać: dyscyplina, dyscyplina, dyscyplina. Represje w okresie jego panowania osiągnęły dawno zapomniane rozmiary. Wojna w Afganistanie w przededniu jego śmierci przekroczyła 5-ty rok. Liczba wojsk sowieckich wysłanych dla złamania Afgańczyków została powiększona.

Ostatnim z zarządzeń podpisanych przez Andropowa było za-

ządzenie o wzmocnieniu ochrony „tajemnic służbowych”. Pierwsze zarządzenie Andropowa, które weszło w życie natychmiast po jego wyborze, było zarządzeniem o wzmocnieniu ochrony granic sowieckich. W jednym i w drugim wypadku istniały najsurowsze prawa o ochronie. Andropow uznał jednak za niezbędne przekreślić klucz jeszcze raz i jeszcze raz. Ponadto — jak można przypuszczać — Andropow zdążył przed śmiercią przeczytać „kolejne wydanie historii KPZS”. Ostatnie ukazało się 18 miesięcy temu. Nie trudno domyśleć się, że w nowym wydaniu ostatni rozdział będzie poświęcony wybitnej działalności wybitnego leninowca — Andropowa.

15 miesięcy to okres niedługi. Liczni sowietolodzy, którzy entuzjastycznie powitali Andropowa, twierdzą że nie miał on czasu dla przeprowadzenia reform, które by wreszcie uczyniły Związek Sowiecki rajem na ziemi. (Zawsze zadawałem sobie pytanie po co im to potrzebne, dlaczego ich tak niepokoi kryzys sowieckiego ustroju?) Możliwe. Jednakże cała działalność Andropowa świadczy, że jedynym posunięciem, które nazwał on „reformą” była reforma ogólnokształcącego i zawodowego szkolnictwa. Projekt reformy został ogłoszony 4 stycznia. Ciekawe czy będzie ona wprowadzona w życie przy nowym wodzu. Istotą reformy jest wzmocnienie ideologicznego szkolenia dzieci zaczynając od szóstego roku życia (do tej pory dzieci szły do szkoły od 7-go roku życia), przymusowe kierowanie znacznej części uczniów do szkolnictwa technicznego (walka z brakiem sił roboczych) i pogłębienie nauki języka rosyjskiego. Ten trzeci kierunek reformy jest związany z tym, że — jak oświadczył marszałek N. Ogarkow — „jak wiadomo w siłach zbrojnych wszystkie przepisy, pomoce naukowe i instrukcje dotyczące bojowej techniki i broni są w języku rosyjskim. Rozkazy, dowodzenie, rozporządzenia tak samo wydawane są w języku rosyjskim. Niezbędność pogłębienia nauki języka rosyjskiego w aparacie wojskowym jest więc oczywista”. Okres andropowowski można będzie studiować na podstawie niedawno pokazanego filmu „Pociąg zatrzymał się”. Film jest ostro polityczny, dający receptę na naprawę pociągu. Nie ma wątpliwości, że tytuł filmu jest symboliczny. Pociąg idący z Moskwy na południe zatrzymał się; nastąpiło zderzenie: pod pociąg wpadła ciężarówka. Do małego miasteczka gdzie nastąpiła katastrofa, która spowodowała śmierć maszynisty, przyjeżdża śledczy. Bardzo szybko ustala on, że sprawcami zderzenia byli: zabity maszynista, który pojechał z niesprawdzonym szybkościomierzem, naczelnik remizy, który wypuścił niesprawdzoną lokomotywę, zwrotniczy, który nie nastawił szyn, itd., itp. Władze miejskie nie chcą grzebać się w tym błocie, śledczy jednak nastaje: nasze prawodawstwo jest zbyt miękkie, potrzebne są znacznie ostrzejsze przepisy, żeby nie było katastrof, żeby pociąg pojechał.

Jurij Andropow nie potrafił uregulować normalnego ruchu pociągów. Mimo że — jeszcze jeden symbol — jednym z pierwszych jego zarządzeń było mianowanie Gajdara Alijewa superministrem transportu kolejowego.

Pogrzeb odbył się szybko, bez tej pompy, jaka miała miejsce przy pogrzebie Breżniewa. Z mowami pogrzebowymi wystąpiła trójka nowych leaderów: Czernienko, Gromyko, Ustinow. Nie powiedziano niczego nowego: obietnica kontynuowania linii poprzednika, ulepszenia, podwyższenia, wzmocnienia.

Nigdy jeszcze generalnym sekretarzem nie wybrano kogoś w tym wieku. Po pierwsze wybrano człowieka nie mającego żadnego innego doświadczenia prócz pracy w aparacie partyjnym. W oficjalnej biografii powiedziano, że Konstantin Ustinowicz Czernienko urodził się 24 września 1911 roku na wsi syberyjskiej. W paszporcie zaznaczono że jest narodowości rosyjskiej (mimo ukraińskiego nazwiska). W młodości był on aktywistą komsomolskim, potem trafił do aparatu partyjnego. W czasie wojny zajmował stanowiska sekretarza komitetów obwodowych partii, tak że frontu nie widział. To trochę skomplikuje działalność propagandystów, którzy będą tworzyli jego legendarne wojenne sukcesy, niezbędne dla Generalnego Sekretarza. W 1950 roku nastąpiło w Mołdawii — gdzie Czernienko pracował w aparacie KC republiki — spotkanie, które przesądziło o jego losach — spotkanie z Leonidem Breżniewem. W tym czasie Czernienko ukończył szkołę organizatorów partyjnych przy KC KPZS, a w Kiszyniowie otrzymał dodatkowo dyplom Instytutu Pedagogicznego (co nie było trudne dla pracownika aparatu propagandowego). Od 1950 roku Czernienko nie opuszczał Breżniewa, który go ciągnął wszędzie za sobą. Po 1964 roku, kiedy usunięcie Chruszczowa dało Breżniewowi stanowisko Generalnego Sekretarza, kariera Czernienki skoczyła w górę jak rakietą: zarządzający wydziałem KC, sekretarz KC, członek Politbiura.

Po śmierci M. Susłowa w 1982 roku, Czernienko kierował ideologią sowiecką. Ale do czasu nominacji na głównego kapłana przejawiał on nieograniczoną słabość do „teorii” — rezultaty zostały ogłoszone w pięciu tomach „Dzieł”. Cała jego „teoria”, „ideologia wschodzącej klasy” — jak ją określał — sprowadza się do prawa, które sformułował w czerwcu 1983 roku: „Są prawdy nie podlegające rewizji, problemy dawno i jednoznacznie rozwiązane”.

Pogrzeb Andropowa dał okazję zobaczenia i usłyszenia nowego (?) kierownictwa sowieckiego. Wystąpienia członków trójki wystarczająco wyraźnie mówią o perspektywach. Nowy (?) Sekretarz Generalny wyglądał staro i chorowicie, mówił zacinając się, płacząc się przy najprostszych słowach, tak że telewizja sowiecka nie pokazała kadrów z jego wystąpieniem. Nie ma żadnej wątpliwości, że Czernienko jest ciężko chory. I chyba jest niepotrzebny drugi symbol, by udowodnić niechęć i niemożliwość jakiegokolwiek ruchu wewnątrz kraju. Bez większego ryzyka pomyłki można przewidzieć: pociąg będzie stał tam, gdzie stoi. Zupełnie inne wrażenie wywołało drugie wystąpienie — wiecznego ministra spraw zagranicznych Gromyki. Starszy od Czernienki o dwa lata wyglądał młodziej od Generalnego Sekretarza o lat 20. Przemawiał jasno, precyzyjnie, głośno. Symbolizował

wolę ekspansji — jedynej formy istnienia, która pozostała sowieckiemu ustrojowi.

Dwa wystąpienia i odgłosy, które wywołały one w prasie zachodniej dobrze tłumaczą powody sowieckich sukcesów w polityce zagranicznej. Prasa francuska zapewne po raz pierwszy od dnia rewolucji październikowej potraktowała kolejnego wodza sowieckiego lekceważąco i prześmiewczo. A przecież 15 miesięcy temu ta sama prasa jak i *mass media* wszystkich krajów Zachodu mówiły o Andropowie z największym szacunkiem i strachem. Ale ta sama prasa, która lekceważąco mówi i pisze o starym i chorym Generalnym Sekretarzu, z zachwytem podchwyciła „pokojowe” oświadczenie Gromyki, który zgodził się pod bardzo surowymi warunkami nie stawiać veto na decyzję Rady Bezpieczeństwa o wysłaniu *casques bleus* do Libanu. Zdawałoby się, że jest wiadome iż *casques bleus*, które nigdzie i nikomu w niczym nie przeszkodziły — po opuszczeniu Libanu przez żołnierzy amerykańskich, francuskich, angielskich i włoskich — pozwolą Syrii, tj. Związkowi Sowieckiemu, włączyć Liban do strefy sowieckiej. Mimo to „zgoda” Gromyki była przywitana jako krok do „*détente*” i „pokojowego współżycia”.

Kolejny sukces sowieckiej polityki zagranicznej i jej kolejny krok naprzód, stały się możliwe — tak jak i poprzednie — dzięki zgodzie Zachodu.

Zmiana warty na Kremlu wywołuje ciągle te same zapytania: czy całkowicie zablokowany system może istnieć tylko dzięki zewnętrznej ekspansji? Czy zmiana pokoleń na szczytach władzy może następować jedynie w rytmie procesów biologicznych?

Można sobie łatwo wyobrazić, że jeśli obecne jądro Politbiura pozostanie przy władzy przez kilka lat mogą u „młodych” pojawić się wspomnienia o stalinowskiej metodzie „zmiany pokoleń”. Śledczy w filmie „Pociąg zatrzymał się” wyraża życzenie: „niestety wszystkich nie aresztujesz, a trzeba by... czasami”.

Jednak dla wykorzystania „stalinowskiej metody” potrzebny jest Stalin. Maszyna partyjna stworzona przez Stalina funkcjonuje tak, by nigdy nowy Stalin nie mógł dojść do władzy. W armii sowieckiej i w KGB — dwóch zbrojnych rękach partii — awans w służbie następuje zgodnie z regulaminem: po 4-ach latach kapitan powinien zostać majorem jeśli nie popełnił bardzo poważnych uchybień w służbie. Tylko w aparacie partyjnym sekretarz rajkomu może przez całe życie pozostać na swoim stanowisku, a kandydat do Politbiura do śmierci nie przyniknąć do pokoju Nr 1.

Bunt „pułkowników” partyjnego aparatu, gdyby tacy istnieli, byłby jednakowoż prawdziwą rewolucją, gdyż byłby skierowany przeciw podstawie sowieckiej władzy — partyjnej maszynie. W ostatecznym rachunku wszystko sprowadza się do jednego: kto jest silniejszy: człowiek czy maszyna? Być może, że nadchodząca era Czernienki da dodatkowe argumenty albo na korzyść człowieka, albo partyjnej maszyny.

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

W wydawnictwie *Insel Verlag* (Frankfurt n/Menem) ukazała się powieść Jana Józefa Szczepańskiego *Polska jesień* w przekładzie Klause Staemmlera. *Insel Verlag* ogłosiło już wcześniej drukiem kilka książek Szczepańskiego: *Wyspa, Ikar i Przed nieznanym trybunałem*. ■ Ponad 130 prac malarzkich i graficznych prezentowała wystawa *Malarstwo i Grafika w NRD*, czynna w salach wystawowych warszawskiej *Zachęty*. ■ W 1983 roku mieszkańcy RFN wysłali do Polski 2 mln paczek (1982 — 8,6 mln). Chodzi w tym wypadku wyłącznie o obrót pocztowy. Tą statystyką nie są objęte transporty różnych towarów wysyłane do PRL przez osoby prywatne i organizacje charytatywne ciężarówkami. ■ Grupa działaczy opozycyjnych skupiona wokół ukazującego się w podziemiu miesięcznika *Niepodległość* ogłosiła *Założenia programowe*. Jeden z punktów sformułowany jest następująco: „Zawrzeć traktat pokojowy ze zjednoczonym i niepodległym państwem niemieckim sankcjonujący polską granicę na Odrze i Nysie”. ■ 70-letni prof. Andrzej Burda, b. *Prokurator Generalny PRL* (1957-1961), jeden ze współautorów (wraz z E. Ochabem) *Listu 10-ciu*, w którym protestowano przeciwko poprawkom do *Konstytucji*, przebywał w RFN na stypendium naukowym dzięki protekcji gen. Jaruzelskiego. ■ W NRD rozmieszczone sowiecką jednostkę rakiet operacyjno-taktycznych. Synod biskupów luteranckich w Maklemburgu wezwał rząd NRD do cofnięcia zgody na zainstalowanie dodatkowych sowieckich rakiet nuklearnych. Potępił równocześnie wymuszanie w szkołach i zakładach pracy podpisów pod deklaracjami popierającymi decyzje władz w sprawie rozmieszczenia broni nuklearnej. Synod wypowiedział się również przeciwko powoływaniu kobiet do wojska. ■ *Polskie Radio* zdjęło z anteny wiersze Goethego (choć nie jest jasne, czy był on Niemcem zachodnim, czy wschodnim). ■ W 1983 roku władze zachodnioniemieckie wykupiły z NRD 1.034 więźniów politycznych. „Tym razem nie płacono gotówką, lecz towarem” (min. Heinrich Windelen). ■ W 1983 roku 9 tys. wysoko wykwalifikowanych fachowców z Polski pracowało na różnych budowach w NRD. ■ Z instrukcji *Wydziału Prasy KC PZPR*, przeznaczonych dla dziennikarzy partyjnych: „Zwracać uwagę, że rozmieszczenie rakiet w RFN prowadzi do wzrostu pozycji tego państwa. Przypominać remilitaryzację Niemiec po pierwszej wojnie światowej. Wracać do przedwojennej Polski, aby pokazać jej antyradzieckość, sympatie do hitlerowców, ślepa wiarę w Zachód”. ■ Minister stanu w *Auswärtiges Amt*, Alois Mertes (*CDU*) wystąpił publicznie z tezą, iż w Polsce żyje wciąż ok. 1,1 mln Niemców („obszar Odra-Nysa”). Mertes stwierdził, iż RFN ma wobec tych Niemców konstytucyjny „obowiązek ochrony”. Szef frakcji chadeckiej *CDU/CSU* w *Bundestagu* Alfred Dregger sprecyzował dokładniej: „Naszym obowiązkiem jest troszczyć się o to, aby zapewnić tym ludziom prawa mniejszości narodowej, a zwłaszcza prawo do ich narodowej tożsamości”. ■ Prasa zachodnioniemiecka odnotowała 65-te urodziny Witolda Wirpszy (od 1971 roku mieszka w Berlinie Zachodnim), znanego prozaika, poety i tłumacza literatury niemieckiej. ■ *Misja Wojskowa PRL* w Berlinie Zachodnim odmówiła przyjęcia listu otwartego *Komitetu Obrony „Solidarności” (KOS)* z podpisami ponad 1.000 obywateli z Norwegii, Szwajcarii, Austrii, RFN i Polski — protestującego przeciwko prześladowaniu działaczy politycznych w PRL. ■ Władze NRD zaprottestowały przeciwko wywoływaniu antyniemieckich nastrojów przez polskie seriale

telewizyjne (*Blisko, coraz bliżej i Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy*).
 ■ W XXIII t. *Archiv für Sozialgeschichte* (Bonn 1983) ukazała się interesująca praca Hansa Henninga Hahna pt. *Möglichkeiten und Formen politischen Handelns in der Emigration (Możliwości i formy politycznego działania na emigracji)*. Hahn analizuje działalność różnych grup politycznej emigracji w Europie po 1830 roku. Autor poświęca wiele miejsca polskiemu wychodźstwu powojnowemu. ■ W RFN powstaje *Stowarzyszenie Emigrantów Polskich. SEP* — piszą wychodzące w Mannheim *Ostatnie Wiadomości* — ma być apolityczną (!) organizacją społeczno-kulturalną, niezależną i nie podporządkowaną żadnym innym związkom, „wolną od wszelkich wpływów zewnętrznych” (Palmaille 1, 2000 Hamburg 50). „Apolityczni emigranci”? — po co więc skargi na trudności z uzyskaniem azylu...
 ■ *Konferencja Biskupów Niemiec*, w ramach pomocy polskiemu rolnictwu, zamierza uruchomić na początek kilka programów wstępnych (tzw. „pilotujących”), na które przeznaczono 20-30 mln marek. Centrala *EWG* w Brukseli rozważa uruchomienie dodatkowych funduszy w tych samych granicach. ■ *Ferdurdurke* Witolda Gombrowicza w tłumaczeniu Waltera Thiela (nowo opracowanym przez Rolfa Fiegutha, który jest także autorem posłowania) wydał *Hanser Verlag* w Monachium. *Deutsches Allgemeines Sonntagsblatt* zamieściła bardzo przychylną recenzję Uty Stempel. ■ Prof. Czesław Pilichowski w wywiadzie udzielonym *Zyciu Warszawy* oświadczył, iż „w Polsce nie ma mniejszości niemieckiej, która wymaga ochrony ze strony RFN”. Czyżby prof. Pilichowski zapomniał o tysiącach Niemców, którzy rokrocznie opuszczają Polskę i przesiedlają się do RFN? Skąd się oni biorą? Trzeba stać po stronie obiektywnej prawdy: Niemcy w Polsce nie posiadają własnych szkół, własnych organizacji, prasy, własnych kościołów itd. Natomiast z tych przywilejów korzystają Polacy mieszkający w RFN. ■ We Fryburgu Bryzgowijskim zmarł 11. 11. 1983 r. Alfons Erb, założyciel i prezes honorowy *Fundacji im. Maksymiliana Kolbe*, pomagającej materialnie Polakom, b. więźniom hitlerowskich kacetów. ■ W Krakowie odbyła się projekcja filmu Andrzeja Wajdy *Miłość w Niemczech*. ■ *Kapituła Generalna Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego* (Księża Palotyni) wybrała nowego *Przełożonego Generalnego Zgromadzenia*. Został nim Niemiec — ks. Martin Juritsch. ■ W wieku 77 lat zmarł w Schwarzwaldzie Klaus Mehnert, emerytowany profesor politologii, jeden z najwybitniejszych znawców spraw wschodnioeuropejskich i chińskich. Był autorem wielu książek, m.in. *Sowjetmensch (Człowiek sowiecki)* i długoletnim redaktorem naczelnym miesięcznika *Osteuropa* (Aachen - Stuttgart). ■ *Z Rezolucji w sprawie polskiej polityki zagranicznej uchwalonej przez Ogólny Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii*: „Poszanowanie przez Niemców granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej jest warunkiem akceptowania przez Polaków prawa Niemców do zjednoczenia. Z zadowoleniem przyjmujemy postawę Niemców zrozumienia krzywd wyrządzonych Polsce, a także życzliwość wyrażającą się między innymi w hojnej pomocy charytatywnej dla Polski oraz przyjęciu i pomocy dziesiątkom tysięcy uchodźców z Kraju”. ■ *Aktion Sühnezeichen (Akcja Pokuty)* urządziła na terenie b. obozu koncentracyjnego w Dachau wystawę rzeźb ludowego artysty Jana Staszaka. Z okazji otwarcia wystawy Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt na temat: *Znaczenie Oświęcimia w historii stosunków niemiecko-polskich*. Jan Staszak nie mógł przybyć na wystawę swych prac, gdyż nie otrzymał paszportu. ■ Książka *Beter und Rebellen (Modlący się i buntownicy)* przedstawia 1000-letnią historię Żydów w Polsce. Zbirowa praca pod redakcją Michaela Brocke ukazała się we Frankfurcie n/Menem nakładem *Niemieckiej Rady Koordynacyjnej Towarzystwa Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej (Deutscher Koordinationsrat der Gesellschaft für Christlich-Jüdische Zusammenarbeit)*. ■ W serii *Biblioteka Polska* wydawanej przez *Suhrkamp Verlag* (Frankfurt) ukazały się dwie kolejne pozycje: *Przedwiośnie*

(*Vorfrühling*) Stefana Żeromskiego w tłumaczeniu Kurta Harrera i Eckharda Thiele oraz *Listy do Marysieńki (Briefe an die Königin)* w przekładzie Ulricha Browinga. Tłumaczenie *Przedwiośnia* nie jest wcale nowe, po prostu jest to przedruk wydania NRD-owskiego (*Recklam-Verlag*, Lipsk 1975), w dodatku zaopatrzonego w wykrętne posłowie Heinricha Olschowsky'ego („Żeromski był zdecydowanym przeciwnikiem wojny polsko-sowietkiej 1919-1920”). Widocznie autorowi posłowania i lektorom *Suhrkamp Verlag* nie jest znany esej Żeromskiego pt. *Na probostwie w Wyszkuwie*. Z posłowiem i translatorskimi „wyczynami” tłumaczy rozprawił się Tadeusz Nowakowski na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Tymczasem w *Suhrkampie* dyrektorzy robią porozumiewawcze miny i pokazują palcem na wschód („nie chcemy tracić kontaktu z polonistami w NRD”). ■ W Bonn istnieje emigracyjne przedstawicielstwo Wolnego Miasta Gdańska. ■ Grana w zachodniobierlińskim *Schlossparktheater* sztuka Sławomira Mrożka *Ambasador*, została emitowana w II programie niemieckiej telewizji. W roli głównej — Boy Gobert. ■ Katalog książek zgromadzonych w bibliotece *Deutsches Polen-Institut* w Darmsztacie został ogłoszony drukiem. Specjalistyczny zbiór (trochę po macoszemu potraktowana jest polska literatura wydawana na emigracji) liczy ok. 7 tys. tomów. ■ Nakładem *Westkreuz-Verlag* (Berlin - Bonn) ukazał się album pt. *Zwischen Ostsee und Waldkarpaten. Deutsch-polnische Begegnungslandschaften im Wandel der Zeit (Od Bałtyku po Karpaty. Krajobrazy współzycia niemiecko-polskiego w zmieniających się czasach)*. Autorem albumu jest Peter E. Nasarski przy współpracy Richarda Breyera. Publikacja zawiera 419 ilustracji na 145 stron dużego formatu. ■ Kolońska radiostacja *WDR* nadała 30-minutową audycję Heinricha Bölla, w której wybitny pisarz niemiecki przedstawił sylwetkę polskiego historyka, pisarza i publicysty — Władysława Bartoszewskiego. Böll poświęcił wiele miejsca najnowszej książce Bartoszewskiego — *Herbst der Hoffnungen (Jesień nadziei)*. ■ W ramach pomocy Polsce niemiecki *Caritas* dostarczył w 1983 roku 7.452 ton różnego rodzaju towarów o łącznej wartości ponad 22 mln marek. W tym samym okresie *Niemiecki Czerwony Krzyż (DRK)* udzielił Polsce pomocy (głównie sprzęt medyczny i lekarstwa) na sumę 14,2 mln marek; są to głównie dotacje rządu w Bonn i *EWG* z Brukseli. ■ Gerhard Zandecki z Salzhauseen k/Lüneburga wysłał już 46 transport do Polski (żywność i odzież). Zandecki, rencista, już od trzech i pół lat organizuje prywatną pomoc ubogim w Polsce. ■ Rudolf Nottrodt, emerytowany pułkownik *US Army*, zamieszkały w Bonn, gromadzi leki i transportuje je ciężarówkami do Gdańska. Nottrodt był zaraz po wojnie komendantem trzech obozów dla uchodźców we Włoszech, w których znajdowało się wielu Polaków. ■ *Komitet Katolików Miasta Kolonii* wysłał już do Polski (głównie do Krakowa) 88 konwojów ciężarówek z 1.500 tonami żywności, lekarstw i odzieży. ■ W NRD przebywała delegacja *Najwyższej Izby Kontroli* z prezesem *NIK* gen. Tadeuszem Hupałowskim: „zapoznano się z rolą czynnika społecznego, metodami i formami planowania i wykonywania kontroli, a także zasadami powoływania społecznych inspektorów”. ■ Polski przekład *Blaszanego bębena* Güntera Grassa, gotowy już przed 15 laty (tłum. Sławomir Błażut), ukazał się dopiero teraz oficjalnie nakładem *Państwowego Instytutu Wydawniczego* (nakł. 20 tys. egz.). Warto w tym miejscu przypomnieć, że polska *Niezależna Oficyna Wydawnicza* wydała tę powieść w 1980 roku. Obecna edycja *PIW-u* jest ocenzonej: po prostu wykreślono fragment mówiący o gwałceniu kobiet przez Armię Czerwoną. Wydawcy postarali się o posłowie pióra Romana Bratnego.

Andrzej J. CHILECKI

Polemiki

Kisiela spojrzenie na opozycję

W artykule „Wstęp do programu opozycji” (*Kultura* nr 1/2, 1984) Kisiel znów wychylił się przeciw opozycji. No i dobrze. Trzeba, żeby ktoś mieszał jej w głowie, bo stan ostrego konfliktu z władzą usztywnia myślenie. Ale co innego opinie Kisielewskiego, które są wątpliwe. Stąd te uwagi.

Robotnicy do rogu!

Kisielewski dyskwalifikuje robotników, wręcz ich likwiduje. Dlatego, że to zgodne z faktami? Nie. Dlatego, że jest przekonany, że robotnicy to dzieci systemu, marksistów, stworzone sztucznie z pogwałceniem praw ekonomii. Nie ulegajmy proletkultowi, ale ostrożnie. Bez względu na to, czy powstał z gwałtu na wolnym rynku czy ze związku prawowitego, jest to największa dziś i na parę najbliższych pokoleń grupa społeczna, mająca poczucie wspólnoty i skłócona z systemem. Grupa, która w powojennej historii stworzyła wszystkie sytuacje naciskowe pozwalające inteligencji wychodzić z kontestowania na marginesach. Ona też w poważnym, jeśli nie w decydującym stopniu obroniła pozycje Kościoła i rolnictwa indywidualnego. Nie sądzę, by to była przesada. To nie tyle chłopski upór, co niepokojące nastroje wśród robotników wywołane — na przełomie 1950 i 1951 roku — załamaniem zaopatrzenia doprowadziły do zastopowania przez półtora roku akcji kolektywizacyjnej. Sygnałem stopującym była, jak wiadomo, tzw. sprawa gryficka wiosną 1951 roku i drawska jesienią, kiedy to zdymisjonowano i osadzono do więzień winnych nadużyć wobec chłopów w tych dwu powiatach. Wygrane półtora roku to wtedy było ogromnie dużo. Dopiero po żniwach 1952 zaczęła się druga fala kolektywizacyjnych nacisków, zachwiana w kilka miesięcy później śmiercią Stalina. W żadnym innym „demoludzie” taka pauza w środku stalinizmu nie wystą-

piła. Wiadomo, jak duże znaczenie dla przełomu październikowego i powrotu Gomułki miało powstanie 1956 roku w Poznaniu. Wiadomo też, że do radykalnej zmiany polityki wobec Kościoła i chłopów doszło po przyjsciu Gomułki, wskutek jego decyzji. Nie jest pewne, czy bez Poznania, który wstrząsnął społeczeństwem, osłabił system i otworzył drogę politykowi będącemu zwolennikiem nowego ułożenia stosunków z Kościołem i chłopstwem doszłoby do tak radykalnego zwrotu. U progu października sytuacja Kościoła i chłopów była niewesoła. Trwał opór, ale i powolne oddawanie pola. Przed VIII Plenum nie działo się na roli nic tak bardzo niepokojącego, by samo z siebie wymusiło odejście od kolektywizacji. Oczywiście stosunki były napięte i wewnątrz spółdzielni produkcyjnych i na ich styku ze społecznościami wiejskimi. Ale eksplozja, błyskawiczna likwidacja systemu kołchozowego nastąpiła dopiero po zielonym świetle zapalonym przez Gomułkę, co wielu towarzyszy miało mu za złe jeszcze w 1971 roku, kiedy rozliczano go na kolejnym VIII Plenum.

Kościół i chłopci zyskiwali również na wszystkich następnych wystąpieniach robotniczych. Kościół, ponieważ rządzący, pod presją robotniczą, szukali w episkopacie ochrony, a zatem musieli wyhamowywać antykościelną ofensywę i iść na ustępstwa, co episkopat dzięki mądrości politycznej umiał wykorzystać. Chłopi, bo bunt robotnicze wysuwały na czoło polityki problem żywnościowy, blokując pomysły kolektywizacyjne, zawsze brzemienne w — przynajmniej czasowy — kryzys produkcji rolnej. Klasycznymi momentami wzmocnienia pozycji rolnictwa indywidualnego w wyniku akcji robotniczej były grudzień 1970 i czerwiec 1976 r. Dzięki grudniowi przełamano na parę lat stagnacyjną politykę rolną lat 60-tych. Potem przyszedł pseudosukces gospodarczy, kwestia żywnościowa na krótko straciła wagę polityczną i natychmiast doszło do recydywy pomysłów kolektywizacyjnych. Byłyby one realizowane, gdyby Gierek nie potknął się o Ursus i Radom w 1976 roku. O roli sierpnia 1980 roku nie wspominam, bo jest świeżo w pamięci.

Mylące jest ogólnikowe stwierdzenie Kisielewskiego, że „oporowi poszczególnych grup społecznych w Polsce oraz kolejnym zrywom narodowym zawdzięczamy fakt, że dzisiejszy ustrojowy i psychiczny model różni się *in plus* od schematu... dla satelickich krajów”. Oporowi poszczególnych grup społecznych, ale przede wszystkim wystąpieniom robotniczym. Bez nich ten opór zdałby się na nic i nie byłoby też zrywów narodowych, bo wstępem do wszystkich była akcja robotnicza. To trzeba powiedzieć jasno, a Kisiel chroni się za enigmaty, bo nie lubi robotników wierząc, że stworzyła ich PZPR.

Trzeba to powiedzieć nie dla apoteozy klasy robotniczej, co jest manierą części inteligentów (podobnie jak chłopomania, o czym niżej) ale dla przyszłości. Nie ma w Polsce szans opozycja, jeżeli zostanie wykorzeniona z robotniczych środowisk, jeżeli robotnicy skapitulują. Ciekawe, że Kisiel nie widzi w tej okoliczności fundamentalnej przesłanki utrzymania presji społecznej w

liczącej się skali a zarazem sądzi, że taki drobiazg jak rozwiązanie ZLP ma zasadnicze znaczenie dla utrzymania się na dużej skale niezależnej działalności wydawniczej.

Opozycja bez robotników będzie dysydencją, gettem produkującym intelektualny żer dla siebie, dającym od czasu do czasu tzw. świadectwo prawdy, formacją bez wpływu na rzeczywistość. Dlatego najważniejsze jest właśnie utrzymanie związków inteligentno-robotniczych i przede wszystkim przetrwanie ognisk „Solidarności” w fabrykach. Trzeba robić wszystko, by robotnicy wytrwali na ringu, a nie odsyłać ich do rogu.

Chłopi na ring!

Trudno mieć coś przeciwko postulatowi budowy programu opozycji i jej samej w oparciu o chłopskie widzenie spraw i o nich — co Kisiel chyba sugeruje. Trzeba dbać o ręce i nogi i nie wpadać z proletkultu w chłopomanię, bo mniej jest dla niej podstaw. Pierwsze wystąpienia zbiorowe chłopów na skalę bez politycznego znaczenia to dopiero koniec lat 70-tych. Następne po powstaniu „Solidarności” i tylko dzięki temu. Także nie masowe. Porozumienia z Ustrzyk i Rzeszowa, zalegalizowanie „Solidarności” Rolników Indywidualnych to fakty zadekretowane przez władze głównie pod wpływem możliwych reperkusji w stosunkach z „Solidarnością” robotniczą, a nie ze względu na skalę poruszenia na wsiach. Również losy NSZZ RI „Solidarności” po zarejestrowaniu nie są zachęcającym przykładem dla wysunięcia opozycji chłopskiej przed robotniczą. Do dziś nie wiadomo, nawet w wielkim przybliżeniu, ilu chłopów wstąpiło do Związku. Sądząc po wpływach ze składek, nie tak wielu. Nie wiadomo też, w ilu wsiach istniały koła i jaką część społeczności wiejskich zrzeszały. Wiadomo natomiast, że struktury regionalne i centralny ośrodek Związku były w stanie opłakanym. Brak elementarnej infrastruktury materialnej (bo chłopci nie płacili), kłębowski ostrych konfliktów personalnych i całkowicie sparaliżowane kierownictwo centralne przez grupę karierowiczów a może i agentów z Andrzejem Kłyszynskim w roli głównego zaufanego Kula, człowiekiem pełniącym w latach 50-tych rolę kapusia w więzieniu na Mokotowie (publiczne świadectwo Władysława Bartoszewskiego). „Solidarność” robotnicza w porównaniu ze związkiem chłopskim stanowiła wzór organizacji i dyscypliny, a wiadomo ile w niej było bałaganu i samowoli. Mówię to bez uprzedzeń do chłopów. Takie są fakty.

Zgoda — budujmy opozycję chłopską pod hasłem właściwych reform zorientowanych na podniesienie wsi i całej gospodarki wedle wiodącej roli rolnictwa. Ale bez złudzeń. Po pierwsze, że chłopci okażą się mniej klasowi a bardziej ogólnonarodowi niż robotnicy. Raczej odwrotnie, bo żyjąc trochę poza systemem mogą załatwić wiele swoich spraw bez naruszenia opłotków, które przyduszają miejską większość. Po drugie, że da się przekształcić chłopów w główną siłę naciskową, taką, która wystę-

puje jako ruch i jeszcze z produkcji żywności robi główny oręż. W związku z tym „żywnościowym” kijem na władze warto przypomnieć, że we wczesnych latach 50-tych, które uchodzą za okres oporu wsi przed polityką rolną, w czasie gdy sama egzystencja chłopstwa indywidualnego była zagrożona, produkcja rolna nie spadała, lecz tylko nie rosła. I to głównie przez brak bodźców ekonomicznych oraz środków produkcji rolnej. Przez załamanie się — wskutek industrializacji stalinowskiej — tzw. więzi towarowo-pieniężnej między przemysłem i rolnictwem. Z tego powodu, a nie wskutek świadomego politycznego oporu. Chłopi robili co mogli, by wywiązać się z dostaw, bo zaległości prowadziły do kołchozu i więzień. I szli całymi wsiami do więzień, bo nie dawali rady. Nawet prezydent amerykański nie może walczyć bronią żywnościową, bo sprzedawanie jej jest warunkiem egzystencji chłopca i nigdy, nigdzie chłop nie posługiwał się masowym strajkiem żywnościowym dla wymuszenia czegokolwiek od władz. Wstrzymanie na parę dni dostaw mleka z paru wsi o niczym nie świadczy.

„Solidarność” klasowa i ogólnonarodowa

Ciągłem dalszym niechęci Kisielewskiego do robotników są jego poglądy na „Solidarność”. Jej załugą — zdaniem Kisiela — jest odrodzenie świadomości narodowej, dokonanie w społeczeństwie językowej rewolucji. Nie będę się sprzeczał o pokłosie. Niech będzie. Ten profit wypracowała „Solidarność” — powiada autor — gdy przestała być „klasowo robotnicza” a stała się „masowym ogólnonarodowym powstaniem”. Otóż po pierwsze, ruchem masowym była „Solidarność” już w dwa tygodnie po podpisaniu porozumienia gdańskiego. Kiedy 17 września zebrali się w Gdańsku przedstawiciele kilkudziesięciu ośrodków organizacyjnych szacowano, że do Związku przystąpiło 3,5 miliona osób. Po drugie, podział na ruch klasowy i ogólnonarodowy nie odpowiada faktom, ponieważ oba te wymiary obecne były w „Solidarności” od początku do końca. Ogólnonarodowy aspekt wystąpił już w Stoczni Gdańskiej, gdy postulaty polityczne, włącznie z żądaniem reform gospodarczych, znalazły się na czele listy i gdy od ich spełnienia uzależniono negocjacje nad postulatami dalszymi, które Kisiel uznałby za „klasowo” robotnicze. Gdy zaś w styczniu 1981 roku wybuchł konflikt o wolne soboty — co u Kisiela wygląda jak rodzaj cezury — Związek miał już za sobą zupełnie nieklasowe konflikty o „kierowniczą” w statucie (konflikt rejestracyjny) i o praworządność (sprawa Narozniaka), a także kilka lokalnych starć o wyrzucenie „złodziei z nomenklatury”. Wtedy zaś, gdy już i według Kisiela był ogólnonarodowym powstaniem, przyszedł groźny konflikt o poprawę zaopatrzenia w żywność, klasowy według rozumienia autora, bo domagający się od państwa większych „świadczeń” żywnościowych. Co więcej, to ten właśnie „klasowy” konflikt był jedną z najważniejszych przyczyn, być może najważniejszą, szybkiego

rozwijania przez ruch w II połowie roku 1981 pakietu postulatów ogólnonarodowych. To on określił drogę „Solidarności” w ostatnim półroczu jej istnienia. W połowie 1981 roku, na tle sytuacji żywnościowej, doszło do zwrotnego momentu, który dla losów Związku uważam za o wiele bardziej brzemienny od tzw. sprawy bydgoskiej. Od tego momentu ruch rozpoczął walkę o uspołecznienie gospodarki, którą dotąd traktował jako domenę władz. To nie były „dywagacje o autogestii”, jak bagatelizująco pisze Kisiel, lecz coraz ostrzejsze starcia na tle bardzo konkretnych projektów „Sieci” dotyczących przedsiębiorstwa społecznego i koncepcji reformy gospodarczej, rządowych ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie, komisji żywnościowych „Solidarności” oraz Społecznej Rady Gospodarki Narodowej. Nie była to jednak cezurą między ruchem klasowo robotniczym i ogólnonarodowym powstaniem, lecz moment gdy „Solidarność”, już wcześniej walcząca o wiele spraw narodowych, włączyła do nich nowy punkt. Taką samą cezurą w procesie rozwijania się ogólnonarodowej — a więc także robotniczej — rewolucji byłoby posiedzenie Komisji Krajowej 12 grudnia 1981 roku, kiedy to podejmując uchwałę w sprawie referendum o wolnych wyborach do Sejmu, rozciągnięto strefę konfrontacji na podstawy systemu politycznego. Stan wojenny przeszkodził wejściu w ten nowy etap, choć oczywiście nie został on sprowokowany ani przez obrady w Radomiu, ani przez ostatnie posiedzenie KK.

Przyczyny porażki

Podział Kisielea nie trzyma się kupy i nic nie pasuje do jego oceny przyczyn klęski „Solidarności”. Powiada on bowiem, że wspomniane wyżej efekty w świadomości społecznej są zasługą Związku w jego drugiej ogólnonarodowej fazie, a zarazem twierdzi, że poniósł on porażkę na skutek swej „firmowej robotniczości”. Może Kisiel nie widzi w tym sprzeczności, ale ja ją widzę. Zostawmy jednak jej rozwikłanie autorowi, może przy okazji poćwiczmy marksistowską dialektykę.

Dlaczego „Solidarność” przegrała? Przegrała — odpowiada — bo: „Nie można jednocześnie zwalczać koncepcji państwa wszechmocnie opiekuńczego, arbitralnie zatrudniającego wszystkich, a zarazem zdawać się na to opiekuństwo domagając się od tegoż państwa hojniejszych świadczeń. Albo, albo. I nie ma demokracji politycznej bez demokracji gospodarczej, czyli bez uwłaszczenia społeczeństwa”. Czy co prawda stają w ślup, gdy Kisiel nazywa „wszechmocnie opiekuńczym” państwo, w którym młodzi czekają dziesięć lat na mieszkanie, kobiety tracą wolny czas w ogonkach, a chorzy leżą na korytarzach szpitali, ale powiedzmy, że się raz prorządowo przejęczył. „Solidarność” przegrała ze znacznie poważniejszych powodów, ale w opinii Kisielea jest ślad jednego z ciężkich dylematów tego okresu. Tylko źle uchwycony. Związek powstał u progu gigantycznego kryzysu ekonomicznego jako reakcja na jego dolegliwości. Wytonił się ze spo-

łeczeństwa (nie tylko robotników) nie rozumiejącego powagi sytuacji ekonomicznej i niezdolnego do jej szybkiego zrozumienia. Po pierwsze, bo system centralistyczny (a nie państwo opiekuńcze), przysłaniając prawa ekonomiczne prawami biurokracji, uniemożliwia dotarcie do świadomości zwykłego konsumenta związków występujących w gospodarce. „Nie dosyć, że nie ma mięsa w sklepach, to oni chcą jeszcze obniżyć nam przydziały!”. „Nie dosyć, że uganiamy się za towarami, to oni chcą podnosić ceny!”. To były wtedy powszechne twierdzenia ludowej ekonomii. Po drugie społeczeństwo nie czuło odpowiedzialności za to, co się dzieje, obwiniało władze i nie było zdolne przyjąć do wiadomości, że odrabianie kryzysu spadnie na jego barki. Po trzecie kryzys, który kulminował w 1980 i 1981 roku, był fenomenem wyjątkowym nie tylko w polskiej, ale światowej skali. Jestem przekonany, że żadne społeczeństwo wepchnięte w tak gwałtowną spiralę załamania gospodarczego nie potrafiłoby pojąć natychmiast wydarzeń. Uległoby diagnozom szarlatanińskim, receptom cudownym, a podstawowym odruchem samoobrony stałyby się proste żądania pieniężne. Rosną ceny, znikają towary, to muszą być podwyżki płac, dodatek drożyzniano itp. Chłopi — z różnicą jedynie na odmienną kategorię ekonomiczną w kręgu swej gospodarki — domagali się dokładnie tego samego co ludność miejska: przydziałów kartkowych, obniżki cen środków produkcji i podwyżek cen skupu. Rewindykacyjna faza ruchu występująca w toku straszliwej gospodarczej zawałki nie miała nic wspólnego z objawieniem się ideologii państwa opiekuńczego w świadomości społecznej. Była normalną reakcją społeczeństwa ubezwłasnowolnionego, ukształtowanego w centralizmie gospodarczym i skrajnie nie ufającego władzy. Reakcją na nieznanym mu wcześniej kataklizm. Dopiero gdy po podwyżkach i skróceniu czasu pracy stało się jeszcze gorzej, zaczęto rozumieć, i to bardzo powoli, że trzeba szukać innej drogi. Dzięki temu sprawa modelu gospodarczego weszła w krąg działań ruchu. Ekonomiczna świadomość społeczeństwa, nieprzystająca zupełnie do tego, co w gospodarce się działo i co trzeba było w niej robić, przyczyniła się, moim zdaniem, do przedwczesnej klęski Związku przez podkopanie w nim nurtu kompromisowego, co tylko sygnalizuję, bo temat jest obszerny i prowadzi w inne rewiry niż rozumowanie Kisielea.

Trzymajmy się go. „Solidarność” przegrała, powiada autor, bo wdała się w bijatykę o demokrację polityczną, rezygnując z demokracji gospodarczej, z uwłaszczenia społeczeństwa. Czyli trzeba było zacząć od boju o przebudowę gospodarki i to nie na zasadach samorządowych, bo samorząd uważa Kisiel za utopię, lecz na zasadzie inicjatywy prywatnej. I to jego zdaniem byłoby pole, na którym można by wypróbować realność supremacji Związku Sowieckiego nad Polską z najmniejszym możliwym ryzykiem.

Może. Gdyby założyć, że politycy na Kremlu gotowi są dziś poświęcić system komunistyczny w kraju satelickim, jeśli tylko

stanie się to przez złamanie mu kręgosłupa (reprywatyzacja gospodarki pod presją rewolucyjnego ruchu), a podeprą go interwencją przy próbie obciążenia głowy (wolne wybory). Jeżeli natomiast priorytetem kremłowskiej racji stanu jest utrzymanie systemu, choćby z braku innej praktycznej koncepcji dominowania w regionie, to kolejność usuwania filarów nie ma większego znaczenia. Gdyby więc „Solidarność” gotowa była psychologicznie przyjąć wczesne rady Kisiela i gdyby nawet u bram każdej fabryki czekała grupka kapitalistów (co samo w sobie jest sprawą), to i tak bój, który by o reprywatyzację gospodarki rozpoczęto byłby bojem ostatnim. Naszym, a nie ich.

Dlaczego więc „Solidarność” przegrała? To jest temat do dyskusji dla następnych paru pokoleń bez widoków na odpowiedź definitywną. Sądzę, że przegrała, bo nie mogła wygrać. Roman Dmowski w książce „Rosja, Niemcy i sprawa polska” daje następującą ocenę rewolucji 1905 roku w Polsce, którą przytaczam z pamięci. Jeżeli ruch rewolucyjny z jakiegoś powodu nie może obalić rządu, a rząd nie chce lub nie może pójść na ustępstwa zdolne zaspokoić aspiracje ruchu, to jedynym wyjściem które zostaje jest zwycięstwo rządu, ponieważ energii rewolucyjnej nie można utrzymać przez długi czas. Sądzę, że ta opinia pasuje do tego, co stało się po sierpniu 1980 roku, Ruch, który się wtedy narodził, był ruchem rewolucyjnym. Powstał w sprzyjającym układzie warunków wewnętrznych, ze społeczeństwa nie akceptującego systemu do fundamentów, odczuwającego system jako wielką dolegliwość. Nic dziwnego, że ujawniło ono silną skłonność do usunięcia owej dolegliwości. Był to jednak ruch zrodzony we wrogim otoczeniu i kraju zbyt małym, aby miał jakiegokolwiek szanse samotnie się mu przeciwstawić. Z tej sprzeczności między wewnętrzną sytuacją rewolucyjną i zewnętrzną sytuacją kontrrewolucyjną wyrósł podstawowy podział wewnątrz ruchu na tzw. nurt radykalny i umiarkowany. Historia „Solidarności” i wszystkiego co się wokół niej opłotło jest w dużym stopniu historią rywalizacji tych dwu tendencji na tle i w związku z podstawowym konfliktem z władzą i systemem. Sama rywalizacja zaś odbiciem nierozstrzygalnej sprzeczności między rewolucyjną dynamiką i credo ruchu a przeświadczeniem, że próba wykonania rewolucyjnej roboty do końca sprowadzi do kraju obcą interwencję. „Solidarności” nie było stać ani na samokapitulację, ani na obalenie systemu. Pozostawała szarpanina; rozpoczynanie ofensyw mobilizujących ludzi i zawieranie wątpliwych, choć koniecznych kompromisów rozproszkujących energię. Ruch niszczył się w ten sposób w pułapce uzasadnionych pragnień i uzasadnionych obaw, aż wreszcie stanął bezsilny u progu 13 grudnia. Tylko dzięki temu wielkiemu dramatowi „Solidarności”, prawdziwemu dramatowi historii, w którym słuszne aspiracje narodowe i odpowiedzialność za naród okazały się jednakowo silne, generał Jaruzelski i jego ekipa mogą posługiwać się dziś argumentem, że przyszli jako mniejsze zło.

Nie ma więc racji Kisielowski kiedy mówi, że wałęsowska

próba przetestowania realności dominacji rosyjskiej zakończyła się niepowodzeniem. Istotą bowiem próby Wałęsy było uniknięcie testu i przetrwanie. Zakończyła się porażką od wewnętrznego ciosu w plecy.

Waldemar KUCZYŃSKI

List J.J. Lipskiego do redakcji „Der Spiegel”

Warszawa, 30 stycznia 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracam się z uprzejmą i gorącą prośbą o wydrukowanie w redagowanym przez Pana miesięczniku *Kultura* mego listu do redakcji tygodnika *Der Spiegel*. Niestety, redakcja tego hamburskiego czasopisma odmówiła mi publikowania tego listu, a następnie spotkała mnie również odmowa ze strony redakcji czasopisma *Rheinischer Merkur* (co mnie mnie dziwi i dotyka).

Jest to dla mnie, rzecznika polsko-niemieckiego pojednania i wzajemnego zrozumienia się, bolesne oraz zaskakuje mnie, że w kraju wolności słowa nie można przebić się do druku z opinią polemiczną. Odebrano mi w ten sposób szansę zwrócenia się w ważnej sprawie bezpośrednio do niemieckiego czytelnika, gdyż nie jestem już w stanie szukać dalej w Niemczech chętnych do publikowania mego listu. Czas mija, każdy kontakt z prasą niemiecką, bez pośrednictwa poczty, wymaga wielu starań i zabiegów, niejednokrotnie daremnych. Sądzę jednak, że problem związany z treścią mego listu nie stracił nadal aktualności. Stąd moja prośba.

Uprzejmie proszę o opublikowanie mego listu wraz z listem skierowanym do Pana.

List do redakcji tygodnika *Der Spiegel* wysłany był w języku niemieckim.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Jan Józef LIPSKI

Do Naczelnego Redaktora
tygodnika *Der Spiegel*
w Hamburgu

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie bez zdziwienia przeczytałem w 26 numerze z 27 czerwca 1983 redagowanego przez Pana sławnego w całym świecie tygodnika artykuł pana Rudolfa Augsteina „Von der Vision zur Division”. Artykuł ten, pióra doświadczzonego publicysty, przedstawia sobą osobliwe pomieszanie przedziwnych ekskursów w odległą

przeszłość i teologicznych refleksji, przycinków i zarzutów przeciw papieżowi Janowi Pawłowi II, uproszczeń, a nawet dowolnych interpretacji, podszytych urazami i resentymentem.

Najmniejszą wagę przywiązuję do wycieczek historycznych, które polegają na wypominaniu papieżowi jego przeszłości. Sądzę, że nie zaszkodzi niekiedy przypomnienie katolikom również mniej chwalebnych kart ich historii. Ale trudno zrozumieć, jaki to ma związek z problemem zasadniczym artykułu i bieżącą sytuacją. Uogólnienie, że papieżstwo sprowadza nieustannie na Europę nieszczęścia — jest tezą bardziej dyskusyjną niż teza, której nie podzielam, że rodacy pana Augsteina spowodowali wszystkie bez wyjątku katastrofy w dziejach Europy, a szczególnie Polski.

Ponieważ jednak to ostatnie twierdzenie nie jest obce znacznej liczbie moich rodaków — wolałbym, by pan Augstein popełnił w swym artykule mniej nietaktów wobec Polaków. Bo po co wypominać nam, że przed rokiem 1939 nie żyliśmy w całkowitej wolności? To prawda, że ówczesna Polska była państwem znacznie okrojonych swobód politycznych, rządzonej dyktatorsko. Niemniej jednak swoboda myśli, przekonania, dźwięku, a nawet działań była wówczas u nas nieporównywalnie większa niż w ojczyźnie pana Augsteina. Działy w Polsce legalnie wielkie, masowe partie politycznej opozycji: socjalistyczna, nacjonalistyczna, chłopska, chrześcijańsko-demokratyczna; wydawały swą prasę, która co prawda była prześladowana przez cenzurę. Dyktatura napotykała silny opór społeczeństwa. Nie byłoby jednak przystojnie kwestionować wolę i prawo Niemców do życia dziś i na przyszłość w wolności dlatego, że Niemcy znajdowały się w latach 1933-1945 w wiadomej sytuacji. Natomiast z artykułu pana Augsteina dowiadujemy się, że Polakom przewróciło się w głowie: domagają się wolności, której przecież przed 1939 rokiem nie żądali. Pan Augstein jest widocznie przekonany, że wolność jest dobra dla niego i jego rodaków, ale nie np. dla pana Lipskiego i jego rodaków. Należy być bardziej taktownym i ostrożnym przy określaniu granic dla wolnościowych dążeń Polaków, zwłaszcza gdy pisze się na ten temat w jednym z krajów sąsiadujących z Polską, gdyż cały szereg historycznych katastrof, które spowodowały dzisiejszą sytuację Polski, rozpoczął się od paktu Ribbentrop-Mołotow i podziału Polski w roku 1939 między dwóch sąsiadów (należy dodać, że nie był to pierwszy podział Polski, zawsze między tych samych sąsiadów).

Gdyby nie te nietakty, uwaga pana Augsteina, że w razie likwidacji reżimu wojskowego gen. Jaruzelskiego mogłoby w polskie sprawy wnieść się krewawo „sowieccy przyjaciele” i wówczas byłoby jeszcze gorzej — brzmiałaby może inaczej. Wygląda ona rozsądnie, w związku jednak z innymi jego uwagami, o których już była mowa, sprawia wrażenie nie tyle troski i ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem — co zamiaru terroryzowania Polaków.

A tymczasem Polacy rozumieją swoją sytuację bardzo dobrze bez pomocy pana Augsteina. Wiemy, co nam grozi. Wprowa-

dzenie stanu wojennego oraz złamanie siłą strajków i demonstracji właśnie dlatego nie napotkało na aktywną obronę — chociaż pan Augstein wie na pewno z historii stosunków polsko-niemieckich 1939-1945, że Polacy nie są specjalnie tchórzliwi. Poza tym Polska jest jedynym krajem świata, w którym przy tak ostrych konfliktach politycznych i społecznych nie ma innego terroryzmu, niż policyjno-rządowy.

Czytelnik artykułu pana Augsteina wynosi z tej lektury wrażenie, że papież Jan Paweł II wzywał nas, Polaków, do powstania, a przynajmniej do wzmoczenia oporu. A tymczasem przybył On do nas ze słowami pociechy i nadziei, których potrzebujemy. Nie jest On rycerzem krzyżowym. Szokuje więc pointa artykułu pana Augsteina: „Papież ma dywizje prowadzone przez Świętą Dziewicę — nie jest to gwarancją dla pokoju atomowego”. Mówi się Niemcom w ten sposób, że Jan Paweł II i Polacy są głównym zagrożeniem dla świata (można dodać: jak zawsze). Zapewne, najlepiej byłoby, gdyby nie było ani tego papieża, ani w ogóle Polaków. A jednak, mimo paktu Ribbentrop-Mołotow i wszystkiego, co po nim nastąpiło — żyjemy. Jest to nasz ogromny nietakt, a nawet wina. Ale — jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy, i czy to zadowala pana Augsteina, czy nie, chcemy — tak jak Niemcy — żyć w pokoju, ale również i w wolności, i suwerennie. Nikt nam tego nie wybije z głowy.

Chciałbym pominąć całą „teologiczną” część artykułu pana Augsteina. Jest to ustęp zwrócony przeciw tego rodzaju kultowi Najświętszej Marii Panny, który cechuje papieża Jana Pawła II, a zresztą i znaczną ilość Polaków. Jestem niewierzący, toteż ten aspekt artykułu mnie interesuje. Wiem jednak, że ludzie różnie wierzą, a ich wiara różnie się uzewnętrznia. Jan Paweł II ma dobre prawo wierzyć i swą wiarę wyznawać tak, jak to uważa za wskazane. W odróżnieniu od pana Augsteina nie razi mnie to, ani dotyka, ani obraża. Nie rozumiem, czemu pan Augstein tak namiętnie okazuje tu swój brak tolerancji. Natomiast razi mnie, dotyka, a nawet obraża sugestia, że złożenie przez Jana Pawła II na Jasnej Górze w Częstochowie przestrzeżonego podczas zamachu pasa sutanny jako votum — jest krokiem na drodze ku przyszłej beatyfikacji. Jest to niewłaściwy koncept publicystyczny, niewłaściwy z punktu widzenia dobrych obyczajów i kultury stosunków między ludźmi, niezależnie od tego, czy votum składał Jan Paweł II, Jan Paweł Kowalski czy Johannes Paul Schmidt.

Jan Józef LIPSKI

Warszawa, sierpień 1983

DER SPIEGEL (Nr 3/1984), który z zadowoleniem podkreśla, że Adam Michnik stał się niemalże jego stałym współpracownikiem, pozwolił sobie na brutalne ocenzurowanie eseju przebywającego w więzieniu autora. Redaktorzy *Spiegla* wycieli wszystkie pozytywne wypowiedzi Michnika o USA i polskim Kościele. Może pisarze polscy wyciągną wreszcie z tego wnioski?

(Redakcja)

Doroczne Nagrody «Kultury»

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA

IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: JÓZEF SZRETT

Józef Szrett jest jednym z pseudonimów autora krajowego, który od dłuższego czasu współpracuje z *Kulturą*. Ponieważ tylko jednym z wielu — a pozostałych nie ujawniamy z obawy, że mogłoby to ułatwić identyfikację — tradycyjna laudacja musi być siłą rzeczy ograniczona. Na szczęście w dwóch ostatnich tekstach, podpisanych tym pseudonimem, występują najistotniejsze elementy publicystyki tegorocznego laureata.

Nie należy on do publicystów o wrażliwości wyostrejzonej przede wszystkim na bieżące wydarzenia, do tych (bardzo zresztą potrzebnych) publicystów, którzy reaguja i komentują „na gorąco”. W jego rozważaniach dominuje refleksja dalekowzroczna, myśl przepuszczona przez filtr doświadczeń historycznych i spokojnej obserwacji rzeczywistości, szczególnie ważna, gdy przyspieszony rytm historii popycha często ludzi do pochopnych wniosków, histerycznych ocen, kompromisów z własnymi dążeniami w imię „wymogów dnia”. Gdy się czyta Szretta, ma się konieczne w naszej sytuacji poczucie, że nic jeszcze nie „skończyło się bezpowrotnie”, żaden rozdział nie został „definitywnie zamknięty”, żadnym zdrowym i naturalnym aspiracjom Polaków nie został zadany „śmiertelny cios”, lecz trwa po prostu i długo będzie trwał stopniowy proces przedzierania się do niepodległości, ze swoimi osiągnięciami i porażkami, cofnięciami i pochodami do przodu. To Breżniew — przypomina Szrett — domagał się w Polsce epoki Solidarności „zawrótca czasu”, zgodnie z zasadą

autokonserwacji każdego *ancien régime'u*; to Solidarność, nawet chwilowo obezwładniona *manu militari*, wyznacza ciągle w Polsce bieg czasu, jest autentycznym wyrazem społeczeństwa polskiego, nie monolitycznego bynajmniej, lecz świadomego w większości swych celów. Zapominać o tym nie jest tylko przejawem pokłeskowej małoduszności, lub ugięcia się przed dyktatem „pragmatyzmu”. Jest zwyczajnym błędem. I Szrett na przykład — doskonały znawca Kościoła, admirator jego „przeobrażenia się w ciągu jednego pokolenia, między Stefanem Wyszyńskim a Karolem Wojtyłą, ze struktury konserwatywnej w instytucję dostosowaną do nurtu czasu” — wie co mówi, przestrzegając go przed niebezpieczeństwem „stawania ponad społeczeństwem, gdy posłannictwem tej bardzo starej a młodej instytucji jest życie wewnątrz społeczeństwa”. To ostrzeżenie nabiera z każdym dniem większej aktualności. Niech nikt się nie łudzi, że dla Polaków można coś zrobić, a z Polakami nic...

Ceną, i szczególnie bliską *Kulturze* cechą publicystyki Szretta jest jego stosunek do polskich „problemów sąsiedzkich”. W rozumnym artykule *Dolina między górami* wzywa do „wyzwalania samych siebie z resentymentów i kompleksów”, do pogłębiania naszych związków z Ukraińcami, Białorusinami, Litwinami, do rozmawiania z Niemcami i Rosjanami, gdyż w ten jedynie sposób toruje się krok po kroku drogę do „wyzwolenia spod cudzej opresji”. Odzywa się tu echo poglądów i postulatów wybitnego publicysty, z którego imieniem związana jest nasza nagroda publicystyczna.

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Kiedy ukazały się *Szkice o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz Ziełińskiej, słyszało się często od czytelników krajowych książki opinię, że czytali ją „jak powieść”.

Nie będzie ani odrobiny przesady w twierdzeniu, że nikt nie zrobił i nie robi dalej tyle, co tegoroczna laureatka naszej nagrody literackiej, aby „literatura źle obecna” (jak określono literaturę emigracyjną na sympozjum w Instytucie Historii PAN pod koniec października 1981) stała się w kraju obecna trochę lepiej. Pomost zbudowany przez Danilewicz Ziełińską jest przy tym dwukierunkowy. Bo mało kto również ma tyle co ona zasług w informowaniu emigracji o literaturze krajowej (wiedzą coś o tym czytelnicy jej regularnych przeglądów w *Kulturze*). Praca ogromna, cierpliwa, wymagająca — prócz, rzecz jasna, wytrawnego sądu krytycznego — umiejętności opisywania wzboga-

canych wciąż obrazów obu literatur. Danilewicz Zielińska posiada tę umiejętność w wysokim stopniu, jest przecież sama pisarką, autorką powieści *Dom* i wielu opowiadań. Dodajmy do jej prozy literackiej, szkiców krytyczno-literackich, studiów historycznych bądź historyczno-literackich imponującą działalność bibliotekarską i prace z zakresu bibliografii, a wizerunek będzie pełniejszy: Danilewicz Zielińska czyli miłość do książki.

Dobrze się stało, że w takich rękach znalazła się część, i to ważna część, trudu nad zbliżeniem dwóch literatur: emigracyjnej i krajowej; w swojej głębszej istocie trudu, który zmierza do obalenia sztucznych przegród i ugruntowania idei jednej literatury polskiej, tyle tylko że o różnych doświadczeniach i losach.

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY:
ZBIGNIEW BYRSKI I BOHDAN OSADCZUK

Zbigniew Byrski rozpoczął współpracę z *Kulturą* w roku 1969. Do roku 1965, daty zerwania z reżymem komunistycznym, pracował najpierw w służbie konsularnej PRL w USA, a potem jako korespondent warszawskiej telewizji i radia w Zachodniej i Wschodniej Afryce, oraz jako urzędnik administracyjny międzynarodowej Komisji Nadzorczej w Korei.

Pozyskaliśmy w nim cennego współpracownika. Od piętnastu lat jego okresowe, wnikliwe analizy amerykańskiej polityki zagranicznej i problematyki społeczeństwa amerykańskiego przyciągają uwagę czytelników. Prócz tego jest on naszym niezawodnym i pilnym korespondentem w Stanach, pomaga nam w wielu inicjatywach podejmowanych na amerykańskim gruncie. Ta, mniej dla czytelników widoczna, sfera jego działalności zasługuje w pełni na naszą tegoroczną nagrodę przyjaźni i współpracy.

Z publicystą i historykiem ukraińskim Bohdanem Osadczukiem, obecnym wykładowcą na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie i dziekanem jednego z wydziałów Uniwersytetu Ukraińskiego w Monachium, związani jesteśmy niemal od początków istnienia *Kultury*. Długa to przyjaźń i współpraca, której drobne tylko odpryski widują czasem czytelnicy na łamach *Kultury* w postaci kroniki ukraińskiej i artykułów na tematy ukraińskie i niemieckie. Osadczuk w dużym stopniu ułatwił nam i ułatwia wykonywanie jednego z ważniejszych zadań naszego miesięcznika: poprawę stosunków polsko-ukraińskich.

Jest też Osadczuk bystrym obserwatorem i dobrym znawcą

aktualnych spraw polskich. Jego stałe komentarze i noty informacyjne na tematy polskie w wielkim dzienniku szwajcarskim *Neue Zürcher Zeitung* należą do najuważniej śledzonych w prasie zachodnioeuropejskiej. Książkowy wybór tych komentarzy, wydany ostatnio przez *NZZ* pod tytułem „Weisser Adler, Kreuz und rote Fahne” dowodzi, jak oddanego i wrażliwego mamy w Bohdanie Osadczuku przyjaciela.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 380 — ZBIGNIEW HERBERT

RAPORT Z OBLĘŻONEGO MIASTA

Nowy tom wierszy znakomitego polskiego poety.
Str. 88. Cena F. 40,00.

TOM 381 — SERIA „DOKUMENTY”

**PRAWA CZŁOWIEKA I OBYWATELA W PRL
W OKRESIE STANU WOJENNEGO**

(13. 12. 1981 - 31. 12. 1982)

Opracował Zespół Redakcyjny Komitetu Helsińskiego w Polsce.
Z upoważnienia: Zbigniewa BUJAKA, Bogdana LISIA, Władysława
HARDKA, Józefa PINIORA, Eugeniusza SZUMIEJKI.

Str. 224. Cena F. 75,00.

TOM 382

**ROZMOWY NIEKONTROLOWANE
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE**

Rozmowy przeprowadzone w okresie od maja do końca listopada 1982 roku z 16-toma przedstawicielami polskiej inteligencji w kraju, które są świadectwem prawdziwych odczuć doznawanych w poszczególnych miesiącach stanu wojennego.

Str. 246. Cena F. 75,00.

Byłem wówczas mniej wrażliwy na jego dzieło powieściowe, ale zachwycały mnie jego eseje, pisane świetną francuzczyzną (był jednym z rzadkich pisarzy całkowicie dwujęzycznych), łączące precyzję Raymond Arona (z którym był równie blisko związany jak z André Malraux) z postawą etyczną równowagi między rozumem i tradycją zapewniającą mu stałe miejsce w konstelacji gwiazdnej, w której figurują (mrużając w różnych odcieniach barwnych) Hannah Arendt, Miłosz, Nicola Chiaromonte, Leszek Kołakowski.

Manes Sperber zmarł w Paryżu 6. 2. 1984. Jeden z naszych wspólnych przyjaciół mówił mi o jego ostatnich chwilach. „Kocham ciebie”, powiedział do swej żony, zwanej (zawsze po polsku) Geńka. „A teraz możecie zostać przy mnie, ale nic nie mówcie, przychodzi ważna chwila — śmierci”. Nastąpiło długie skupienie, zanim zastygła jego tak zawsze żywa, mądra twarz.

K. A. J.

Ci, co odeszli

Manes Sperber

Na pytanie: który z wielkich pisarzy światowych jest największym przyjacielem Polaków i polskiej kultury, odpowiadałem zawsze bez wahania: Manes Sperber. Może się to wydać paradoksalne, gdyż urodził się w biednej żydowskiej rodzinie w galicyjskim *sztetelu*, po polsku nie umiał, był od wczesnej młodości zagorzałym komunistą, a później działaczem Kominternu, i stał się sławny dopiero pod koniec życia wyłącznie w Niemczech i w Austrii, gdzie został laureatem najważniejszych nagród literackich, łącznie z Nagrodą Pokoju, którą przyznano mu dwa lata temu we Frankfurcie. Jak na „polonofila” życiorys nietypowy. Nie był nim co prawda „od urodzenia”.

Opowiadał mi kiedyś ze śmiechem o swoim pierwszym spotkaniu z Józefem Czapskim. Był wtedy szefem gabinetu André Malraux, wówczas ministra Informacji w pierwszym powojennym rządzie de Gaulle'a. Malraux był jego najbliższym przyjacielem, dzielili jednocześnie rewolucyjne iluzje i rozczarowania. „Wy, Polacy, jesteście wszyscy antysemitami” — powiedział z miejsca Czapskiemu. „Wywołało to — dodawał — gniew spon-taniczny i błyskawiczną lekcję kultury polskiej, która przekonała mnie do Polaków i na zawsze zaprzyjaźniła z Czapskim”. *Kultura* miała w nim od tego czasu niezawodnego i wiernego przyjaciela.

Autobiograficzna trylogia Sperbera ma cechy wspólne z epopeją Stanisława Vincenza, którego wysoko cenił. Mniej silnie związany z kolebką rodzinnej geografii i kultury, dzielił z Vincenzem pełną świadomość jej europejskiego rodowodu, ową „ojczyznę” zakorzenioną w Jerozolimie, Atenach i Rzymie. Z Aleksandrem Watem łączyło go błyskawiczne przejście od tradycji cadyków do doświadczeń awangardy. Był ulubionym uczniem Adlera, którego psychoanaliza z pewnością mu dopomogła we wczesnym rozszyfrowaniu ohydy stalinizmu.

Poznałem go 30 lat temu, gdy pracowałem w redakcji *Preuves*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 383 — MAREK NOWAKOWSKI

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

Nowy tom autora *Raportu o stanie wojennym*, dotyczący życia w kraju po zniesieniu stanu wojennego.
Str. 156. Cena F. 50,00.

TOM 384 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZESZCZDZIESIĄTY SZOSTY

Zawiera m.in. opracowania: Targowica; B. Budurowicza — *Polska i problem ukraiński w latach 1921-1925*; St. Swianiewicza — *Wspomnienia o Wiktorze Sukiennickim*; J. Nowaka — *Sprawa ppłk. Romana Umiastowskiego i Zapisy z dziennika ppłk. Umiastowskiego*; A. Steinsbergowej — *Uwagi na marginesie memoriału dr. M. Szerera*; B. Osadczyka — *50-ta rocznica wielkiego głodu na Ukrainie*; *Kalendarium kryzysów w PRL (1953-1980)*; bogaty dział RECENZJI; OKRUCHY HISTORII; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

Książki

Rekonesans

PRÓBA SPOJRZENIA NA LITERATURĘ POLSKĄ POZA KRAJEM W LATACH 1978-1983*

Od daty ukończenia „Szkiców o literaturze emigracyjnej” dzieli mnie pięć lat i taki natłok wydarzeń, że pod pióro cisną się słowa Mickiewicza wzmocnione interpretacją Dąbrowskiej: „Tu zaszała zmiana w scenach mojego widzenia”. W okresie tym kardynał Karol Wojtyła został pierwszym w historii Kościoła „papieżem słowiańskim” — zgodnie z wizją Słowackiego — zago-towało się na Wybrzeżu, narodziła się „Solidarność” — a Czesław Miłosz otrzymał nagrodę Nobla 1980.

Wpływ tych wydarzeń na scenę literacką trwa i przybiera na siłę. Mówi się o „zwaloryzowaniu” poezji, wraca do porów-nań z przedednia Powstania Listopadowego i czasów Wielkiej Emigracji, dochodząc nawet niekiedy do wniosku, że dożywająca końca swych dni emigracja powrześniowa wnosi nadal pewne

* „Rekonesans” jest kontynuacją „Szkiców o literaturze emigracyjnej” i opiera się na dostępnym autorce materiale. Nie ulega wątpliwości, że są w nim luki, wynikałe z niemożności dotarcia do książek wydanych w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii, a nawet bliżej — w Szwecji. Niepodobniestwem było także objęcie opisami bibliograficznymi całości zna-nego autorce materiału, gdyż rozsądziłoby to ramy artykułu.

Skróty:

- „Aneks” — „Aneks”, Londyn, kwartalnik i wydawnictwo
- Kontra — Kontra (Nina Karsov), Londyn
- IL — Instytut Literacki (Institut Littéraire), Maisons-Laffitte, „K” —
Kultura, „ZH” — *Zeszyty Historyczne*
- OPIM — Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn
- Odn. — Odnowa, Londyn
- Pol. — Polonia, Londyn
- PFK — Polska Fundacja Kulturalna, Londyn
- Ver. — Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn.

wartości do ogólnego bilansu wolnej literatury polskiej. Że stwo-rzone przez nią placówki służą nowej i najnowszej emigracji i ułatwiają jej przeżycie trudnego okresu aklimatyzacji poza Krajem.

Na ładach księgarń polskich w wolnym świecie Polska pre-zentuje się w glorii pielgrzymek papieskich, w łomocie flag nad kipiącymi od mas ludzkich stadionami, w imitujących symbol „Solidarności” napisach na transparentach, w chwytliwych melo-diach „Czarnej Madonny” i zapowiedziach obalenia murów. Ro-dacy przypominają znowu światu sprawę polską, a więc Katyń, Jałtę, więźniów politycznych, internowania, cenzurę — cały sze-roki wachlarz prześladowań, krzywdy i udręki. Dokumentacja tych problemów jest imponująca — przyciąga oczy barwnymi okładkami, fotografiami, karykaturami, oznakami, okładkami *Kontaktu* i tytułami, że to „Pologne: défi à l'impossible?”. W oczy bije wysoki procent wydawnictw o Polsce w językach obcych, mnożą się przekłady Miłosza, Brandysa, Konwickiego, studenci różnych nacji odkrywają Gombrowicza i grają sztuki Mrożka.

Parada ta przesłania prawdę o stanie obecnym dalszego ciągu tzw. literatury emigracyjnej. Kroniki jej ilustrowane są obficie nekrologami, a seniorzy wyżywają się w skargach na dolegliwości i zwalnianie tempa pracy. Dbający o „późnych wnuków” nad-wereżają oszczędności, by utrwalić w druku swoje pisma, co zna-komicie podwyższa ilość pozycji bibliograficznych w statystykach, ale równocześnie uświadamia, że prawdziwe „nowości” policzyć można na palcach.

Ożywienie badań nad literaturą emigracyjną w Kraju i odkry-wanie jej przez nowoprzybyłych na Zachód sprawia, że wyraźnie wzmo-gło się zainteresowanie „książkami zakazanymi lub trudno dostępnymi w Kraju” — jak określa je Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa w poświęconym im programie. Dwie są odmiany tych odkryć — jedna, nieskrępowana cenzurą, wyraża się pochła-nianiem literatury zsyłkowej, książek o Katyniu, „Czarnego polo-neza” i zarysów historii najnowszej; druga, przybierająca m.in. kształt spotkań lub sesji naukowych na uniwersytetach krajowych, zadowala się badaniami nad twórczością pisarzy stojących na ubo-czu głównego nurtu, z wyraźną predylekcją dla zmarłych, sędzi-wych lub skłóconych z RWE i środowiskiem *Kultury* (*nota bene*: określenie „stary pisarz” jest obecnie w Kraju komplementem, gdyż był nim obdarzony Iwaszkiewicz — w sensie pozytywnym).

Zbratanie literatury emigracyjnej z wolną literaturą kra-jową stało się oczywistością w latach 1977-1978, gdy teksty „poza cenzurą” odbijano w podziemiu na powielaczach, a równocześnie Instytut Literacki rozpoczął publikację serii „Bez cenzury”. Już

wcześniej przedrukowywano „dokumenty”, artykuły i wiersze, rzadko jednak pisarze krajowi występowali pod własnymi nazwiskami. W roku 1977-1978 w przypływie odwagi i goryczy przyznawać się zaczęli masowo do własnych utworów i firmować je rzeczywistymi nazwiskami, a szczególnie to niebagatelny!

Lata 1977-1978 nasuwają analogie z roku 1951, gdy równocześnie byliśmy świadkami pojawienia się na łamach *Kultury* Gombrowicza („Trans-Atlantyk”) i Miłosza („Nie”) — obaj zresztą odnosili się z wyraźną rezerwą do większości środowisk emigracyjnych. Przed pięciu laty zarysowała się nowa cezura, gdy w odstępie kilku miesięcy ukazał się nr 3 *Zapisu*, w całości wypełniony „Kompleksem polskim” Tadeusza Konwickiego, „Nierzeczywistość” Kazimierza Brandysa (IL), „Etyka i poetyka” Stanisława Barańczaka (IL), „Literatura” Wiktora Woroszyńskiego (IL) — a równolegle, począwszy od roku 1974, odbywała się przeprowadzka poetów, rozpoczęta tomikiem Jacka Bierzina „Wam” (IL). Na przestrzeni dalszego czterolecia ukazały się: „Szkoła zdobywców” Witolda Sułkowskiego (1976), Stanisława Barańczaka „Ja wiem, że to niesłuszne” (1977), Ryszarda Krynickiego „Nasze życie rośnie” (1978) — wszystkie wydane przez IL. Zestawienie odpowiednika tej wagi w wydaniach krajowych byłoby nie do pomyślenia w obiegu oficjalnym, zwłaszcza, że wśród dalszych ogniw tej poetyckiej Olimpiady jest „Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu” Stanisława Barańczaka (1981) i „Raport z obłąkanego miasta” Zbigniewa Herberta (1983).

Piśmiennictwo krajowe przenosi się na emigrację ze wspólnym posagiem, a przy tym objawia się nowy kształt literatury polskiej, dotąd raczej przeczuwany niż uchwytny. Wyłania się nowa hierarchia twórców, przecząca biadaniom, że literatura polska znalazła się w impasie.

Lata 1976-1978 oznaczają także daty wydania kolejnych tomów „Głównych nurtów marksizmu” Leszka Kołakowskiego, „Kościół, lewicy, dialogu” Adama Michnika (1977) oraz „Zasad ideowych” Jacka Kuronia (1978) — wszystkie wydane w Bibl. „K” (IL). Z dystansu pięciolecia, znając dalszy ciąg wydarzeń, pokusić się można o hipotezę, że wielki zryw pisarzy polskich, ujawniony w ich książkach i w prasie wolnego świata w latach 1977-1978, stanowi niejako preludium „polskiego sierpnia” i jest ważnym etapem jawnego sprzeciwu, przypominającym istotnie prehistorię Powstania Listopadowego.

Jaka w tym rola emigracji? Czynny czy bierny akces? Zapas doświadczeń? Adresy, stypendia, nagrody, pomoc w publikacji przedruków? A przy tym — zsuwanie się ze sceny na marginesie wydarzeń?

Nie ulega wątpliwości, że pierwszą reakcją na wydarzenia krajowe było wzmożone zainteresowanie wiążącymi się z nimi publikacjami. Z dnia na dzień poszerzał się krąg nazwisk znanych emigracji pisarzy i tytułów ich utworów. Jak powierzchowna była to znajomość świadczy fakt, że gdy sprawa katedry harwardzkiej Barańczaka omawiana była na pierwszych stronach prasy światowej, w pismach emigracyjnych mówiło się o nim jako o młodym debiutancie, a przy tym równolatku Herberta... Trzeba jednak przyznać, że pośpiesznie wyrównuje się zaległości. Stwierdziłam osobiście, że w Teatrze POSK-u na adaptacji „Małej Apokalipsy” Konwickiego zjawiali się widzowie, dla których Konwicki nie był już tylko „tym od filmów”. Doceniać należy, z jaką szybkością *Tydzień Polski*, nowojorski *Nowy Dziennik*, nawet *Gwiazda Polarna* złapały wiatr w żagle i z walną pomocą nowoprzybyłych z Kraju doganiają zaległości w zakresie znajomości literatury współczesnej — i trudno powstrzymać się od westchnienia — że gdyby *Wiadomości* dociągnęły do końca 1980 roku, pismo wychodziłoby nadal. Zwłaszcza, że na pozornie opustoszałej scenie pojawiły się liczne nowe pisma: *Aneks*, *Zapis*, *Puls*, *Zeszyty Literackie*, *Wielozas*, nie licząc pomniejszych, jak nowojorski *Pomost*, berliński *Archipelag*, sztokholmski (czy göteborgski) *Sprzeciw* albo kalifornijska *Literatura*. Nie bez znaczenia jest tu, oczywiście, fakt, że „nowi” (nie zawsze najmłodszy) szukają najbardziej im odpowiadających form wypowiedzi, a wymowną tego ilustracją jest *Kontakt*, cenny jako łącznik z rzeczywistością krajową i wskaźnik temperatury wydarzeń, zaspokajający przy tym głód dokumentacji fotograficznej. Wyliczone wyżej pisma rzadko decydują się na publikowanie tekstów pisarzy emigracyjnych, z wyjątkiem podpisanych wielkimi nazwiskami Miłosza, Kołakowskiego, Czapskiego, Herlinga i niewielu innych. W wypadku *Zapisu* tłumaczy się to programowymi założeniami pisma, wypełnianego utworami i artykułami odrzuconymi przez cenzurę, ogłoszonymi poprzednio w pismach podziemnych. *Puls*, będący w okresie początkowym ujściem aspiracji środowiska łódzkiego, ukazywał się poza Krajem do nru 14-go włącznie, jako drukowana wersja pisma „poza cenzurą”; Nr 15-16 przyniósł wiadomość, że redakcja krajowa zesłała do podziemia, a pismo kontynuować będzie działalność w Londynie, stając się *de facto* organem „nowej” emigracji (lub osób blisko z nią związanych, jak Jan Chodakowski); podtrzymuje ono nadal szczególnie żywe kontakty z podziemiem krajowym i tymi pisarzami, którzy decydują się na druk „poza cenzurą”, nie opuszczając Kraju.

Lojalnie przyznać muszę, że normalny — jeśli można go tak nazwać — ruch wydawniczy emigracji skurczył się poważnie, a zapowiedzi działających jeszcze „starych” firm brzmią ponuro.

Smutnym symbolem tej sytuacji jest finał *Wiadomości*, wywołany trudnościami finansowymi i lokalowymi. „Porażkę” pisma odnotował Edward Raczyński porównaniem go do „pochodni olimpijskiej zapalanej w wolnej i suwerennej Warszawie” a przeniesionej na obczyznę przez Mieczysława Grydzewskiego i kontynuatorów jego dzieła. Utrzymała się jednak instytucja nagród *Wiadomości* i tu warto przypomnieć, że w latach 1977-1981 laureatami jej byli kolejno: Stanisław Barańczak, Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), Tadeusz Konwicki, Gustaw Herling-Grudziński i Kazimierz Brandys.

Wykazy nowości wydawniczych otrzymanych przez redakcje pism emigracyjnych i katalogi księgarskie (np. londyńskiego „Orbisu”) wliczają dziesiątki tytułów tzw. *topical books*, tj. książek związanych tematycznie z aktualiami. Uderza wśród nich wysoki procent publikacji w językach obcych, będących wyrazem rzeczywistego zainteresowania wydawców zagranicznych a nie produktem zabiegów propagandowych ze strony polskiej. Ze względu na rozmiary artykułu ograniczam się do książek w języku polskim. Dadzą się one ująć w następujące grupy tematyczne:

- a) aktualne wydarzenia w PRL;
- b) kard. Stefan Wyszyński. Papież Jan Paweł II;
- c) pisma Miłozsa i oceny jego twórczości.

a) Aktualne wydarzenia w Polsce

O wydarzeniach na Wybrzeżu informuje najlepiej „Polski Sierpień 1980” wydany przez Bibliotekę *Pomostu* w Nowym Jorku (1981). Jest to reedycja Almanachu Gdańskich Środowisk Twórczych *Punkt* (nr 12/80); w tekst wbudowana jest antologia poetycka. Wartościowym uzupełnieniem są trzy relacje: Bernarda Guetty, Ewy Milewicz i anonimowa, wydane pt. „Gdańsk 1980 oczyma świadków” w wyborze Barbary Toruńczyk (Pol., 1980). Dobrą robotę dziennikarską reprezentują „Notatki gdańskie”, reportaże Jerzego Surdykowskiego („Aneks”, 1982).

Zadziwiająco szybko Polski Sierpień 1980 stał się tematem utworów literackich. W atmosferę Wybrzeża w przededniu wydarzeń znakomicie wprowadzają opowiadania Tadeusza Korzeniewskiego „W Polsce” i „Primaaprilis” (i odautorskie komentarze o nich); pierwsze z nich drukowane było w nrze 5 i 6 *Zapisu*, wydane w powielanej formie w NOW-ej, a w roku ub. jako nr 4 Biblioteki „Pulsu” (L., 1982). Opowiadania powstały, gdy autor

zbliżał się do trzydziestki; świadczą o przerażającym bogactwie gorzkich doświadczeń, korzeniach ironicznego, jeśli nie sarkastycznego spojrzenia na otoczenie (i siebie samego). Na uwagę zasługuje swoboda operowania nowomową Wybrzeża i jej odmianami (studencką, szoferską i in.). Mimo łatwych do odczytania wpływów literatury obu Ameryk w opowiadaniach rysuje się obiecująca indywidualność autorska. Wrażenie to osłabia, ale go nie przekreśla gombrowiczowskie *à rebours* pożegnanie z Polską i Europą na wyjeździe do USA („List za siebie”, 1982, *Puls* nr 15-16 i komentarz Tadeusza Kadenacego, *tamże*).

Prehistorii Sierpnia dotyczy „Człowiek z żelaza”, scenariusz głośnego filmu, przekształcony w powieść, wydany łącznie z „Człowiekiem z marmuru” („Aneks”, 1982). Autor, Aleksander Scibor-Rylski, zmarł w bież. roku w okresie, gdy Andrzej Chomiński, jednoosobowy zespół aktorski, czytał przed mikrofonem RWE kolejne odcinki powieści. Analogiczną adaptacją filmu jest „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego (1983, IL, Bibl. „K”, t. 385).

We wspomnianej już wyżej Bibliotece „Pulsu” ukazała się „pierwsza powieść o Polskim Sierpniu”, Janusza Głowackiego „Moc truchleje”. Rzecz dzieje się na Wybrzeżu w Sierpniu 1980 i w dużym uproszczeniu da się określić jako reportaż o stoczniowach. Reporterski surowiec jest jednak przetworzony w obraz zazębiających się zrecznie wydarzeń. I tu, jak u Korzeniewskiego, zasługuje na uwagę odtworzenie potocznego języka mówionego, w którym polszczyzna radia warszawskiego i prasy reżymowej miesza się z normalną polszczyzną, wychodzącą jak się zdaje z obiegu. „Nowomowa” wiąże Głowackiego, w stopniu może nawet wyższym od Korzeniewskiego, z pisarzami „żywego słowa”. Ocenia on wydarzenia trzeźwo, bez patosu i bez unikania tematów kontrowersyjnych. W finale utworu bohater jego sądzi, „że w szerokim planie nie można całkiem na pewnego wykluczyć, że Rząd dotrzyma tego, co podpisał”...

Do wydarzeń w Kraju czynnie włączyła się poezja. O rozmiarach tego „pozytywnego kataklizmu” świadczą trzy wydane poza Krajem antologie: „Poezja stanu wojennego” z przedmową Krzysztofa Zawrata (1982, „Puls”), „Poezja stanu wojny” w opracowaniu Zofii Zaremby (1983, *Nowy Dziennik*, N.Y.) — nieco inny zestaw utworów — i „Noc generałów”, „samizdat nr 13 sztokholmskiej 'Jedności’” (1982). Ze względu na tytuły i miejsca wydania warto odnotować: „Jeśli pragniesz wolnym być, to w szeregi nasze idź... Autentyczne wiersze strajkujących robotników polskich z sierpnia 1980”, zebrane przez Tadeusza Wojnickiego (Berkeley, Calif., 1981, Marek Hłasko Publ. Co) i „Prześciancie nas przepraszać...”, zbiorek przedrukowany w 1982 w Chicago przez „Polonię” w oparciu o „samizdat” kolportowa-

ny na Wybrzeżu; pobrzmiwają w nim echa znanego wiersza Zbigniewa Jasińskiego z Powstania Warszawskiego.

„Polska 'Solidarności'”, antologia reportaży z pism krajowych zestawiona i poprzedzona wstępem Grażyny Pomian (1982, IL, Bibl. „K”, t. 366) daje wszechstronny wgląd w tło wydarzeń w ujęciu kilkudziesięciu dziennikarzy wysokiej i najwyższej klasy z Hanną Krall, Ewą Berberysz i Jerzym Surdykowskim na czele. Siedem rozdziałów ilustruje historię ruchu od „Dróg Solidarności” do tragicznego finału w „Ostatnich tygodniach wolności”.

Tło wydarzeń w latach 1976-1981 opisał i udokumentował Jan Józef Lipski w książce pt. „Komitet Obrony Robotników KOR — Komitet Samoobrony Społecznej” (L., 1983, „Aneks”).

Dalszy ciąg wydarzeń referuje memoriał „Prawa człowieka i obywatela w PRL. 13. XII. 1981 - 31. XII. 1982”, opracowany przez Zespół Redakcyjny Komitetu Helsińskiego w Polsce (1983, IL, Bibl. „K”, t. 381 w serii Dokumenty, 49) i przesłany do Madrytu w styczniu 1983.

Ten oficjalny raport, firmowany przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność”, uzupełniają dalszą dokumentacją podejmującą na gorąco tematykę aktualną a rozsiane w czasopiśmie (w *Kontakcie*, *Pulsie*, *Kulturze* i in.) wiersze i relacje z obozów internowanych i więzień. A więc np. „Dziennik internowania” Wiktora Woroszyńskiego („K”, nr 5/416, 1982), Anki Kowalskiej „Wiersze z obozu internowanych” (j.w., nr 11/422), Ryszarda Krynickiego (j.w., nr 6/417 i 7-8/419-420) — wiersze, Janusza Andermana „Czarnołęka” i „Dzień obłoku i mgły” — proza (j.w., nr 6/417, 1982) — tegoż „Choroba więzienia” (*Puls* nr 17, 1982-83); weszły one do tomu opowiadań pt. „Brak tchu” (L. Puls, 1983). Także: Tadeusza Mazowieckiego: „Internowanie” (1983, Krąg, „Aneks”).

„Raport z oblężonego miasta” Zbigniewa Herberta (1982) daje tytuł wydanemu w roku następnym tomikowi wierszy zebranych, o którym piszę dalej.

„Wiersze i piosenki” Jacka Kaczmarskiego (1983, IL, Bibl. „K”, t. 378) poprzedzone przedmową Jacka Bierzina „Fenomen: Jacek Kaczmarski”, charakteryzującą elementy sukcesu, na które składa się „przesłanie poetyckie, sugestywna osobowość autora, jego niezwykły talent interpretacyjny i wielka siła głosu; słowem, ekspresja Jacka wypowiada się we wszystkim, co składa się na jego talent i twórczość”.

Sukcesem, nie tylko w kręgu czytelników polskich, są krótkie felietony Marka Nowakowskiego zebrane w dwu tomikach „Raportu o stanie wojennym” (1982 i 1983, IL, Bibl. „K”, t. 350 i 373). Cechują je dobre pointy, umiejętność zwięzłego odmalowywania typów ludzkich, operowania kolokwializmami i od-

tworzenia klimatu okresu stanu wojennego bez wpadania w sentymentalizm. Już ukazywać się zaczęły przekłady „Raportu” na języki obce (niemiecki i in.).

Aftermath stanu wojennego trwa a nawet się „rozkręca”, gdyż — jak wynika z niedawnych enuncjacji Adama Michnika — nawet więźniowie polityczni mają możliwość wypowiedzenia się na piśmie. 70 prac nadesłanych na konkurs na „Pamiętnik z ostatnich siedmiu lat w Polsce” zaowocuje niewątpliwie co najmniej wydaniem antologii, będącej odpowiednikiem czy dalszym ciągiem „Polski 'Solidarności'” Grażyny Pomian. Tom trzeci narasta...

Najwszechstronniejszy obraz PRL-u w czasie 12 miesięcy stanu wojennego (maj-listopad 1982) dają „Rozmowy niekontrolowane” (1983, IL, Bibl. „K”, t. 382), książka roku, już „klasyk”.

b) Kardynał Wyszyński. Papież Jan Paweł II

W roku 1979, za życia Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski, zafascynowany Polską Hindus, Peter Raina, wydał pierwszy tom poświęconej mu biografii (OPiM, 1979). Obejmuje ona: młodość, studia, działalność przed 1939 i w okresie wojny, „czasy biskupie oraz pierwsze lata prymasowskie do aresztowania we wrześniu 1953”. Sucha, dobrze udokumentowana biografia, oparta o materiały krajowe.

Ciąg dalszy dopisuje bohater biografii Rainy. „Zapiski więzienne” (Ed. du Dialogue, 1982) zmarłego w maju 1981 kard. Wyszyńskiego są świadectwem, jak łatwo zapomina się o „epoce błędów i wypaczeń”, jak szybko wygładza czas ekstremy stalinizmu w wykonaniu rodzimych gorliwców! „Zapiski” przypominają, że Prymas aresztowany był „w późnych godzinach nocnych” 25 września 1953, a zwolniony po upływie trzech lat i 33 dni. Że przetrzucany był z Rywałdu do Stoczka a stamtąd do Prudnika Śląskiego i Komańczy. Że przebywał w warunkach wołających o pomstę do Boga, ale pomsty tej nie wzywał, znajdując się do przetrwania w wierze i „zgodzie na każdy los wyznaczony przez Boga”. Píše o tym w przedziwny sposób, łącząc obraz więziennej codzienności z niepozbanioną ironią selekcją obserwacji i płynących z nich wniosków. „Zapiski” są nie tylko dokumentem, ale i dziełem o niezaprzeczalnych walorach literackich a przy tym wspaniałym wkładem do polskiej literatury mistycznej.

Nie podejmuję się wytłumaczyć, dlaczego poeta i autor kilku ogłoszonych drukiem utworów dramatycznych, nazwiskiem Karol Wojtyła, *alias* Andrzej Jawień, znany był tylko w kręgu KUL-u

i czytelników *Znaku*. Do chwili obecnej dostęp do polskich tekstów ogłoszonych w Kraju jest trudny. Łatwiej — co brzmi jak paradoks — o przekłady dzięki dwu tłumaczom, poetom emigracyjnym: Jerzemu Pietrkiewiczowi („Easter Vigil and other poems”, 1979, Hutchinson) i Bolesławowi Taborskiemu („The Jeweller’s Shop”, 1980, Hutchinson). Uzupełnią je wkrótce dalsze przekłady sztuk teatralnych, nad którymi pracuje Taborski. Pietrkiewicz rzeczowo zobrazował problemy nasuwające się przy przekładach poezji w eseju pt. „Poetycki profil Karola Wojtyły” („K”, nr 1/388-2/389, 1980).

W zestawieniu z ogromną bibliografią krajowych opracowań życiorysu Papieża, na emigracji ukazało się niewiele: popularny obraz „Drogi do Watykanu Jana Pawła II” ks. Mieczysława Małińskiego (Księża Marianie, Rzym 1979), „Słowo Papieża. Jan Paweł II w Polsce (Teki dokumentalna)” — wydana przez Polską Fundację Kulturalną pod red. Janusza Poray-Biernackiego (1979) i dwujęzyczna francusko-polska relacja o „Drugiej wizycie Jana Pawła II w Polsce”, reportaż Jean Offredo z fotografiami Dominique Le Corre (Ed. Cana, Paris 1983).

Najcenniejszym wkładem do literatury o Papieżu, nie tylko w języku polskim, są trzy tomy reportaży Tadeusza Nowakowskiego: „Reporter Papieża” (PFK, 1980, dwa wydania), „W bagażniku Jego Świątobliwości” (j.w., 1981) i „Volo Papale” (1982). Jest to udany *tour de force*, wymagający, jak chcą Francuzi, „*de l’agilité, de la force, de l’adresse, de la subtilité*”. Od 1979 po dzień dzisiejszy autor towarzyszy Papieżowi, jako akredytowany w Watykanie reporter z ramienia RWE, we wszystkich pielgrzymkach — z wymownym wyjątkiem PRL, co jednak z pewnością potrafi uzupełnić „z drugiej ręki”. Aby w pełni ocenić wartość reportaży, uzmysłowić sobie trzeba, że schemat pielgrzymek powtarza się z małymi zmianami, a do reakcji rozentuzjzmowanych tłumów można przywyknąć, obejrawszy je kilkanaście razy w telewizji. Nowakowski potrafi jednak odcedzić podobieństwa i wyłuskać to, co jest w recepcji danego kraju najistotniejsze; mogłam to ocenić na przykładzie Portugalii. Z wydanych dotąd trzech tomów wyłania się obraz nie tylko przebiegu poszczególnych podróży, ale i mozaika, która się kiedyś ułożyć powinna w obraz tych części świata, których ludność może manifestować swe uczucia religijne, choćby nawet nie sprzyjały temu rządy. Mimo hagiograficznego podejścia do osoby Jana Pawła II i Jego charyzmatu, Nowakowski potrafi pełnić rolę *advocatus diaboli* i dać wyraz swym wątpliwościom na temat przeludnienia krajów Ameryki Łacińskiej czy przeładowanych spotkaniami programów wizyt. W reportażach wyczuwa się właściwy relacjom do mikrofonu pośpiech, niemal rywalizację z dawnymi sprawozdaniami

sportowymi Wojciecha Trojanowskiego. Czyta się dobrze — i czeka na ciąg dalszy.

c) *Miłosz i o Miłoszu*

W przededniu Nobla wyczerpane i rozproszone pisma Miłosza doczekały się kilku wznowień, a po historycznej dacie 9 października 1980, gdy nagrodę przyznano poecie, „który z bezkompromisową wnikliwością ujawnia zagrożenie człowieka w świecie pełnym gwałtownych konfliktów”, Instytut Literacki w Paryżu przystąpił do wydania „Dzieł zebranych”. Zwykła szara okładka książek z Biblioteki „Kultury” ozdobiona została złotym paskiem z napisem „Nagroda Nobla 1980” w prawym górnym rogu. Pierwsze tomy ukazały się błyskawicznie — jeszcze w roku 1980 — na późniejszy termin zapowiedziano „Poezje”, zebrane „w jednym lub dwu tomach”. W połowie 1981 wyszły istotnie dwa tomy obejmujące większość utworów poetyckich Miłosza, dalekie jednak od pełnego wydania, co jasno wynika z „Podróżnego świata” Ewy Czarneckiej, przytaczającej kilka wypowiedzi poety na ten temat. Najsurowiej obszedł się autor ze swymi juvenilia-mi z okresu wileńskiego i warszawskiego. Na wznowienie czekają też „Kontynenty” (1958), wartościowe jako prototyp czy pierwszy tom kontynuowanego dotąd cyklu o zatrudnieniach, lekturach, pomysłach, nawrotach wspomnień — słowem: o tym wszystkim, co toczy się równoległe do sprawy najważniejszej, a więc wypowiadania się w słowie poetyckim.

Od „Ziemi Ulro” (1977) datuje się stopniowe nawarstwianie rozważań nad posłaniem „proroka Północy” Swedenborga, którego dzieło jest dla Miłosza, podobnie jak „Boska Komedia”, „wielkim miodowym plastrzem lepionym według pewnej konieczności przez pszczoły wyobraźni. Człowiek bowiem musi mieć gdzie mieszkać i nie wystarcza mu dach nad głową w sensie fizycznym, jego umysł potrzebuje odniesień i orientacji, pionowych oraz poziomych. Dlatego to chyba mówi się o budujących lekturach”.

Fakt, że Słowacki „budował gmachy” na pismach Swedenborga (jak świadczy „Godzina myśli”) dowodzi, że miał je w Wilnie w łatwym zasięgu. Symboliczną wymowę ma też fakt, że pisma Swedenborga tłumaczył Konstanty Rdułtowski ze Snawia. Miłosz jest dalszym kresowym ogniwem tego łańcucha.

„Ziemia Ulro” i „Ogród nauk” (1979) stoją pod znakiem nie tylko Swedenborga ale i Williama Blake’a i paryskiego krowniaka Miłosza Oskara Władysława de Miłosz (1877-1939), francuskiego poety i mistyka, który przed rokiem 1939 wywarł silny

wpływ na Miłozsa w latach formatywnych, a któremu obecny laureat Nobla odplaca się, przypominając go światu. Jak wszyscy oni — i jak Mickiewicz — Miłozs „pielgrzymuje do źródeł”.

Suplementem „Dzieł zebranych” jest przekład „Hymnu o perle”, apokryfu gnostycznego pochodzenia, złączony z cyklami przeplatanych prozą (choć czy to proza?) wierszy, wydany w t. IX (1982). Na szczególną uwagę zasługuje wiersz „Rue Descartes”, ukazujący w genialnym skrócie osobowość Miłozsa, i autobiograficzny „Osobny zeszyt” o młodości przeżytej pod tragiczną Gwiazdą Piołun.

Równoległe z twórczością oryginalną narastała wtórna, bo formalnie oparta o teksty greckie i hebrajskie, twórczość przekładowa, będąca niejako kuźnią dostojnej, pozbawionej czczego patosu, dwudziestowiecznej polszczyzny. Byli ongiś jej kodyfikatorami Kochanowski, ks. Wujek, Mickiewicz — Miłozs ustawa się w bliskim ich sąsiedztwie. Świadczą o tym wydane już przekłady, których wierność nie pozwala by nazwać je parafrazami: „Księga Psalmów” (1979), „Księga Hioba” (1980) i „Księga Megilot” (1981) — wszystkie wydane w Editions du Dialogue w Paryżu w cyklu zainicjowanym przez zmarłego przedwcześnie przyjaciela Miłozsa śp. ks. Józefa Sadzika, dobrego ducha *Kultury*.

Rok 1983 przyniósł „Świadectwo poezji. Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku” Miłozsa, niezmiernie ważną pozycję w jego dotychczasowym dorobku. Jest to oryginalny polski tekst wykładów o poezji — jak ją pojmuje prelegent — wygłoszonych w Uniwersytecie Harvardzkim na katedrze im. Charlesa Eliota Nortona w roku akademickim 1981/1982. Ogłosił je w wersji polskiej *IL* (Bibl. „K”, t. 370) w roku 1983 równocześnie z wersją angielską opublikowaną przez Harvard University Press. „Świadectwo poezji” jest znakomitym wprowadzeniem do właściwej interpretacji dzieła Miłozsa i zwięzłym podsumowaniem rozszaniowanych w opublikowanych poprzednio esejach sądów o miejscu poezji w dzisiejszym świecie, jej szczególnym znaczeniu w „rodzinnej Europie”, o diagnozach współczesności, stosunku do polskiej tradycji literackiej („towarzyszący mi bez ustanku 'Pan Tadeusz' ”...) i tak dalekim odejściu od katastrofizmu, iż poeta wierzy „że teraz, w tej chwili, rodzi się coś nowego, dotychczas nigdy nieznanego w tej skali: ludzkość jako żywiół świadomy swej nieprzynależności do Natury — ponieważ tylko człowiek otrzymał w dziedzictwie ten skarb jakim jest pamięć czyli historia” (str. 91).

Po nagrodzie Nobla pisano o Miłozsu wiele, a w toku opracowywania są dziesiątki rozpraw doktorskich. Niełatwo wyłuskać pozycje najważniejsze. W Kraju są nimi chyba: nr 4-5 *Tekstów* z 1981, właściwie księga zbiorowa (artykuły Jerzego Kwiat-

kowskiego, Jana Błońskiego, St. Barańczaka, Tomasza Burka, A. Fiuta i in.); nr 6 *Twórczości* z czerwca 1981 (artykuły K. A. Jeleńskiego, A. Fiuta, A. Kijowskiego i in.); A. Fiuta „Rozmowy z Czesławem Miłozsem” (1981) i in.

Londyński *Pamiętnik Literacki* Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie poświęcił Miłozsowi niemal w całości t. IV (1981) z artykułami J. Garlińskiego, J. Bujnowskiego, Wiesława Strzałkowskiego i in. — pisałam w nim o „Miłozsu-prozaiku”. W nrze 3 *Zeszytów Literackich*, (Paryż 1983) sąsiadują ze sobą dwie rozmowy z Miłozsem: A. Fiuta i Ewy Czarneckiej.

Najpoważniejszym osiągnięciem „miłozsologii” poza Krajem są rozmowy z Miłozsem i komentarze do nich Ewy Czarneckiej, ogłoszone pt. „Podróżny świata” przez Bicentennial Publ. Co. w New Yorku (1983) — prolegomena do wszelkiej przyszłej „definitywnej” biografii i obrazu poetyckiej twórczości Miłozsa, opracowane niezmiernie starannie i kompetentnie. Reprezentują one niezbyt jeszcze w literaturze polskiej zdomowiony rodzaj książek „mówionych”, których precedensem na naszym gruncie są rozmowy Dominique’a de Roux z Gombrowiczem i Miłozsa z Aleksandrem Watem („Mój wiek”).

Skamandryci. Ostatni z żyjących Skamandrytów, Stanisław Baliński, zapowiadał od wielu lat wydanie wierszy rozproszonych po czasopismach (głównie *Wiadomościach*), nie objętych wydaniem zbiorowym z 1948 roku a oznaczających ważny i połączony ze zmianą warsztatu rozdział jego twórczości. Niemal równocześnie ukazały się obecnie w Kraju „Peregrynacje”, poezje wybrane z lat 1928-1968 z posłowiem Pawła Hertza (1982, PIW) i w Londynie „Wiersze emigracyjne” (1982, PFK) w surowej selekcji autora. O niedostatkach obu wyborów świadczy wymownie fakt, że zabrakło w nich miejsca na najbardziej znany, reprezentacyjny wiersz Balińskiego „O, kraju mój...”.

Tymon Terlecki ogłosił z odnalezionego przez siebie rękopisu zbiór czterowerszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej pt. „Czterolistna koniczyna albo Szachownica”, opatrując je rzeczowym posłowiem (OPiM, 1980).

Wolna poezja polska

Miłozs, Herbert, Barańczak, Witold Sułkowski, Krynicki, Zagajewski — reprezentowani w Bibliotece „Kultury” na przestrzeni ostatniego pięciolecia — to świadectwo, że wolna poezja

poliska dochodzi do głosu tylko poza granicami PRL-u — lub w podziemiu.

„Raport z oblężonego miasta” (1983) Zbigniewa Herberta można by zaopatrzyć posłowiem wyliczającym daty i paragrafy zakazów cenzury, których ofiarą padły poszczególne wiersze: za to, że dedykowany pamięci Kazimierza Moczarskiego; za to, że panu Cogito przychodzi do głowy niewłaściwe myśli; że uzurpuje sobie prawo dawania odpowiedzi „na podszepty strachu / na szczęście niemożliwe / na uderzenie znieca / na zabójcze pytanie”; że „nie lubi życia na niby” i źle mu współżyc z potworem — i dlaczego tytuł wiersza zastępuje data „17. IX”, i to wiersza dedykowanego Józefowi Czapskiemu? A już „Raport z oblężonego miasta”!

„Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu” (1981) Stanisława Barańczaka buduje obraz powszednich udręczeń krajowych ze strzępów koszmarów, towarzyszących mu wiernie w wędrówkach po świecie, miar absurdu uniemożliwiających „normalną” egzystencję poza Krajem. Z perfekcją prestidigitatora przekształca Barańczak kolokwializmy z ogonków po karkówkę w pierwszej klasy materię poetycką. Robił to Białoszewski. Inaczej.

Ryszard Krynicki („Nasze życie rośnie” 1979) i Adam Zagajewski („List. — Oda do wielości”, 1983) — to poetyccy reporterzy Polski „jaka jest”, „kraju ludzi tak niewinnych, że nie / mogą być zbawieni”, „Polski jak sucha gorączka na / wargach emigranta” — poeci znakomicie manipulujący ironią, oszczędni w słowach, piszący pośpiesznie, pod naciskiem wydarzeń. I oni, jak Barańczak, konsekwentnie walczą z zakłamaniami języka.

Casus Czerniawskiego

W surowej selekcji poetów wytypowanych do Biblioteki „Kultury” znalazł się jeden tylko stale mieszkający poza Krajem, a w Bibliotece „Kultury” już poprzednio reprezentowany — Adam Czerniawski. „Wiek złoty, 1969-1981” (1982) sąsiaduje z wydanym w Kraju przez krakowskie Wydawnictwo Literackie wyborem wierszy z lat 1953-1978 pt. „Władza najwyższa” i słuszną pochwałą Czerniawskiego-tłumacza w lipcowej *Twórczości* (1983). Wcześniej (1979) Alicja Lisiecka w panegiriku pt. „Kto jest 'Księciem Poetów'?” starała się — mało przekonująco — udowodnić, iż tytuł ten przysługuje londyńskiemu poecie. Tym razem. Bo ta sama Lisiecka w roku 1962 „berło książęce, mimo pewnych zastrzeżeń, wręczyła na łamach prasy literackiej w Polsce — Zbigniewowi Herbertowi”. Obaj: Herbert i Czerniawski sąsiadują dziś w Bibliotece „Kultury”... Py-

tanie: czy tytuł jest dożywotni? Czy przeszedł (i to bez zastrzeżeń) na Czerniawskiego? Czy przypadkiem nie ośmiesza uhonorowanego?

„Wiek złoty” powtarza kilka wierszy drukowanych przy eseju Lisieckiej („Krzyk i definicja”, „Wyspa Gaunilona”, „Pamiętka” itd.), co oznacza, że ocena ich mieści się w dekreście nominacyjnym. Dodam tylko, że „Wiek złoty” obejmuje wyjątki z cyklu „Komentarze” i jest ciekawą zapowiedzią, przedsmakiem „większej całości”. Ale czy nie za długo autor, urodzony 1934, jest obiecującym twórcą?

Poeci zza Oceanu

Wydaje się, że „ogólna niemożność” wydawnicza została w Ameryce przełamana. Obserwujemy ciekawe nowe inicjatywy: *Pomost*, A. Poray Publ. Co., N.Y., Sigma Press Stanisława Piaskowskiego w Albany, działalność Adama i Jadwigi Tomaszewskich w Toronto i in. W kilku wypadkach poeci zza Oceanu publikowali jednak swe tomiki w oficynach drukarskich w Wielkiej Brytanii.

I tak Waław Iwaniuk, obecnie już senior poetów emigracyjnych, wydał w 1978 u Gliwy we wspaniałej szacie graficznej tom wierszy „Nemezis idzie pustymi drogami”, stanowiący ważny etap jego twórczości i nasuwający dalekie ale ciekawe porównania z „Widzeniami nad zatoką San Francisco” Miłosa, bo podtekstem jest tu także konflikt „syncyzy” z zakorzeniem się w krajobrazie amerykańskim. Echem młodzieńczego antyurbanizmu spod znaku „Okolicy Poetów” jest „Elegia o cmentarzu w Toronto i słowie o śmierci”. Wnikliwie zanalizowała ten wiersz Maja Elżbieta Cybulska w „Rozmowie Mistrza Iwaniuka ze śmiercią” (w „Tematach i pisarzach”, 1982, OPIM).

Danutę Irenę Bieńkowską (1927-1974), poetkę, ofiarę katastrofy kolejki linowej w Norwegii, pięknie uczcili jej przyjaciele i koledzy z Uniwersytetu w Toronto, wydając w tomie „Między brzegami” (1978, OPIM) całość jej dorobku poetyckiego i pisma prozą (w tym wspomnienia ze zsyłki do Sowietów). Edycję przygotował prof. Bohdan Budurowycz, wstępem poprzedził prof. Louis Iribarne. Z rękopisów wydobyto przygotowany do druku cykl „Po tamtej stronie bólu”.

Poeci z dawnej grupy „Kontynentów”, mieszkający w Vancouverze, Bogdan Czaykowski i Andrzej Busza, pozornie zamilkli. Czaykowski jest jednak autorem cennego eseju „Post-war Polish poets”, ogłoszonego w tomie esejów historycznych i literackich pt. „The Tradition of Polish Ideals” (ed. W. J. Stan-

kiewicz, 1981, Orbis Books/London/Ltd.). Florian *Śmieja* wydał w formie niemal samizdatu „Kopę wierszy” w London, Ont., a w Wydawnictwie Literackim w Krakowie bardziej reprezentacyjny wybór wierszy.

Na terenie Stanów Zjednoczonych wielostronną działalność rozwija Edward *Dusza*; z Jantą łączyła go przyjaźń dosłownie do grobowej deski i mnogość zainteresowań. Dotąd zaliczany na emigracji do „młodych”, ale publikujący poprawne i komunikatywne wiersze już od 1969, patronował ostatnio dawnemu faworytowi Wierzyńskiego i *Wiadomości* Zbigniewowi *Chałce*, opatrząc przedmową jego „Strofy staromiejskie i wiersze inne” (1978, A. Poray) i zasługującemu na baczną uwagę Leszkowi *Zielińskiemu*, mającemu już w swym dorobku trzy tomiki wierszy: „Dzień zraniony”, „Ogień i lęk”, „Thunder” (A. Poray, N.Y.). Sam *Dusza* wydał w ostatnim pięcioleciu dalsze tomiki wierszy [„Kolor klonowego liścia” (OPiM) „Przez ciemność do światła” i „Wiatr mojej burzy” (A. Poray)] a prozą oddał hołd poetom powstania warszawskiego.

Po 40-letniej przerwie w pisaniu (a może tylko wydawaniu wierszy) odezwał się z Albany, N.Y. Stefan Kordian *Gacki*, poeta i teoretyk poezji z lat 1920-tych. Sigma Press St. Piaskowskiego wydała II-IV t. „Rozmyślań”, pierwszy ukazał się w 1965 w OPiM. Twórczość *Gackiego* jest ważnym uzupełnieniem dorobku poetów Awangardy z kręgu Anatola Sterna i Ważyka.

Jan *Leszcza*, poeta *Wiadomości*, faworyt Grydzewskiego, wydał „Trzy ściany” w OPiM (1980).

Wreszcie Henryk *Grynberg*, raczej prozaik niż poeta, wydał „Wiersze z Ameryki” (1980, OPiM).

Na specjalne wyróżnienie zasługuje debiut Anny *Frajlich-Zając*, poetki urodzonej w roku 1942 na zesłaniu w Kirgizji, w twórczości, podobnie jak londyńska debutantka Maja *Elżbieta Cybulska*, idącej śladami Pawlikowskiej. Debiut: „Aby wiatr namalować” (1976, Gliwa), po czym: „Tylko ziemia” (1979, OPiM) i jeszcze „Indian Summer”, tom wierszy polskich (1982, Sigma Press). „Czysty, mały głos” — jak określiła ją Janina Katz Hewetson.

Nadurodzaj poezji

W toku przygotowań do „Rekonesansu” zetknęłam się z 78 tomikami wierszy wydanych poza Krajem w latach 1978-1983. Było ich zapewne więcej. Pięknie. Gdyby jeszcze wyło-

niła się z tej obfitości nieposkromionych zrywów poetyckich jakaś nowa indywidualność czy grupa na wzór „Kontynentów” z lat 1950-tych! Ale „ryby na piasku” rozproszyły się po świecie i albo przycichły, albo eksportują swoje wiersze do wydawnictw krajowych, odnosząc zresztą spektakularne sukcesy [Taborski, Czerniawski, *Śmieja* — zwłaszcza jako tłumacze poezji angielskiej na polski i *vice-versa* (Czerniawskiego świetne przekłady Staffa)].

Nałóg publikowania własnym sumptem własnych wierszy uległ ostatnio nasileniu. Masowo ukazują się tomiki rzucające jak perły przed takich jak pisząca te słowa barbarzyńców a obliczone na odkrycie przez „późnych wnuków”. Mnogość tej produkcji usprawiedliwia ograniczenie się do wyliczenia nazwisk zarówno spóźnionych na ogół debiutantów(ek), jak i chroników przeżywających w tzw. trzecim wieku nagłe przyplify natchnienia. Zaczynam od wyliczenia autorów, których tomiki drukowała i firmowała (lub tylko drukowała) Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie, podobnie jak czyniła to przed rokiem 1939 Księgarnia Hoesicka w Warszawie. Staranna szata graficzna odwraca często uwagę od jakości wierszy. Dobrze i to. Oto wykaz nazwisk: Czesław Bednarczyk (4 tytuły), Krystyna Bednarczykowa, Stefan Bodek, Kazimierz Cybulski, Jerzy Romuald Hebda, Franciszek Lasocki, Ludwik Tabaczyński.

Zatrzymać się warto przy „Braciach Żydach” Joanny Bielo-bradek (1981), „Wczorajszym jutrze” Idy Ron-Henfeld, wierszach z Izraela (1979), a przede wszystkim przy „Antologii poezji żydowskiej (1868-1968) w wyborze i przekładach Zewa Szepsa (1980).

Dobrze znany czytelnikom *Tygodnia Polskiego* Tadeusz Polański wydał tom wierszy i fraszek „Na pstrym koniu” (1979, OPiM).

W *Veritasie* ukazały się zebrane z pietyzmem przez wdowę wiersze Jerzego Drobnika (1980) i Jana Suberlaka „Smutek wyśpiewać”, w Odnowie „Prometej-Adam” Jerzego Brauna (1980). „Polonistka w mundurze” (1982) Janiny Hobler zawiera m.in. utwory wierszowane o szlacheckich tendencjach, bez wartości artystycznej.

Z powodzi wierszy nijakich wyławia się Jana Kowalika: „U drzwi Twoich...” (Paryż, 1983, Ed. Polemika); ks. Janusza Pasierba: „Rzeczy ostatnie” (1980, OPiM), Romana Makarewicza: „Wiosna i zima” i „Rapsody kalifornijskie” (1982, PFK), przedśmiertny tom wierszy Kazimierza Sowińskiego (zm. 8. IX. 1982), „Z krańca na kraniec” (1978, OPiM), Stanisława Wygodzkiego „Pożegnanie” (1979, OPiM), Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej „Słowo i milczenie” i „Krucze minuty” (1983, PFK),

wreszcie „wiersze osobiste” Wacława Solskiego zebrane w tomiku pt. „Dym” (1980, PFK). Równie „osobisty” (czytaj: amatorski) charakter mają wiersze Witolda Poray-Wojciechowskiego, wydane przez autora pt. „Passaty i sztormy” (Glasgow, 1978) i antologia poezji spadochronowej adresowana do towarzyszy broni i dla nich w pełni czytelna, wzruszająca, potrzebna. Zwłaszcza teraz, w latach 1980-tych, gdy zagęszczają się nekrologi b. kombatan-tów wszystkich gatunków broni w ramach ostatecznej mobilizacji.

Wydania zbiorowe

Schyłkowość pięciolecia 1978-1983 występuje najwyraźniej w uderzająco wysokiej liczbie wydań zbiorowych. W większości wypadków oznaczają one podsumowywanie dorobku życiowego, już ze względu na wiek autorów zamkniętego. Ze zaś nie ma reguły bez wyjątków, na plan pierwszy wysuwa się wypadek specjalny, dotyczący pisarza nadal aktywnego: jest nim noblowskie wydanie dzieł zebranych Czesława Miłosza (IL — dotąd 11 tomów plus wydane poza serią „Świadectwo poezji” (1983, Bibl. „K”, t. 370).

Na wydanie zbiorowe pism Witolda Gombrowicza (IL) składa się 11 tomów, z których ostatni obejmuje „Wspomnienia polskie — Wędrowki po Argentynie” (1977), ogłoszone na podstawie maszynopisów felietonów radiowych opracowanych dla RWE, nie wyzyskanych w audycjach (*sic*), a dochowanych (z brakami) w papierach pośmiertnych.

Do zbiorowego wydania zbliżają się traktowane łącznie, choć rozproszone po różnych wydawnictwach pisma odkrywanego dopiero teraz w Kraju, jako twórcy najwyższej rangi, Stanisława Vincenza (zm. 1971): „Na Wysokiej Połoninie” (1956, Ver.) — pasmo pierwsze cyklu; „Listy z nieba” — pasmo drugie; Nowe czasy (1974, OPiM); „Zwada” — nowy cykl eposu huculskiego (1970, OPiM); „Po stronie pamięci” (1965, IL); „Dialogi z Sowietami” (1966, PFK); „Tematy żydowskie” — ze wstępem Jeanne Hersch (1977, OPiM). W Kraju wydano „Z perspektywy podróży” (1980, Znak).

O skupienie i ocalenie rezultatów wieloletnich prac pisarskich postarał się Wit Tarnawski (nawiasem: dr med.), prozaik, uprawiający różne gatunki literackie: powieść, esej, aforystykę, krytykę literacką; wybitny znawca i tłumacz pism Conrada, promotor conradologii wśród swoich i obcych. Dotąd ukazały się następujące jego książki (poza omówionymi w „Szkicach”, str. 287-289): „Opowieści o niebie i ziemi” (1979, PFK); zbiór esejów i recenzji „Od Gombrowicza do Józefa Mackiewicza”

(1980, OPiM) — tam cenny szkic „Stanisław Vincenz i jego dzieło”; „Pisarze chrześcijańskiej rozpacz: Mauriac-Graham Greene-Bernanos” (1977, PFK); „Ucieczka” (1982, OPiM) wydanie 2 z komentarzem autorskim — conradowską polemiką z sobą samym na temat powieści.

Londyńskie wydawnictwo „Kontra” (Nina Karsov) skoncentrowało działalność na wydawaniu wznowień poczytnych a wyczerpanych powieści Józefa Mackiewicza. Kolejno ukazały się: „Nie trzeba głośno mówić” (1980), „Droga donikąd” (1981), „Lewa wolna” (1981), „Sprawa pułkownika Miasojedowa” (1983) i „Zwycięstwo prowokacji” (1983). To samo wydawnictwo opublikowało poprzednio „W cieniu krzyża” (1972) i „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy” (1975).

Systematycznym podsumowywaniem życiowego dorobku ks. Jerzego Mirewicza, T.J., redaktora londyńskiego *Przeglądu Powstanieckiego*, są kolejne, mniej więcej w rocznych odstępach czasu wydawane przez OO. Jezuitów a drukowane OPiM zbiory esejów i prelekcji — 17 tomów wydanych w latach 1963-1983. Po omówionych w „Szkicach” (str. 344-345) ukazały się: „Zapomniani współtwórcy Europy” (1976); „Trzy minuty filozofii” (1978) — zbiór felietonów radiowych, które przyniosły autorowi nagrodę Fundacji im. Kościelskich w Genewie, „wyjątkowo tylko przyznawaną autorom, którzy przekroczyli statutową granicę wieku, co było wyrazem uznania dla tego wybitnego filozofa i eseisty”; „Człowiek — miasto obłożone” (1978); „Życie wewnętrzne Emigracji” (tu polemika z J. Mackiewiczem w sprawie polityki wschodniej Watykanu i przychylna ocena esejów Leszka Kołakowskiego); „Spotkania i dialogi” (1980); „Wychowawcy Europy” (1981); „Nad rzekami Babilonu” (o świecie zaludnionym uchodźcami); „Obrońcy Europy” (1983).

Tu także należą „Pisma wybrane” Ignacego Wieniewskiego (1980, OPiM), z przedmową Wita Tarnawskiego, obejmujące obok szkiców „Z dziedzictwa antycznego” impresje śródziemnomorskie i wspomnienia (m.in. o prof. Tadeuszu Ziełińskim). Autor znany jest i ceniony na emigracji i w Kraju jako tłumacz „Iliady” i „Eneidy”, rzadko już obecnie cytowanych w innych przekładach.

Miscellanea Szymona Laksa, których pierwsze ogniwo sygnalizowałam w „Szkicach” (str. 237), wypełniają już obecnie 7 tomów. Ogromne w nich panuje „materii pomieszanie”, bo np. z jałowymi polemikami („Poloniki... Polemiki... Polityki...”, 1977, OPiM) sąsiadują wartościowe i rzeczowe felietony o zawiłościach i zakamarkach polszczyzny, po których autor przechadza się z wdziękiem Stanisława Westfala („Słowa i antysłowa”, 1978, OPiM). Najmocniejszą pozycją są „Gry oświęcimskie” (1979,

OPIM), ukazujące reżyserię tortur psychicznych w Oświęcimiu — autor był ich świadkiem i obiektem. Wreszcie: „Szargam świętości” oraz „Dziennik pisany w biały dzień” (1981, OPIM), „Taryfa ulgowa kosztuje drożej” (z obszernymi uwagami o wspomnieniach Haliny Rodzińskiej), długi ciąg walki z rzeczywistymi i urojonymi wiatrakami pojawiającymi się w nadmiarze w tzw. życiu literackim emigracji. Autor zmarł w grudniu 1983 w Paryżu.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

(d.c. nastąpi)

Argentyńskie lata Gombrowicza

W ciągu ich pięcioletniego pożycia Gombrowicz często mówił Ricie o swoich argentyńskich doświadczeniach, wyrażając żal, że wspomnienie które tam pozostawił błędnie i zamiera. Pamiętam wzruszenie, jakie odczułem, gdy wkrótce po śmierci Witolda Rita powiedziała mi o swoim zamiarze podróży do Argentyny, aby wspomnienia te zebrać i utrwalić. Dokonała tego z podziwu godnym trudem i poświęceniem w ciągu dwóch pobytów: dwumiesięcznego w roku 1973, półrocznego w roku 1978-1979.

Rezultatem jest książka* świetnie przez autorkę zredagowana, wspaniale wydana (z górą 50 ilustracji), zawierająca wzorową chronologię i bibliografię, rzucająca nowe i pełne światło na okres w życiu Gombrowicza zarazem najważniejszy i o którym najmniej dotychczas — poza „Dziennikiem” — było wiadomo.

Czytając jej rękopis zdałem sobie sprawę, że nikt poza Ritą Gombrowiczową nie był w stanie zebrać zwierzeń o charakterze równie osobistym, a zwłaszcza przekazać ich swoistej tonacji, na którą składają się podziw, czułość, humor, zdziwienie, żal.

Ładnie to ujęła sama Rita w swoim słowie wstępnym: „Spotkania te mogły przemienić się w przykrą defiladę widm. A tymczasem nikt nie wpadł w pułapki, jakie zasada tego rodzaju przedsięwzięcie: nostalgię, litość nad sobą, ogólniki o przemijaniu czasu. Wprost przeciwnie, wciąż miałam wrażenie, że uczestniczę w święcie radosnym lecz poddanym precyzyjnym regułom, ustalonym przez samego Gombrowicza. Odnajdywałam zawsze, w mniejszym lub większym stopniu, piętno jego stylu, tej 'formy',

* Rita Gombrowicz, *Gombrowicz en Argentine 1939-1963*. Préface de Constantin Jeleński, Denoël, Paris 1984, 292 str., 53 photographs.

którą narzucił 'całym wysiłkiem ducha' w ciągu dwudziestu czterech lat argentyńskiego wygnania. I jeszcze jedno: przyjaciele nie starali się wywyższyć jego kosztem; nie powiększali go, ale nigdy nie pomniejszali. Powoływali go na nowo do życia z jego gram, maniami, dziwactwami, zawsze zachowując jego ludzki wymiar. Te lata nieobecności — szlak jego europejskiej sławy i śmierci — w niczym nie wykrzywiły obrazu człowieka którego znali i pokochali”.

Najważniejsze bodaj świadectwa zebrała Rita u młodych argentyńskich przyjaciół Gombrowicza. Ona jedna mogła tego dokonać: rozpoznali oni z miejsca w smukłej, osamotnionej towarzyszyce Witolda siostrę, której można się zwierzyć.

Aby dać o tym pojęcie, przetłumaczyłem w skrócie wspomnienie Alejandra Russovicha, owego „Russa” którego opisał Gombrowicz w „Dzienniku”:

„Russo jest dla mnie wcieleniem argentyńskiej genialnej antygenialności. Podziwiam. Mechanizm mózgowy — bezbłędny. Inteligencja — świetna. Chwytność i chłonność. Wyobraźnia, polot, poezja, humor. Kultura. Odczucie świata swobodne, bez kompleksów...

Łatwość. Ta łatwość stąd, że on nie chce — nie umie? — wykorzystywać swoich atutów. Europejczyk uprawiałby to jak żyzne pole. Pochyliłby się nad sobą, jak nad instrumentem. On zezwala aby zalety kwitnęły mu w stanie naturalnym. Mogąc być wybitnym, nie chce — nie umie? — się wybić... Nie chce walczyć z ludźmi. Dyskrecja. Nie chce się narzucać.

Dobroć. Dobroć go rozbija. Stosunek jego do ludzi nie jest dostatecznie zaostrzony. Nie zмага się z nimi — nie rzuca się na nich. Nie jest kimś 'w ludziach'. Człowiek nie stał mu się przeszkodą do przewyciężenia, to syn argentyńskiego rozluźnienia — bo tu każdy żyje sobie, tu ludzie się nie piętrzą, tu człowiek (w dziedzinie duchowej) nie używa człowieka jak tyczki, aby wyskoczyć w górę i człowiek dla człowieka nie jest (duchowo) przedmiotem wyzysku. Ja przy nim jestem dzikim zwierzęciem”.

K. A. JELEŃSKI

MOJA PRZYJAŃ Z WITOLDEM

Było to w kwietniu 1946. Siedziałem we Fregacie przy jednym stoliku z Adolfo de Obieta i Virgilio Pinera. Słyszałem już o zbiorowym tłumaczeniu „Ferdydurke”. Ale o Gombrowiczu wie-

działem tylko tyle, że jest hrabią, zapewne fałszywym, i dziwnym naciągającym wszystkich na kilka pesów i zaproszenia na posiłki. Mówiono głównie o postaci, nie o pisarzu.

Oczekiwałem spotkania z kimś malowniczym, gdy ujrzałem go po raz pierwszy wchodzącego do Fregaty, z rękami w kieszeniach starego płaszcza nieprzemakalnego, w starym brudnym kapeluszu na głowie. Pozdrowił nas nieco z wysoka i przysiadł się do nas. Spojrzałem na niego: nie wyglądał na biedaka. Ubiór nie pasował do twarzy i elegancji sposobu bycia. Gombrowicz nie miał nic z artysty, a w każdym razie nie był podobny do intelektualistów, których nawykłem spotykać w Buenos Aires. Mówił o literaturze, o życiu, o ludziach z sarkazmem i ironią. Nie pamiętam dokładnie tematu rozmowy. Obserwowałem go tak intensywnie, że się spostrzegł i spojrzął na mnie ukradkiem. Wreszcie wstał, by udać się do Rexu. Po chwili wstałem i ja, by pójść za nim, moi towarzysze zostali. Gombrowicz był już na ulicy, jakby mnie nie zauważył, wydało mi się jednak, że właśnie na mnie czeka, patrząc w innym kierunku. Powiedziałem: „Chcę z panem pomówić”. — „A co ma mi pan do powiedzenia?” — odparł sucho, jakby zażenowany rozmową ze mną w cztery oczy. — „Chciałbym po prostu powiedzieć, że jest pan pierwszym, który wyraża z pełną świadomością to co sam odczuwam, nie potrafiąc tego sformułować”. — „Nic dziwnego, jest pan bardzo młody, ja dojrzały. Odczuwa pan to zawsze z kimś, kto już coś przeżył”. — „Nie, nie, to nieprawda, znam wielu intelektualistów, którzy dużo wiedzą, ale pan jest inny”. Chciałem powiedzieć, że wyraża jasno swoją odrębność. Spotkałem wreszcie kogoś kto jest niepowtarzalny, nieporównany, kogo nie sposób zaklasyfikować. Byłem zafascynowany.

Poszliśmy razem w kierunku śródmieścia. Jego chód sprawiał wrażenie siły i lekkości zarazem. Za jego pozorną sztywnością czuło się zadziwiającą giętkość fizyczną. Robiło się późno, szliśmy dalej. Kiedy mówiłem, Gombrowicz odpowiadał monosylabami lub milczał. Nagle, całkiem nieoczekiwanie, powiedział: — „Co robisz teraz? Idziesz gdzieś?”. Odpowiedziałem: — „Nie mam żadnych planów”. Wtedy Gombrowicz zapytał: — „Czesz pójść do mnie?”. I tak udaliśmy się razem w stronę ulicy Venezuela.

Spotkałem go znów w Rexie po kilku tygodniach. Nigdy już nie wspominaliśmy o tym pierwszym spotkaniu. Mówił do mnie znów — i tak już pozostało — w trzeciej osobie (po imieniu, ale używając hiszpańskiego *usted*), ale nasz stosunek stał się bardziej przyjacielski.

Tłumaczenie „Ferdurke” było już ukończone, gotowe do druku. Gombrowicz wszystko sam kontrolował i w przedmowie wymienił mnie wśród swoich licznych tłumaczy, co nie było prawdą — uczestniczyłem tylko w ostatnich dyskusjach. Czyniąc

to, Gombrowicz chciał mnie wyróżnić. Rozmawialiśmy we dwójkę coraz częściej i przyjaźń nasza wzrastała (...).

(Russovich opisuje tu, jak wraz z Gombrowiczem tłumaczył „Ślub” na hiszpański i zabiegał o wydanie hiszpańskiej wersji. Sztuka ukazała się dzięki Cecyli Debenedetti. „Ślub” był przyjęty milczeniem: ani jednej recenzji!)

(...) Tłumaczenie „Ślubu” bardzo nas do siebie zbliżyło i pewnego dnia Witold powiedział: „Russo, zwolnił się pokój obok mojego w pensjonacie na Venezueli. Czy nie zechciałbyś tam zamieszkać?” Mieszkałem wówczas w pensjonacie Luxor w śródmieściu, blisko mego biura. Lubiłem jego cygańską atmosferę i nie miałem żadnej ochoty na przeprowadzkę. Witold nalegał. Myślę, że miał ochotę, po latach samotności, zamieszkać z kimś bliskim. Pewne moje cechy nie uszły jego uwadze: w „Dzienniku” pisze o mojej wesołości, łatwym sposobie bycia, dobroci. Wobec mojej odmowy, sprecyzował: „Rzecz jasna, Russo, nie będzie już nic między nami. Nic w rodzaju sentymentalnego związku między dwoma mężczyznami: to w najgorszym stylu”. Odpowiedziałem, że nie o to mi chodzi, po prostu dobrze się czuję w Luxorze. No i wreszcie dałem się przekonać. Na szczęście! Mówię na szczęście, gdyż zdałem sobie szybko sprawę, że miał rację. Mogliśmy swobodnie dyskutować, chodzić na spacer, wymieniać książki, snuć wspólne plany. Moja potrzeba przyjaźni została wreszcie zaspokojona. W ciągu pierwszych kilku lat byłem z nim naprawdę szczęśliwy. On również był ze mną szczęśliwy, jestem tego pewien, ale na swój hermetyczny sposób, nigdy tego wprost nie okazując. Nie dziwiło mnie to, wiedziałem jak bardzo jest powściągliwy w wyrazie swych uczuć.

Pensjonat na ulicy Venezuela był prowadzony przez Niemkę, Frau Elsa (tak ją nazywaliśmy); opuściła Niemcy w roku 1925, wynajmowała z dziesięć pokoi. Wszyscy jej lokatorzy, z wyjątkiem nas dwóch, byli Niemcami: głównie robotnicy, z dodatkiem paru drobnych urzędników i sprzedawców. Frau Elsa była dobrą Niemką, patriotką, ale nie lubiła Hitlera. Tym niemniej Witold miał do niej stosunek raczej zimny, pogardliwy, nieprzyjemny. (...) Witold zawsze ukrywał fakt, że mieszka u Niemki. Jego kuzyn Gustaw Kotkowski znalazł mu ten pensjonat w roku 1945. Witold pozostał tam aż do swego wyjazdu do Europy: osiemnaście lat! Narodowość Frau Elsy ukrywał zapewne ze względu na swoich rodaków (...).

(Witold i Alejandro rzadko przyjmowali gości. Russovich opisuje trzy „przyjęcia” jakie zorganizowali w ciągu siedmiu lat współżycia: dla Ady i Henryka Lubomirskich, dla „Kubańczyków” [tłumaczy „Ferdurke”] i dla wspólnych argentyńskich przyjaciół).

(...) Żyliśmy w wielkiej biedzie, zwłaszcza z początku. Zbawiał nas zmysł organizacyjny Witolda. Zanim go poznałem, wydawałem całą pensję przed końcem miesiąca. On jednak na skutek lat prawdziwej nędzy, a może też z natury — był oszczędny, me-

1. W chwili spotkania Russovich ma 21 lat, Gombrowicz 42.

2. W polskim tłumaczeniu zachowujemy formę „na ty” bliższą hiszpańskiego *usted* z imieniem, od formy „na pan”.

todczyzny, zorganizowany, skłonił mnie do prowadzenia rachunków. Witold zarabiał w Banco Polaco trochę więcej ode mnie (pracowałem wówczas w Ministerstwie Obrony Narodowej, studiując jednocześnie filozofię). Jedliśmy co wieczór w restauracjach, bardzo wówczas tanich. Był to nasz jedyny prawdziwy posiłek dzienny (...). Czasem jednak nasze dochody nam nie wystarczały. Znajdowaliśmy różne rozwiązania. W najgorszym wypadku zjadałem posiłek Fifi — pieska Frau Elsy. Przygotowywała mu zawsze coś dobrego, kładąc talerz na podłodze. Zjadałem to wracając głodny do domu. Słyszałem potem jak Fifi szczeka, a Frau Elsa robi mu wymówki. Nie zdarzało się to często. Bardzo byliśmy do tego pieska przywiązani. Jego śmierć była dużym ciosem dla Witolda (...). Staraliśmy się również (podobnie jak „Kubańczy”) o zaproszenia na posiłki. Witold wpraszał się do Cecilii Debenedetti, Grazielli Peyron, do Bernich, do swych polskich przyjaciół. Ja do mego wuja, pułkownika, który mi sponkurował tę posesję w ministerstwie. Załatwiało to z dziesięć darmowych posiłków miesięcznie. Kiedy jeden z nas był zaproszony, drugi starał się o to również, aby nie iść samemu do restauracji (...). Tak, byliśmy w biedzie, ale nigdy smutni czy przygnębieni z tego powodu. Bawiły nas te fortele, trudności znosiłiśmy z humorem. (...) Zresztą mówię o biedzie, a przecież był to pierwszy okres argentyński, gdy Gombrowicz miał choć trochę pieniędzy. Wyzwolony z nędzy miał wreszcie spokojne sumienie, nie zależał już całkowicie od innych. Przeszedł stopniowo przyjmować od Grubera stare ubrania, kupił trochę tanich rzeczy w popularnym sklepie „El Coloso”. Koszule kurczyły się i odbarwiały po pierwszym praniu. Kapelusze były jeszcze dla niego za drogie. Przepadał za kapeluszami, które uważał za sedno męskiej elegancji. *Caballero* bez kapelusza, to nie *caballero*, mawiał. Kapelusz był dla niego widomym znakiem społecznej rangi (...).

(...) Przeżyłem siedem lat z Gombrowiczem. Nie sposób wszystkiego zapamiętać. Szukam najbardziej charakterystycznych momentów jego ówczesnego życia. Przepadał za długimi spacerami, zwłaszcza nocą, maszerował kilometrami bez zmęczenia. Często schodziliśmy w stronę portu, patrzyliśmy na statki (...). Odwiedziliśmy razem Cecilie Debenedetti w jej „quincie” w Mercedes. Dalsze podróże były wykluczone z braku pieniędzy.

Witold lubił wprowadzać drobne ulepszenia w swym pokoju. Pewnego dnia u Cecilii Debenedetti, która wówczas malowała, Witold zalił się, że nie posiada obrazów. „Bierzcie co chcecie”, powiedziała Cecilia, wskazując na stos płócien w kącie. Wybrałiśmy trzy: jeden, namalowany przez Cecilie, przedstawiał nagą kobietę leżącą na sofie, o ledwie naszkicowanych rękach i stopach. Drugim był portret Cecilii namalowany przez znanego malarza Berni. Trzeci — anonimowy — miał tytuł: „Krajobraz z Sorrento”, autentyczny „prymityw”, który bardzo lubiłem. Po pewnym czasie Witold powiesił te trzy obrazy rzędem w swym pokoju, ale do góry nogami.

Albo ten kotek maltretowany przez łobuzów, którego Witold przyniósł z ulicy. Kochał zwierzęta i nie mógł znieść widoku ich cierpienia. Frau Elsa, w gruncie rzeczy poczciwa, zgodziła się go żywić.

Witold często chorował, były to prawie zawsze dolegliwości psychosomatyczne. Szkodziły mu papierosy — był palaczem łańcuchowym i zaciągał się dymem głęboko. Udało mi się przekonać go do fajki (bez tytoniu nie mógł się wówczas obyć).

Głównym naszym zajęciem były lektury i wieczory spędzane w Rexie. Poza filozofią i historią Gombrowicz najbardziej lubił biografie, a zwłaszcza autobiografie, jeśli były naiwne i pisane „z uczuciem”. Pożyczał je w bibliotece Banco Polaco i streszczał mi te polskie książki. Pamiętam autobiografię jakiejś kochanki Rasputina³, która go bardzo zainteresowała. Ciekawił go prywatny punkt widzenia na wydarzenia historyczne.

Któregoś dnia wpadła mi w ręce książka Martina Bubera „Problem człowieka”. Z nieporównaną jasnością i ścisłością Buber określał w swej konkluzji pojęcie „między”, używając niemal tych samych słów co Gombrowicz. Różnica między nimi była natury egzystencjalnej. Witold doświadczał na własnej skórze i przemieniał w dzieło sztuki to, co dla Bubera było teorią. Dałem książkę Witoldowi, czytał ją zrazu z nieufnością, potem z rosnącym entuzjazmem. Zachowuję ten egzemplarz z jego uwagami na marginesie.

Podobnie było z Formą. Zwróciłem uwagę Witolda na dynamiczny charakter przypisywany Formie przez *Gestalttheorie*: skłonność do uzupełniania tego co otwarte, nie wykończone, jak u Gombrowicza (niedojrzałość, zieleń, młody). Gombrowicz rzucił się na tę myśl, która odpowiadała jego własnej i przyswoił ją sobie całkowicie (...). Dostałem od znajomego „Dziennik” Gide'a po francusku. Witold był sceptyczny, a nawet pogardliwy wobec Gide'a: „Ten Francuzik ze swymi homoseksualnymi historyjkami”, mawiał. Nalegałem żeby przeczytał „Dziennik” i wreszcie nie mógł się od niego oderwać. Znalazł w nim nową modłę wyrazu i zastanawiał się nad sposobem jej użycia. Każda jego lektura była zawsze lekturą twórcy, artysty. Tym razem sprecyzował pomysł, z którym się już nosił, pisania własnego „Dziennika”, tak wreszcie odmiennego od Gide'a. Pisarz nad którym się często zastanawiał to Tomasz Mann, który był dla niego wzorem, powiedziałbym nawet wzorem uniwersalnym. Witold mawiał: „Widzisz jak Mann sam tworzy z siebie geniusza, jak wytwarza dla innych obraz własnego geniusza, jak się z nim wreszcie identyfikuje. Potrafił przekonać wszystkich, że jest geniuszem”. Witold przepadał za jego dziełem, a najwyżej cenił nowelę „Tonio Kröger”.

(Następuje opis wieczorów w Rexie, gombrowiczowskich gier i strategii ze swymi młodymi przyjaciółmi).

Podczas dyskusji filozoficznych jakie prowadził z Gomezem

3. Chodzi zapewne o Wyrubową, która figuruje w „Historii”.

czy literackich z Dipim, wytwarzała się sytuacja walki, parodia pojedynku, niezmiernie interesująca dla widzów. Ale obaj gracze musieli bardziej baczyć na styl obrony niż na ścisły wyraz swej myśli. Chodziło głównie o grę. Między nim i mną nie było współzawodnictwa, raczej harmonia oparta na wymianie myśli. Kiedy nasze dyskusje dobrze się rozwijały, Witold zawsze powtarzał: *Motus animi continuus*. Twierdził, że była to formuła Cycerona na określenie tego rodzaju duchowego porozumienia.

(Russovich opisuje tu zabawnie, jak wszyscy młodzi „uczniowie” Witolda imitowali go, nawet bezwiednie. W jego wypadku wchodził w grę mimetyzm innego rodzaju).

Odpierając jego argumenty, wyrażałem dokładnie mój własny punkt widzenia, ale głosem, tonem, gestami Witolda. Broniełem mych własnych opinii, ale tak jakby to on je formułował (...). Zdarzało mi się później tak postępować, gdy byłem sam z trudnym do rozwiązania problemem: gestykułując jak Witold, wyrażałem się na głos w jego stylu. Sposób ten okazywał się najczęściej skuteczny (...). Jego wpływ na mnie? To pytanie źle postawione. Gombrowicz mi zawsze pomagał i pomaga mi dotychczas. (...) Gombrowicz był i jest dla mnie wcieleniem ludzkiej prawdy, tej która pozostaje zazwyczaj zakryta dobrym wychowaniem, konwencją (...).

(...) Po tych latach tak wzbogacających, tak wyjątkowo harmonijnych, coś zaczęło się psuć między nami. Witold wymawiał mi, że się od niego „oddalam”.

(Russovich wymienia szereg motywów tego oddalenia: rozbitcie grupy wspólnych przyjaciół „z powodów głównie politycznych”, spotkanie z Rose-Marie, która zostanie jego żoną w roku 1953; rosnące codzienne starcia z Witoldem, „irytujące drobiazgi”).

Teraz, kiedy jaśniej widzę moją przeszłość, lepiej rozumiem przyczyny naszego zachowania. Oddalałem się od niego, gdyż w głębi czułem się przez niego odrzucony. Po pierwsze, nigdyśmy dobrze nie określili naszej przyjaźni. Musieliśmy ukrywać przed innymi, że mieszkamy razem, aby nie pomyśleli, że... Ale właściwie to przed nami samymi ukrywaliśmy znaczenie naszej przyjaźni. Wiedzieliśmy jak się wszystko między nami zaczęło i jak zrezygnowaliśmy z pewnego związku, aby nasza przyjaźń stała się możliwa. Ale Witold nigdy nie chciał o tym mówić, poza swym „Dziennikiem”, prawie nigdy mnie zresztą nie wymieniał. Wiedziałem, że w pewien sposób zwraca się tam do mnie i mogłem coś nie coś zrozumieć, co wyjaśniało naszą sytuację. Ale nigdy nie rozmawialiśmy o tym szczerze między sobą. Odczuwałem stale ten brak przejrzystości. Robiliśmy czasem plany na przyszłość: wynająć lub kupić mieszkanie, zaciągając pożyczkę w banku, wyjechać może do Europy. Ale z tych projektów nigdy nic nie wychodziło. Nie widziałem nic konkretnego. Męczyła mnie ciągle frustracja w dziedzinie uczuciowej. Pragnąłem więcej światła i prawdy między nami (...). Witold ukrywał przede mną wszystko, co dotyczyło jego życia erotycznego, jego „przy-

watnego świata”. Byliśmy naprawdę przyjaciółmi, dzieliliśmy wszystko: pieniądze, trudności, jego kłopoty zdrowotne (...). A jednak najtajniejsza, najbardziej ludzka część jego życia była ukryta, jak za żelazną kurtyną. Ja natomiast chciałem znać jego osobowość w całej pełni. Nieraz starałem się naprowadzić go na zwierzenia o jego „Retiro” — nie stawiając mu zresztą nigdy żadnych pytań. Wiedziałem przecież zasadniczo o wszystkim. Chciałem po prostu móc go lepiej zrozumieć. Nic z tego. Tak jakby, dając mi co ma w sobie najlepszego, chciał ukryć sprawy, które uważał za negatywne. Wobec tego ja również zacząłem ukrywać przed nim wiele rzeczy. Witold traktował zawsze sprawy uczuciowe żartobliwie. Kiedy moje uczucia dla Rose-Marie stały się poważne, rozumiał że nie może tego zbyć żartem. Zdał sobie za zdumieniem sprawę, że mogę go opuścić...

(Następuje tu opis krytycznego momentu w ich przyjaźni i szybkiego pojednania: gdy Alejandro ożenił się z Rose-Marie, Witold odwiedzał ich często. Rose-Marie oświadczyła zresztą Ricie: „Bardzo lubiłam Gombrowicza i nie wiem, kim byłby Alejandro, gdyby go nie spotkał. Być może nie byłabym go tak pokochała. Dla tej prostej przyczyny nigdy nie miałam poczucia, że Gombrowicz nas dzieli. Przyjaźń z Gombrowiczem była dla mnie jedną z zalet Alejandra. Lubiałam tę przyjaźń”).

W ciągu tych ostatnich dziesięciu lat, przed jego wyjazdem do Europy w 1963, mieliśmy serdeczny stosunek. Ale nie odczuwałem potrzeby jego obecności i brak tej potrzeby był dla mnie niezrozumiały. Miałem wrażenie, że nie zdradziłem jego, ale w pewnym sensie siebie samego, odwracając się od czegoś, co było dotychczas sensem mego życia. Czułem się winny i osamotniony. Były to dla mnie trudne lata. Witold nigdy się o tym nie dowiedział. Zachowywałem się wobec niego nadal jakby nigdy nic. Ale wiedziałem, że znajduje się on w sercu czegoś, czego nie umiałem wyjaśnić ani rozwiązać we mnie samym.

Doszedłem do wniosku, że to moje świadectwo byłoby bez znaczenia, gdybym nie powiedział „całej prawdy”. Nie przyszło mi to łatwo, czułem się nieraz pomniejszony, upokorzony, ale było to konieczne nawet dla mnie, by zrozumieć czym była moja przyjaźń z Witoldem.

Alejandro RUSSOVICH

(Tłumaczył z francuskiego K. A. JELEŃSKI)

Odważne teksty obywatelskie *

W Lwówku wiele się dyskutuje. Właściwie nawet Lwówek z tego słyne. Dyskusje czasem są podsłuchiwane, czasem powta-

* *Teksty cywilne*, przez Leopolię, Instytut Literacki, Paryż 1983, Biblioteka „Kultury”, tom 383, str. 164.

rzane w zniekształcającej plotce. Gorzej z dostępnym publicznie zapisem dyskusji, poglądów, stanowisk. Mieszkańcy Lwówka — miejscowości na rubieżach Imperium — są ostrożni, nie chcą być zaliczeni do gatunku diarystów, których notatki miałyby kogokolwiek narazić. Dość późno zaczęli utrwać to, co mają istotnego do powiedzenia; niekiedy korzystali ze swej pograniczności, przesyłając zapisy myśli poza granice kontroli, niektórzy wewnątrz Imperium utworzyli enklawy wolności i w nich nadają manuskryptom i ideom kształt umożliwiający wymianę i jakie takie upowszechnienie.

Leopolita, autor prac skrupulatnie datowanych w Lwówku, zebrał swe teksty z ostatnich siedmiu lat, informujące o zasadach funkcjonowania Imperium, a także o tym, jak z pożytkiem dla mieszkańców można to funkcjonowanie nadwyżyć, a może nawet po rozpadzie Imperium jakoś ułożyć życie ludów w nim przebywających, ograniczając spory między nacjami mającymi dziś wspólnego przeciwnika.

Autor „Tekstów cywilnych” opanował umiejętność analizy socjologicznej i zasłużył się nauce dzięki klarownemu sformułowaniu powodów, dla których partii (wewnętrznej) potrzebna jest partia (zewnętrzna). Rzadko się nad tym w Lwówku zastanawiano i umykały uwadze powody istnienia niezwykle licznej warstwy społecznej zorganizowanej przez władców prowincji i uformowanej na podstawie dobrowolnego zaciągu. Powody te wcale niekoniecznie są uświadamiane — nie muszą o nich wiedzieć rekrutujący ani rekrutowani. Rzecz w tym, jakie funkcje partia zewnętrzna pełni — przede wszystkim wobec tych, którzy do niej rekrutują, ale także wobec rekrutowanych i nawet tych, którzy do partii nie należą; w czym partia zewnętrzna komu się przydaje, czyim i jakim interesom służy.

Leopolita umie wyodrębnić podstawowe podmioty działania społeczno-politycznego w Imperium, w którym wedle doktryny oficjalnej jedynie ośrodek partii wewnętrznej powinien wszystko organizować i kształtować. Oto okazuje się, że w partii wewnętrznej działają zwykle ludzie w garniturach, którym w sukurs przysły mundury i te napadły na Lwówek. Mundury jednak dobre są na krótko, garnitury potrafią saczyć ideologię, tworzyć pseudorzeczywistość, przesłaniać istnienie nieistnieniem, jednym słowem posługiwać się nowomową, którą Leopolita dobrze zna i potrafi formułować parafrazy, przekłady wypowiedzi nowo-mowy na zdania w mowie ludzkiej, przedstawiając sens opisowy sformułowań (jeśli istnieje), sens perswazyjny, osłaniający, kreacyjny lub terrorystyczny. Terror wyrażany przez słowo nie jest najmocniejszą stroną ludzi w mundurach, ci mają skłonność do terroru bezpośredniego, który dla „zdobycia, zachowania i umocnienia władzy” jest przydatny, jednak nie wystarcza. Mundury i garnitury potrzebują się wzajemnie, zachodzi między nimi symbioza.

W najwcześniejszym z artykułów zamieszczonych w zbiorze „Teksty cywilne” autor wspomina o instytucji nazwanej Ludowe

Wojsko Polskie i przypomina rolę tego wojska w Czechosłowacji i w Gdyni w roku 1970. W tekście z roku 1980 autor znalazł miejsce, by zwrócić uwagę na czasopismo *Żołnierz Wolności*, na działalność Głównego Zarządu Politycznego i rolę wojska jako „machiny do sowietyzacji społeczeństwa”. Nie jest źle, jeśli cywile wiedzą, do czego wojsko („ludowe”) może być używane.

Autor stara się wiedzieć, co dla Polski jest, a co nie jest specyficzne. Jak pisze: „Polak Polakowi może zrobić dokładnie to samo co Niemiec Niemcowi, Hiszpan Hiszpanowi i w ogóle człowiek człowiekowi”. Ponadto zaś nie jest jego zdaniem pewne, że ustrój komunistyczny jest sprzeczny akurat z kulturą zachodnią (może zresztą Lwówek leży na pograniczu kultury wschodniej i zachodniej, jeśli założyć, że takie dwie kultury istnieją). Według niektórych Wietnamczyków komunizm jest obcy kulturze wietnamskiej.

Leopolita należy zatem do ludzi przekonanych, że istnieje ustrój komunistyczny i Imperium, i że istnieją rzesze związane interesami z ustrojem. Jest tak, choćby nawet kombinezony i sutanny potrafiły się i innych zorganizować i to i owo wyrwać spod władzy garniturów i mundurów. W propozycjach programowych autor „Tekstów” uznaje specjalizację: nie wszystkim powinna zajmować się „Solidarność”, nawet nie wszystkim powinni i mogą zajmować się biskupi, kardynał-prymas i papież.

Teksty datowane w Lwówku pozwalają śledzić rozwój działań i pomysłów antytotalitycznych — od ruchów oporu politycznego, spontanicznych, rozproszonych, nie mających organizacji i hierarchii wewnętrznej, o których mówiły teksty z 1976 roku, aż do lat 1982-1983, kiedy to Leopolita publikuje swoje zdanie w pismach podziemnych, których istnienie dowodzi organizacji i które potrzebują organizacji dla swej ochrony.

Autor „Tekstów cywilnych” wie, co piszą i co proponują inni. Krytykuje mówców i pisarzy politycznych i zadaje im kłopotliwe pytania, ciałom zbiorowym powołanym do inspirowania opozycji nie szczędzi łyżki dziegciu gdy usną, gdy zaproponują działania niewidoczne lub ryzykowne — nie rozeznając ryzyka i nie zastanawiając się nad właściwymi przeciwdziałaniami.

Głos Leopolity to głos wewnętrzny w cywilnym ruchu oporu w Polsce, w cywilnej konspiracji wywołanej przez napad z 13 grudnia. Teksty zebrane i opublikowane przez Instytut Literacki przyczyniają się do walki ze zniechęceniem, strachem i poczuciem beznadziejności, bronią owej cywilnej konspiracji i uzasadniają jej potrzebę dla przetrwania i ocalenia społeczeństwa zagrożonego przez ustrój, partię i nowo-mowę. Tu znów autor jest socjologiem; niekoniecznie lubi się to, co w warunkach Imperium jest społecznie potrzebne (Leopolita, jak twierdzi, konspiracji nie lubi, a wolałby też zmienić postępowanie wielu konspiratorów). Dobrze jest odczytać ponownie jasne wypowiedzi autora cywilnego, który rozumie, do czego służy wojsko i do czego używa się obydwu partii. Odczytuje się zapis głosu, ale także słyszy się głos autora.

Marek TARNIEWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz*. Str. 388 i 6 nlb. Wydanie jubileuszowe z okazji 150-tej rocznicy publikacji *Pana Tadeusza* 1834 r. w Paryżu. Wyd. Drukarnia Grafik Plus i Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż 1984.
- Ewangelia Jezusa*. Str. 497 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1980).
- Stary Testament. Historia Zbawienia*. Str. 478 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1983).
- Dzieje apostołskie. Listy i Apokalipsa*. Str. 445 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1982).
- PORADOWSKI (Michał, ks.) *Kościół od wewnątrz zagrożony*. Str. 257 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).
- FOLEK (Tadeusz). *Prawo azylu i inne przepisy dotyczące cudzoziemców w Republice Federalnej Niemiec*. Str. 179 i 4 nlb. (Wyd. Pogląd, Kolonia - Berlin Zachodni, 1983).
- KUŚMIEREK (Józef). *Credo*. Str. 90 i 2 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin Zachodni, 1983).
- WRÓBLON (Józef). *Srednio na głowę mieszkańca PRL*. Str. 207. (Wyd. Biblioteka Książki Współczesnej, Sztokholm 1981).
- WRÓBLON (Józef). *Polska, bogaty kraj biednych ludzi*. Str. 157. (Wyd. w Sztokholmie 1979).
- MAJCHERCZYK (Julian). *Płaczące wierzby*. Poezje. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. w Paryżu 1983).
- KORBOŃSKI (Stefan). *Za murami Kremła. Opowieść fantastyczna*. Str. 181 i 9 nlb. (Wyd. Bicentennial Publ. Co., Nowy Jork 1983).
- WYGODZKI (Stanisław). *Pamiętnik miłości*. Wiersze. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. SOWULA, Londyn 1983).
- KOMIĘGA (Marcin). *Przepowiednie. Pojutrznia*. Wiersze. Str. 43 i 3 nlb. (Wyd. Libra Books, Londyn 1983).
- „Gwiazda Polarna” — 75 lat w służbie Polski i Polonii. Str. 429 i 31 nlb. (Wyd. A. Poray Publ., Nowy Jork 1983, biblioteka „Country”, t. XIV).
- KOWALIK (Jan). *Exsul familia*. Wiersze. Str. 50. (Wyd. Sigma Press, Albany, USA, 1983).
- GONCZYŃSKI (Franciszek). *Parysatis*. Str. 220 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).
- GABLER (Dariusz). *Z deptaka życia*. Wiersze. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- SWIEŻAWSKI (Stefan). *Święty Tomasz na nowo odczytany*. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 160).
- RENAULT (Emmanuel). *Święta Teresa z Avila*. Str. 147 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 120).
- Z archiwum Warszawskiego Koła Polonistów. Str. 105 i 4 nlb. (Wyd. Koło Naukowe Studentów wydz. polonistyki UW, 1982).
- ZGORZELSKI (Czesław). *Mistrzowie i ich dzieła*. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 160).
- GINTER (Maria). *Galopem na przelaj*. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Iskry, Warszawa 1983, cena zł 120).
- MICHNIK (Adam). *Rozmowa w Cytađeli*. Str. 56. (Wyd. Biblioteka Wolnej Myśli — wydawnictwo podziemne, przedruk z wydania Instytutu Literackiego, *Zeszyty Historyczne* nr 64, Kraków 1983).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

6-1-84

Tymczasowy zarząd Polskiego PEN-Clubu skreślił Zdzisława Najdera z listy członków.

8-1-84

Poczta PRL ściąga od zagranicy tzw. opłaty końcowe za doręczanie paczek wewnątrz kraju. W 1980 roku Poczta Polska pobrała w ten sposób 4,6 miliona dolarów, w 1981 — 10,5 miliona dolarów, w 1982 — 47 milionów dolarów, a w I półroczu 1983 roku — 26 milionów dolarów. Ministerstwo Łączności stoi na stanowisku, że z opłat tych nie należy rezygnować, nawet jeśli miałyby to zmniejszyć napływ paczek do Polski.

9-1-84

Doroczną nagrodę Polskiego Ośrodka Kultury Europejskiej, przyznawaną za zasługi dla kultury polskiej poza granicami kraju, otrzymał prof. Stanisław Lorenz.

17-1-84

Zmarł w Łodzi w wieku 84 lat Władysław Rymkiewicz, literat i dziennikarz.

18-1-84

Minister kultury i sztuki prof. Kazimierz Żygulski wręczył nominacje członkom RADY FUNDUSZU LITERATURY. W skład Rady, której przewodniczy członkiem prezydium ZG ZLP Jerzy Jesionowski, wchodzi: Kazimierz Bidakowski, Maksymilian Celeba, Stefan Czarnecki, Janusz Domagalik, Feliks Fornalczyk, Michał Kabata, Ryszard Kłysł, Katarzyna Krzemuska, Józef Lenart, Marek Malinowski, Mikołaj Melanowicz, Michał Misiorny, Andrzej Przyppkowski, Wacław Sadkowski, Andrzej K. Waskiewicz, Jerzy Wittlin, Józef Zajac, Stanisława Zielińska.

28-1-84

Przypada 200-letnia rocznica erygowania archidiecezji Mohylewa na Białorusi. Od roku 1927 jest ona nieobsadzona. Ostatnim administratorem apostołskim w Mohylewie był Łotysz, abp Słokans, który po 6 latach więzienia wrócił na Łotwę (zmarł w Belgii w 1980 roku). Pierwszym arcybiskupem w Mohylewie dla katolików obrządku łacińskiego był Litwin, Sierżenczewicz-Bohusz, uprzednio sufragan w Wilnie.

8-2-84

Zmarł w Warszawie w wieku 102 lat Czesław Wierusz-Kowalski, nestor polskich malarzy.

10-2-84

Władze PRL zakontraktowały kontyngent robotników wietnamskich — około 1.000 osób. Będą oni zatrudnieni m.in. w Stoczni im. Adolfa Warskiego w Szczecinie. Podobne „kooperacje” w dziedzinie zatrudnienia są zawierane we wszystkich krajach bloku wschodniego. Np. w ZSSR pracuje obecnie 17 tys. Wietnamczyków.

ZACHÓD — EMIGRACJA

19-12-83

Zmarł w Londynie w wieku 93 lat generał Józef Kordian-Zamorski, artysta malarz, jeden z pierwszych legionistów, komendant główny Policji Państwowej przed wojną, a w czasie wojny zastępca dowódcy Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie.

24-12-83

Zmarł w Rzymie Statys Łozoraitis, b. minister spraw zagranicznych niepodległej Litwy i b. ambasador litewski przy Kwirynale. Po wojnie mieszkał stale w Rzymie, pełniąc funkcje kierownika litewskiej służby dyplomatycznej za granicą. Urodził się 6 września 1898 roku w Kownie. Pochowany został tymczasowo na rzymskim cmentarzu Prima Porta. Nabożeństwo żałobne celebrował biskup Antanas Deksnys, kierownik duszpasterstwa dla Litwinów w Europie Zachodniej. Do poselstwa litewskiego przy Stolicy Apostolskiej napłynęły telegramy kondolencyjne z całego świata, m.in. od arcybiskupa Silvestriniego, watykańskiego „ministra spraw zagranicznych” i od posła Andreottiego, włoskiego ministra spraw zagranicznych.

30-12-83

Wieloletni naczelny redaktor *Dziennika Polskiego* w Londynie, p. Karol Zbyszewski, przeszedł na emeryturę. Od 1 lutego br. stanowisko pełniącego obowiązki redaktora naczelnego *Dziennika Polskiego* oraz *Tygodnia Polskiego* objął p. Mikołaj Szumski. Jego zastępcą ma zostać p. Józef Biliński, wieloletni pracownik BBC.

1-1-84

Z dużym opóźnieniem ogłoszono dekret Rady Najwyższej ZSSR pozbawiający obywatelstwa sowieckiego Michała Hellera. Michał Heller, profesor paryskiej Sorbony, znany historyk, przybył do Francji w latach 60-tych. W Bibliotece *Kultury* ukazała się jego książka „Świat koncentracyjny a literatura sowiecka”. M. Heller od 15 lat regularnie współpracuje z *Kulturą*, pisząc przeglądy prasy sowieckiej pod pseudonimem Adam Kruczek. Wybór tych przekładów ukaże się w bież. roku w Bibliotece „Kultury”. (Wybór w przekładzie francuskim ukazał się w Paryżu pt. „Sous le regard de Moscou”, De Noël, 1983). Pozbawienie obywatelstwa sowieckiego jest bardzo rzadkim wydarzeniem w ZSSR. Po Trockim obywatelstwa sowieckiego pozbawiono: Aleksandra Solżenicyna, Mstisława Rostropowicza, generała Grigorenko, córkę Stalina Swietłanę Allilujewą oraz mistrza szachowego Kortnoja. Jak dowcipnie zauważył paryski dziennik *Le Quotidien de Paris*, można to uważać za stalinowską nagrodę wolności.

15-1-84

Jury nagrody im. Stanisława Vincenza, ufundowanej przez wdowę po nim i przez jego syna — Andrzeja, przyznała ją Tadeuszowi Chrzanowskiemu, historykowi, krytykowi sztuki, poecie i eseiście.

18-1-84

Po ukonstytuowaniu się Rady Narodowej w nowej kadencji powołany został nowy Rząd R.P. w Londynie w następującym składzie: Premier i Sprawy Zagraniczne — Kazimierz Sabbat, resort Spraw Krajowych — prof. dr Edward Szczepanik, resort Spraw Wojskowych — komandor Bohdan Wroński, resort Spraw Skarbowych — mjr Stanisław Borczyk, resort Spraw Prawnych — (p.o.) Bohdan Wendorff, resort Spraw Oświaty i Kultury —

mgr Czesław Czapliński, resort Spraw Emigracyjnych — prof. Zbigniew Scholtz, resort Spraw Informacji i Prasy — ppłk dypl. pl. Roman Czerniawski. Członkowie Rządu bez teki: Jerzy Zaleski, mgr Tadeusz Drzewicki, Aleksander Snastin. Podsekretarze stanu: Tadeusz Lasko (Sprawy Zagraniczne), dr Zygmunt Szkopiak (Sprawy Zagraniczne), Leonidas Kliszewicz (Sprawy Emigracyjne), Władysław Szkoda (Sprawy Emigracyjne), Zdzisław Szopis (Sprawy Emigracyjne).

20-1-84

Stany Zjednoczone nawiązały ze Stolicą Apostolską stosunki dyplomatyczne, zerwane w 1867 roku.

1-2-84

Nowojorska Fundacja im. Alfreda Jurzykowskiego ogłosiła listę nagród za 1983 rok. Otrzymali je: Michael Katz (z zakresu medycyny), Mieczysław Rajmund Chorąży (biologia), Samuel Eilenberg (matematyka), Henryk Hiż (filozofia), Zbigniew Wójcik (historia), Jerzy Ficowski (literatura), Jan Jabłoński (historia literatury i krytyka literacka), Tadeusz Brzozowski (sztuki wizualne), Mieczysław Porębski (historia sztuki) i Wojciech Kilar (muzyka). ■ Nagrody w Londynie: Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznał nagrodę za najlepszą książkę roku Alicji Iwańskiej za książkę „Wojenne odcinki” oraz za całokształt twórczości Zbigniewowi Zaniewickiemu. Jednocześnie Stowarzyszenie Polskich Kombatantów przyznało nagrody pisarskie: Tadeuszowi Żencykowskiemu-Zawadzkiemu za pracę „Dramatyczny rok 1945” oraz redakcji „Historii 12 pułku Ułanów Podolskich”. Nagrodę teatralną *Dziennika Polskiego* otrzymała p. Irena Delmar. Ponadto przyznano szereg „jubileuszowych nagród pełnolecia”: Bernardowi Czaplickiemu, Marii Drue, Władze Majewskiej, Wojciechowi Piekarskiemu, Stefanowi Sandorowi i Urszuli Świąćickiej. Wszystkie te nagrody zostały ufundowane przez dyrektora Feliksa Laskiego.

5-2-84

Zmarł w Bermaqui (Australia) w wieku 76 lat Zbigniew Jasiński, poeta, pisarz, publicysta, współpracownik *Kultury*. Zbigniew Jasiński w latach 1929-1932 był w Marynarce Wojennej; w latach 1932-1934 w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie; w 1937 roku w Instytucie Bałtyckim w Gdyni; w latach 1938-1939 w zakładzie jachtu „Poleszuk” (Senegal i Gwinea francuska). W 1939 roku wstąpił do ochotniczego korpusu czechosłowackiego gen. Lwa Prchali; ranny; zesłany do obozu Tietkino (Kursk); wydany Niemcom na linii Bugu — zbiegł z transportu. Od 1944 roku żołnierz AK, w czasie Powstania w zespole radiostacji AK „Błyskawica”. Autor głośnej pieśni o Powstaniu „My chcemy broni...”. W 1944-1945 Oflag X-B (Sandbostel), Gandawa, Paryż, Londyn. W 1945-1952 Marynarka Wojenna, PKPR, studia nawigacyjne (Southampton University), praca „clerka”, Marynarka Handlowa. Potem Australia: złoza czarnych opali, szoferka itp.

6-2-84

Dwaj tegoroczni laureaci nagrody Erazma, zwanej „europejskim Noblem”: Raymond Aron i Leszek Kołakowski, przekazali połowę otrzymanej sumy (każda z nagród Erazma wynosi 100.000 guldenów holenderskich) *Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne* na stypendia w Europie Zachodniej dla twórców i uczonych z krajów Europy Środkowo-Wschodniej (łącznie około 30.000 dolarów).

15-2-84

W Galerie Caillou Blanc (10, rue du Roi de Sicile, 75004 Paris) została towarta wystawa obrazów Jana Winczakiewicza-Vinci.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

14. 12. 1983 r. zmarł w Nowym Jorku w wieku 71 lat Jerzy Ptakowski, prawnik i dziennikarz, działacz Stronnictwa Narodowego. ■ Znany krytyk nowojorskiego *Time*, Vincen Canby, zaliczył film Andrzeja Wajdy „Danton” do najlepszych filmów 1983 roku. Natomiast popularny *New York Post* zaszufladkował go jako jeden z najgorszych, jako „nieudolne odmalowanie rewolucji francuskiej”. ■ Na ekrany kin amerykańskich wszedł film „To Be Or Not To Be”, którego akcja toczy się w czasie drugiej wojny światowej w Warszawie. Producentem i głównym aktorem filmu jest Mel Brooks, który m.in. gra Hitlera; jego partnerką w tym filmie jest Anne Bancroft. ■ Random House wydał angielski przekład dziennika Kazimierza Brandysa pt. „A Warsaw Diary 1978-1981”. Na książkę składa się wybór z „Miesięcy”, wydanych w dwóch tomach przez Instytut Literacki w Paryżu. Książka Brandysa miała przychylnie recenzje w tygodnikach *The New York Times Book Review* i *Newsweek*. ■ Z inicjatywy zarządu Muzeum Polskiego w Ameryce powołano w Chicago komitet dla uczczenia niezwykłego już znanego historyka Mieczysława Haimana, urodzonego w Łococzowie, wychowanego we Lwowie, który do Stanów Zjednoczonych przybył w 1913 roku. Zanim zajął się pracą naukową współpracował z szeregiem pism polsko-amerykańskich. W latach międzywojennych został odznaczony orderem Polonia Restituta i Srebrnym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. ■ *The New York Times* ogłosił, że mimo nieustannych napięć społecznych i politycznych w Polsce Urząd Imigracji i Naturalizacji drastycznie odmawia Polakom prawa azylu. Miało to miejsce nawet w czasie trwania stanu wojennego. W 1982 roku odrzucono 1095 podań, przyjęto 102 — czyli odrzucono 90 %. Poseł z dzielnicy polskiej w Brooklynie, Stephan J. Dolarz, zwrócił się z listem do prezydenta Reagana, domagając się zbadania alarmującej liczby odmów azylu Polakom, którzy wobec wydarzeń w Polsce chcą pozostać w Stanach Zjednoczonych. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej wystosował apel o dalsze zbieranie funduszy na pomoc Polsce. Dotychczas, dzięki zabiegom Polonii amerykańskiej, wysłano z różnych źródeł pomoc wartości ponad 40 mln dolarów. W związku z mnożeniem się apeli o pomoc dla „Solidarności” Kongres Polonii Amerykańskiej przyjął patronat nad tą zbiórką, zawiadamiając, że wszystkie datki na „Solidarność” przekazywane są przedstawicielstwu „Solidarności” w Brukseli. ■ Na półkach księgarskich pojawiła się książka kucharska „Nela's Cookbook”, opracowana przez Nelę Rubinstein, a ilustrowana przez Felicję Krance. Książka ta ma m.in. na celu przybliżenie polskiej kuchni do konsumenta amerykańskiego. Wydawcą jest firma Alfred A. Knopf. ■ Dochód z koncertu Wandy Wilkomirskiej i Andrzeja Ratusińskiego, który odbył się w Nowym Jorku, wyniósł 8.502 dolary. Jak informują organizatorzy, suma ta została przekazana podziemnym strukturom „Solidarności” w Kraju. ■ Nakładem wydawnictwa William Morrow & Co. w Nowym Jorku ukazał się album prac Janusza Kapusty, znanego polskiego grafika, pt. „Almost Everybody”. Grafiki J. Kapusty ukazują się od czasu do czasu w *The New York Times*. Przygotowuje on również oprawę graficzną bibliofilskiego wydania Miłosza. ■ Dr Tadeusz Gromada, sekretarz generalny zarządu Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, został wybrany przewodniczącym Polsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Historycznego (PAHA), które jest afiliowane przy American Historical Association. Siedziba PAHA znajduje się w Chicago. ■ Poseł Izby Reprezentantów z Chicago, Tom Corcoran, który zamierza kandydować ze stanu Illinois do Senatu przeciwko senatorowi Ch. H. Persy, republikaninowi, przewodniczącemu Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, zapowiedział zgłoszenie w Izbie niższej projektu

uchwały o formalnym obaleniu porozumienia w Jaćcie. Byłaby to ósma próba formalnego odcięcia się od systemu jałtańskiego. Z postem Corcoranem blisko współpracuje w tej sprawie ruch społeczno-polityczny „Pomost”. ■ National Geographic Society w Waszyngtonie sfinansowała wyprawę „Canoandes 83” w peruwiańskie Andy. Trzon wyprawy stanowili polscy kajakowcy, którzy w 1981 przepłynęli najgłębszy na świecie kanion rzeki Colca. Magazyn *National Geographic* ogłosił artykuł o przygodach i odkryciach tej grupy. ■ W nowojorskim Public Theatre Pappa odbywają się próby sztuki Janusza Głowackiego „Kopciuch” („Cynders”). Sztuka zostanie wystawiona w drugiej połowie lutego bież. roku. ■ W Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku odbył się tradycyjny kiermasz książki polskiej, na którym sprzedaż prowadziły księgarnie i polskie instytucje wydawnicze w Ameryce. Obrót wyniósł około 18.000 dolarów. ■ Ukazał się polski numer miesięcznika *Trilateral Commission*, której dyrektorem był przez szereg lat prof. Zbigniew Brzeziński. Miesięcznik zawiera m.in. prace Leszka Kołakowskiego, Czesława Miłosza i Zbigniewa Brzezińskiego.

KRONIKA FRANCUSKA

21 grudnia z okazji dnia praw człowieka w Parlamencie francuskim przemawiał delegat rządu RP na Francję — p. Ksawery Rey. ■ Stanisław Paczyński został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Legii Honorowej. Paczyński był dyrektorem Polskiego Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val, przez dziesięć lat był redaktorem naczelnym kombatanckiego tygodnika *Syrena*. Obecnie jest prezesem Polskiej Federacji Obronców Ojczyzny i wiceprezesem Konfederacji Europejskiej Byłych Kombatanów. ■ Zmarł Alfred Kastler, jeden z najwybitniejszych fizyków francuskich, laureat nagrody Nobla. Brał on czynny udział w ruchu obrony praw człowieka, jedną z jego ostatnich wypowiedzi było wezwanie o uwolnienie Zbigniewa Romaszewskiego. ■ Z okazji piątej rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II pallotyński ośrodek Centre du Dialogue zorganizował uroczysty wieczór, w którym udział wzięli: Tadeusz Nowakowski, Ewa Osińska i Daniel Olbrychski. ■ 5 stycznia w popularnym we Francji programie telewizyjnym „Résistance” (Antenne 2) został nadany film o Zbigniewie Bujaku. Realizatorzy sfilmowali normalny dzień konspiracyjnej pracy Bujaka. ■ W podparyskiej miejscowości Saint-Maur odbyła się 5 stycznia uroczystość przekazania nagrody pieniężnej dla Lecha Wałęsy przyznanej przez Association de Villages dans la Ville. Nagroda została ufundowana w 1982 roku jako protest przeciwko ówczesnej decyzji Komitetu Nobla. Z upowięzienia Lecha Wałęsy nagrodę odebrał reprezentant Solidarności za granicą — Sławomir Czarlewski. ■ Według ankiety przeprowadzonej przez tygodnik *Paris Match* najpopularniejszymi postaciami we Francji w roku 1983 zostali Lech Wałęsa i Danuta Wałęsowa. ■ Lech Wałęsa zajął również pierwsze miejsce w sondażu popularności zorganizowanym przez Radio France Internationale wśród słuchaczy francuskojęzycznej Afryki. ■ Według informacji Komitetu Pomocy Polakom we Francji zarządzenie francuskich władz rządowych z dnia 14 stycznia 1982, włączające obywateli polskich do kategorii, której przysługuje wolny dostęp do rynku pracy we Francji, jest nadal obowiązujące. Zezwolenie na pobyt zależy od posiadanych środków utrzymania (karty pobytowe na 1 rok, 3 lata, później 10 lat); w przypadku braku odpowiednich środków utrzymania Polacy mogą korzystać z tymczasowych 3-miesięcznych kart pobytu, podlegających stałym przedłużeniom. Francja jest chyba jedynym zachodnim krajem, w którym Polacy korzystają z tak liberalnych przepisów. ■ W wydawnictwie Galli-

mard ukazała się książka Jana Nowaka-Jeziorańskiego „Kurier z Warszawy”. Tłumaczył Jean-Yves Erhel. ■ 20 stycznia odbyła się debata zorganizowana przez ACAT (Action de Chrétiens pour l'abolition de la torture), poświęcona problemom łamania praw człowieka oraz torturom fizycznym i moralnym stosowanym w krajach totalitarnych. W debacie udział wzięła m.in. Danuta Nowakowska z paryskiego Komitetu Solidarności, która przedstawiła sytuację więźniów w Polsce. W obradach uczestniczyło ok. 1.200 osób. ■ Z okazji 151 rocznicy Powstania Styczniowego odbył się uroczysty wieczór w Bibliotece Polskiej. Referat Czesława Paszkowskiego odczytała Emilia Kurcab, a piosenki i melodie z okresu Powstania zaprezentował zespół młodych muzyków i artystów z Paryża. Jerzy Mond mówił o historycznym i politycznym znaczeniu Powstania Styczniowego. ■ Jan Józef Lipski — historyk, krytyk literacki i działacz społeczny, został doktorem *honoris causa* Uniwersytetu w Nanterre. ■ 27 stycznia w Centre du Dialogue w Paryżu etnolog Ludwik Stomma wygłosił odczyt pt.: „Czy chłopi są Polakami”. Odpowiedź prelegenta jest negatywna — w okresie historii dwustu lat chłopi w swojej olbrzymiej większości nie byli świadomymi uczestnikami narodowej i kulturowej wspólnoty i stan taki trwa aż do dzisiaj. W dyskusji większość uczestników nie zgadzała się z głównymi tezami i wnioskami wykładowej. ■ 28 stycznia w klubie przy ul. Legendre odbyło się walne zebranie paryskiego koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Po wysłuchaniu sprawozdań i dyskusji wybrano władze koła. Zmiany są minimalne. W wolnych wnioskach padła propozycja, żeby do Stowarzyszenia Kombatantów przyjmować uczestników obecnego ruchu oporu w Polsce. Wysunięto obiekcje natury formalnej — konieczność zmian statutowych, które mogłyby być wprowadzone dopiero w 1985 roku na Zjeździe Federacji SPK. ■ Z okazji pierwszego zbiorowego wydania wierszy Czesława Miłosza na język francuski (wyd. Luneau Ascot) w paryskim Centre Pompidou odbyło się spotkanie na temat twórczości Miłosza. Udział wzięli m.in.: Konstanty Jeleński, Wojciech Karpiński, Adam Zagajewski, Daniel Olbrychski, Wojciech Pszoniak, Andrzej Seweryn i Pierre Tabard recytowali francuskie przekłady wierszy Miłosza. ■ Centre d'Etudes Polonaises założone przez Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu przy Instytucie Katolickim rozpoczęło cykl tradycyjnych wykładów poświęconych historii i literaturze polskiej (21, rue d'Assas). ■ W École Supérieure du Commerce de Paris miało miejsce dyskusja na temat kina polskiego, w której udział wzięli: Agnieszka Holland, Michel Rawicki, Andrzej Seweryn i Krzysztof Zanussi. ■ Warszawski *Ekspres Wieczorny* oskarżył francuski kontrwywiad o mordowanie polskich emigrantów w Paryżu przy pomocy symulowanych samobójstw. Rewelacje *Ekspresu* wywołały zdumienie w Paryżu, ambasada PRL odmówiła ze swej strony wszelkich komentarzy. W kołach emigracji polskiej nie zauważono tajemniczej epidemii samobójstw. ■ Pierre Joxe, przewodniczący socjalistycznej grupy parlamentarnej we francuskim Zgromadzeniu Narodowym, przebywał w Warszawie z nieoficjalną 48-godzinną wizytą. Warto przypomnieć, że jeszcze w grudniu deputowani grupy socjalistycznej z p. P. Joxe oficjalnie poparli deklarację Komitetu Przeciwko Procesom w Warszawie. ■ Imieniem Lecha Wałęsy nazwano drugą już we Francji ulicę — w podparyskiej miejscowości Rosny-sous-Bois (pierwsza była w Nicei). ■ Bibliothèque Internationale Contemporaine w Nanterre posiada ok. 25 tysięcy polskich książek i dokumentów. Większość dotyczy historii Polski (od 1919 roku), ale Biblioteka posiada również dużo publikacji z zakresu polityki, ekonomii, kultury, religii i nauk społecznych. Biblioteka otrzymuje regularnie 140 periodyków wydawanych w Polsce i około 30 emigracyjnych z całego świata. W ostatnich latach BDIC podjęła wysiłek zebrania ukazujących się w Polsce publikacji podziemnych i oddała już do dyspozycji czytelników powyżej 3.000 tysięcy biuletynów, broszur i pism wydawanych w Polsce w ostatnim okresie. BDIC apeluje do osób, które

posiadają periodyki polskie z okresu międzywojennego bądź aktualne publikacje podziemne i pragnęłyby udostępnić je Bibliotece o skontaktowanie się z serwisem polskim — BDIC, Centre Universitaire, 92001 Nanterre Cedex; telefon: 721 40 22, poste 327.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Jak doniósł dziennik *Globe and Mail* z dnia 6 stycznia 1984 r. Bernard Trela, konsul generalny PRL w Toronto urządził przyjęcie, podczas którego wręczył odznaczenia przyznane obywatelom kanadyjskim za zasługi. I tak ordery zasługi PRL za krzewienie polskiej kultury i wzmocnianie więzów między Kanadą a Polską otrzymali m.in.: Jan Potomski z Chrysler Canada Ltd. w Windsor, Wiktor Falkowski, sekretarz Polskiego Demokratycznego Stowarzyszenia, Mieczysław T. Stelmaszyński, właściciel Montrose Motors Inc. w Niagara Falls. Wyjaśniamy, że tak zwane Polskie Demokratyczne Stowarzyszenie to aktualny sztyl polonijnej grupy komunistycznej. Inne odznaczenia otrzymali pp. Jerzy Pindera, profesor Uniwersytetu w Waterloo, Janusz Solski, przedstawiciel Mutual Amaha Insurance Co. — obaj za udział w wojnie 1939 roku; Ryszard Zacharewicz, pracownik działu planowania miejskiego w Ottawie — Krzyż Powstania Warszawskiego, Samuel White i Beny Sonshine — medale 40-lecia Powstania w getcie w 1943 roku. Jak podaje *Globe and Mail*, Tadeusz Lewandowski, weteran, najbardziej aktywny działacz komunistyczny, kierownik wydawnictwa *Kronika Tygodniowa*, otrzymał „medal PRL upamiętniający stulecie ruchu robotniczego w Polsce”. Pismo wymieniło wśród wyróżnionych medalami i dyplomami Tow. „Polonia” tylko p. Johna Reid-Westona. Jest to znany na tutejszym terenie przemysłowiec pochodzenia polskiego, związany z fabryką zegarków Timex-Canada. ■ Senator Stanley Haidasz podjął akcję zmierzającą do ratowania w Polsce dzieci chorych na krzywicę. Z funduszu zebranego na uratowanie dziecka przywiezionego z Polski na operację pozostała suma ponad 14.000 dolarów, która może służyć do częściowego sfinansowania akcji. Senator Haidasz, który jest lekarzem, sugeruje wyjazd do Polski dr. Bobeczko, chirurga, który stosuje własną metodę operacji krzywizn kręgosłupa, lekarza anestezjologa i pielęgniarki wraz z odpowiednim sprzętem medycznym. W ciągu dwóch tygodni dr Bobeczko zaznajamiały polskich lekarzy ze swoją metodą. Senator Haidasz stara się o pomoc władz państwowych i apeluje o fundusze, które pozwoliłyby na nabycie odpowiednich instrumentów dla polskich szpitali. ■ W University of Toronto odbyła się 27 stycznia obrona pracy doktorskiej „The Image of Polish Society in the Novel of 1930” napisanej pod kierownictwem profesora Louisa Iribarne. Doktorantka, Christine Brown, nie jest Polką ale podobnie jak jej promotor prof. Iribarne jest zainteresowana literaturą polską. Pracę oceniali profesorowie Bohdan Budurowicz z University of Toronto i prof. Stanisław Barańczak — Harvard University. Ten ostatni nie mógł przybyć na promocję. ■ Grupa dziennikarzy kanadyjskich, która utworzyła komitet pomocy polskim dziennikarzom, znajdującym się bez pracy z powodów politycznych, zaprosiła do Toronto na 13 lutego Jacka Kalabińskiego, prezesa warszawskiego oddziału rozwiązanego przez władze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Ma on przedstawić sytuację w Polsce, po czym nastąpi dyskusja. ■ Ministerstwo Spraw Zagranicznych Kanady otrzymało w ostatnich miesiącach minionego roku 87 podań w sprawie pomocy w wprowadzeniu rodzin z Polski. Chodzi o poparcie wobec władz polskich dla uzyskania paszportów i wobec władz kanadyjskich dla otrzymania wiz. Załatwiono pozytywnie do końca grudnia 15 spraw. ■ Konsulat w Warszawie

otrzymał zalecenie udzielania wiz turystycznych niezależnie od wiz udzielanych w ramach łączenia rodzin oraz wypływających z akcji niesienia pomocy uchodźcom. Wizy turystyczne będą jednak udzielane na ściśle określony termin, z zaznaczeniem, iż osoby, które nie wyjadą w terminie będą deportowane. ■ Źródła oficjalne podają, iż w okresie 1980-1983 przybyło do Kanady ogółem 16.292 obywateli polskich. Grupa uchodźców wynosiła 8.708, w tym 5.151 przybyło w ramach akcji rządowej, 2.268 w ramach akcji organizacyjnych i społecznych, 519 samodzielnie, a 770 sprowadzonych było przez rodziny. Ponadto przybyło z Polski do rodzin — 1.281, pozostało w Kaandzie na podsacie różnych zezwoleń — 4.659 osób, a 1.644 osób było sponsorowanych przez rodziny.

1 lutego 1984

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Zainteresowanie szwedzkiej opinii publicznej koncentruje się na rozpoczętej 17 stycznia konferencji bezpieczeństwa, która omawia m.in. dalsze poważne naruszenia szwedzkich wód terytorialnych przez łodzie podwodne oraz skandaliczną norweską aferę szpiegowską, która objęła także Szwecję. Ta mamutowa konferencja, skupiająca przedstawicieli 35-ciu krajów będzie kolejną górą, która urodzi mysz. W okresach wielkiego napięcia żadne wielkie konferencje międzynarodowe nie przynoszą rezultatów: służą jedynie do popisów oratorskich i polemik między głównymi uczestnikami. Także w tym wypadku konferencja posłużyć może jako reklama dla socjaldemokratycznego rządu szwedzkiego, pragnącego odgrywać rolę pomostu między dwoma zwaśnionymi blokami przy pomocy tzw. trzeciego świata. Premier i rząd szwedzki czynią wszystko co w ich mocy, aby mimo gwałcenia szwedzkich wód terytorialnych unormować stosunki z Sowietami. Rząd jednak znajduje się pod silnym naciskiem opinii publicznej i stronnictw opozycyjnych. Konferencja bezpieczeństwa w Sztokholmie pozwoliła Palmemu odbyć dłuższą rozmowę z Gromką. Szwedzki premier miał jakoby powiedzieć Gromyce, że Szwecja będzie „z całą mocą kontynuować zwalczanie łodzi podwodnych naruszających szwedzkie terytorium”, a Gromyko miał go zapewnić, że „terytorialna integralność Szwecji będzie respektowana, a jej granice nie będą gwałcone przez Związek Sowiecki”. Tymczasem prasę szwedzką obiegła wiadomość, podana przez szefa wydziału bezpieczeństwa sztabu szwedzkiego ppłk. Lennarta Borga, że w końcu września ub. roku trzej cudzoziemscy pletwonurkowie, powiązani ze sobą liną i ubrani w wojskowe mundury kamuflażowe, wpłynęli ponad szwedzką zaporą minową w wojskowy pas obronny zakazany dla nurków i zniknęli, zanim zdołano ich złapać. Aroganckie i bezkarne zachowanie Sowietów na szwedzkim terytorium budzi wiele komentarzy w kraju i za granicą. Komandor Lennart Forsman, b. szef głównej bazy marynarki wojennej w Karlskronie, w długim artykule ogłoszonym 8 lutego w *Svenska Dagbladet* wyraża pogląd, że „Sowiety jako supermocarstwo nie są przyzwyczajone do ustępstw wobec małych narodów i uważają je za poniżające”. Gdy w 1981 roku sowiecka łódź podwodna osiadła na skałach na terytorium szwedzkim, pomimo ostrych sprzeciwów zmuszono Rosjan do szeregu ustępstw, co im się wyraźnie nie podobało. Dobrym sposobem okazywania tego niezadowolenia jest lekceważenie szwedzkich protestów. ■ Centralna Rada Łotewska z siedzibą w Sztokholmie zwróciła się 11 lutego br. do szwedzkiego ministra spraw zagranicznych z prośbą o ochronę łotewskich uchodźców przed sowieckim szpiegostwem. W sprawę zamieszany jest *attaché* ambasady sowieckiej w Sztokholmie, którego wydalenia domagała się szwedzka policja. ■ Na wspomnianej wyżej

konferencji bezpieczeństwa George Shultz poruszył sprawę Raoula Wallenberga, wywołując tym duże poruszenie. Obecny gabinet szwedzki zachowuje w tej sprawie milczenie. Zdaniem prasy uważa on, że „sprawa ta została poruszona w nieodpowiedniej chwili”. ■ Opera sztokholmska wznowiła operę Wagnera „Tannhäuser” z Jadwigą Kobą w czołowej roli Elżbiety. Jadwiga Koba, wychowana w Szwecji córka polskiego działacza niepodległościowego z Västeras, uzyskała bardzo pochlebne recenzje. Również choreografia była w polskich rękach, mianowicie Stanisława Brzozowskiego. ■ Fińska policja bezpieczeństwa bada szeroko rozgałęzioną akcję przerzutu do Związku Sowieckiego niezależnych wydawnictw i Biblii w języku rosyjskim. Jak donosi prasa, kurierzy byli specjalnie szkoleni przez jakąś organizację religijną w Helsinkach. ■ Między 24 a 26 stycznia br. przebywał w Sztokholmie Janusz Onyszkiewicz. Był on zaproszony jako matematyk przez Uniwersytet Sztokholmski. W czasie pobytu w Szwecji Onyszkiewicz spotkał się z premierem Olofem Palme. ■ 28 stycznia odbyło się wreszcie, po trzech latach, zwykłe walne zebranie delegatów Rady Uchodźstwa Polskiego. Ustupujący zarząd, którego prezesem był inż. Henryk Malinowski, nie otrzymał absolutorium (25 głosów przeciw, jeden wstrzymujący się). Ustupającemu prezesowi zarzucono samowolne postępowanie, sprzeczne z regułami przyjętymi w kręgach emigracji niepodległościowej. Wybrano nowy zarząd RUP w osobach: Zygmunt Kraczkowski — prezes (jest on poza tym prezesem sztokholmskiego Koła SPK), Stefan Trzciniński — wiceprezes, Tadeusz Nowakowski — sekretarz, Leszek Kukulski — skarbnik oraz członkowie zarządu Zofia Stadfors, dr med. Zygmunt Stankiewicz, Leszek Andziak, Kazimierz Kuźnik, Stanisław Trociński. Z wyjątkiem Zofii Stadfors, która należała do RUP od początków tej organizacji, prawie wszyscy należą do nowej emigracji. ■ *Svenska Dagbladet* donosi, że na Litwie zebrano pod kościołami 132.000 podpisów protestujących przeciw aresztowaniu w ub. roku litewskich księży katolickich Alfonsasa Svarinskasa i Sigitasa Tamkevičiusa. Podpisane listy protestacyjne doręczone zostaną rządowi sowieckiemu.

Norbert ŻABA

Z OSTATNIEJ CHWILI

Prymas Glomp przeniósł ks. Mieczysława Nowaka, wikarego w kościele św. Józefa w Ursusie na probostwo we wsi Łęki Kościelne koło Kutna. Ks. Nowak był niezmiernie popularny wśród robotników Ursusa (12 tys. robotników), których duszpasterzem był przez 6 lat; ostatnio przesłuchiwany był przez UB na temat swojej działalności, zaś w styczniu br. był upomniany przez Prymasa, żeby swoją działalność ograniczył wyłącznie do spraw czysto kościelnych. W „Ursusie” zawiązał się komitet w obronie ks. Nowaka, domagający się jego powrotu do „Ursusa”, a jednocześnie 12-tu robotników rozpoczęło głodówkę w aneksie kościoła „Ursusa”. Podobne rozmowy Prymas odbył również z ks. Popiełuszko z warszawskiej parafii św. Stanisława Kostki i z ks. Jankowskim z Gdańska. ■ Prymas Glomp wyjechał do Brazylii i Argentyny na zaproszenie tamtejszych polskich misji katolickich; ma wizytować w obu krajach ośrodki polonijne. W podróży towarzyszy mu bp Jerzy Dąbrowski. Podróż Prymasa w kołach kościelnych w Rzymie wywołała zdziwienie i negatywne komentarze, gdyż w aktualnej sytuacji obecność Prymasa w Kraju wydawałaby się niezbędna. Podobne zdziwienie wywołuje wzmoczone zainteresowanie bpa Dąbrowskiego sprawami polonijnymi (jego niedawna wizyta w USA), podczas gdy w Rzymie urzęduje „opiekun

emigracji" bp Wesoły. ■ W Warszawie mówi się, że ks. Orszulik, znany rzecznik Episkopatu, ma w niedługim czasie otrzymać sakrę biskupią i objąć jedną z wakujących diecezji.

PIRACKIE METODY PAXOWSKICH „KIERUNKÓW”

Wychodzący w Warszawie paxowski tygodnik *Kierunki* rozpoczął w styczniu br. druk książki „Raporty. Polska 1945-1946” ambasadora E. Reale, która została wydana przez Instytut Literacki w 1968 roku w Bibliotece „Kultury” w serii „Dokumenty”. *Kierunki* nie tylko przedrukowują z naszego wydania poszczególne raporty, odpowiednio wybrane, aby wyeliminować tematy dla PRL niewygodne, ale ponadto wykorzystują część naszej przedmowy, opuszczając jedynie fragment, że ambasador Reale wkrótce po zakończeniu swojej misji dyplomatycznej *wystąpił z włoskiej partii komunistycznej*. Dla zmylenia czytelnika, który naszego wydania nie zna, *Kierunki* tak spreparowały swój wstęp i naszą przedmowę, że dają wyraźnie do zrozumienia iż to one „odkryły” „Raporty”, przetłumaczyły je i drukują za zgodą autora.

Zaprotestowaliśmy przeciw tym metodom listem poleconym z dn. 26 stycznia, domagając się wyjaśnienia i natychmiastowego przerwania druku. List pozostał bez odpowiedzi, a „Raporty” dalej się drukuje. Tego rodzaju metody nie są przyjęte w *cywilizowanym* świecie i świadczą jak głęboko postępuje sowietyzacja w PAX-ie, mimo natrętnego podkreślania swego katolicyzmu.

„USPIENIE” POLSKIEGO PEN-KLUBU

Zarząd międzynarodowy PEN wysłał w dniu 14.2.1984 do ministra kultury PRL Kazimierza Żygulskiego telegram następującej treści:

„Komitet Administracyjny Międzynarodowego PEN, na skutek niemożności zwołania zebrania swego komitetu do spraw polskiego PEN w myśl decyzji powziętej przez kongres międzynarodowy ośrodków PEN w Caracas, postanowił ogłosić „uspienie” polskiego ośrodka PEN do czasu innego postanowienia w tej sprawie. W myśl tego postanowienia żadna akcja powzięta w imieniu tego ośrodka nie będzie uznana za miarodajną przez PEN międzynarodowy”.

(Podpisani: PER WASTBERG, prezes międzynarodowy, ALEXANDRE BLOKH, sekretarz międzynarodowy).

Listy do Redakcji

Paryż, 1 lutego 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przy długotrwałych i ogólnie znanych symptomach, diagnozy są nadal bardzo różne i często sprzeczne. Nieśmiało proponowane metody leczenia, to jedynie błędzenie po omacku w labiryncie paradoksów i dalszych sprzeczności. I jakby, może mimowolne, wyczekiwanie na pogłębienie się choroby, na dalsze komplikacje.

Ostatnio, przynajmniej główne źródło bólu zostało rozpoznane i umiejscowione. Diagnoza wydaje się autorytatywna, więc chyba trafna, choć tylko wzmagają cierpienia.

Mam na myśli artykuł zatytułowany „Ostpolitik” Watykanu” (*Kultura* nr 1-2, 1984): Dominik Morawski, powołując się na H. J. Stehle’a, twierdzi, że polityka ta ma wykazać, iż „... Kościół silny, taki jak polski, nie destabilizuje żadnego reżymu, ale przeciwnie (zdolny jest do mobilizowania sił moralnych w każdym ustroju)”.

(Drugą część tego zdania pozwoliłem sobie ująć w nawias, gdyż — w przeciwieństwie do pierwszej, konkretnej i niestety potwierdzonej faktami — jest nieprzejrzysta: „Siły moralne”? Po czyjej stronie? I — czyje? W tym wypadku, przemocą narzuconej i na przemocę opartej władzy? zamordystów, skorumpowanych aparatczyków i karierowiczów? policji tajnej i mundurowej? straży więziennej, dosłownie i w przenośni? załganych „rzeczników” i podległych im środków przekazu? czyje jeszcze? Bo przecież nie uciemiężonego społeczeństwa!)

Pewne wydarzenia, ich miejsca, daty, chronologia, zaczynają zwolna układać się w logiczny łańcuch przyczyn i skutków. Na przykład: Z jednej strony zaskakujące nieraz i zdumiewające oświadczenia i posunięcia polskiego Episkopatu — z drugiej utrzymanie przez reżym, nawet w stanie wojennym, uprzywilejowanej pozycji Kościoła; dalej — podróże do Polski abpa Poggi’ego oraz, może częstsze niż niegdyś, wyjazdy Prymasa i biskupów do Rzymu (i nie tylko); druga pielgrzymka Papieża odbyta *de facto* na sowieckich warunkach, dziwne okoliczności spotkania z Wałęsą, tzw. „zagadka ostatniego dnia” — itd., itp. (Wydaje się, że jednak dobre miał informacje ks. red. V. Levi, tylko niefortunne — bo nie uzgodnione — były termin i forma ich opublikowania).

Zrozumiałe jest teraz także, że Kościół nie chciał opowiedzieć się bez zastrzeżeń za Solidarnością, gdyż ta mogła przecież „zdestabilizować reżym”, ergo podważyć watykańską „Ostpolitik”. To samo odnosi się do żądania zwolnienia *wszystkich* więźniów politycznych, przestrzegania praw ludzkich i praw w ogóle, odkłamania życia publicznego, zaprzestania terrorku i kolonialnego wyzysku. (Kościół takie dezyderaty wprowadzić wysuwał, lecz nigdy dostatecznie stanowczo, a zawsze nie w pełni skutecznie). Bowierni praworządność, sprawiedliwość, prawda i ład społeczny — nie mówiąc już o „podmiotowości” narodu — *ten reżym muszą „destabilizować”*.

Każda zachodnia „Ostpolitik” czy „otwarcie na Wschód”, były *a priori* zagrożeniem naszych interesów a nawet bytu narodowego. Również *détente*, zwłaszcza w sonnenfeldtowskiej wersji. I taką właśnie wydaje się obecna polityka Watykanu. To nie żadna terapia, to nawet nie eutanazja: to najwyżej przyspieszanie śmierci pacjenta, ale bez uśmierzania jego cierpień.

Tak te sprawy odbieram i odczuwam. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby przyszłość dowiodła, iż jestem od a do z w błędzie.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia

Jacek K. MACHNIEWICZ

P.S. Co najmniej od 1939 roku Nauka O Miłości Nieprzyjaciół wymaga nowej, przystępnej interpretacji. I z tym drugim policzkiem, to też coś nie tak...

Szanowny Panie Redaktorze!

W kilku ostatnich numerach *Kultury* czytelnik nie mógł nie zauważyć braku kroniki ukraińskiej i był tym słusznie zdziwiony. Nad doniosłym znaczeniem takich rubryk, umożliwiających czytelnikowi przegląd najistotniejszych zdarzeń po stronie sąsiada nie warto się rozwodzić — tak bardzo jest ono oczywiste. Trzeba więc z radością powitać wznowienie kroniki ukraińskiej w nr. 1/436-2/437 *Kultury*. Wymaga ona jednak pewnego uzupełnienia.

1. Ukraińcy i Polacy

Bardzo cenną jest wiadomość o stanowisku Wasyla Stusa do wydarzeń w Polsce i zacytowanie jego słów, które przedostały się na Zachód z dalekiej Kołomy. Nie mniej ważne jest odnotowanie działalności grona ludzi przy Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Monachium, którzy poświęcili się badaniu stosunków polsko-ukraińskich. Ale jeszcze ważniejsze byłoby poinformowanie czytelnika o pracy na temat kształtowania dziś i w przyszłości, tych stosunków między obu narodami, którą systematycznie od kilku lat prowadzi Towarzystwo Polsko-Ukraińskie czy Ukraińsko-Polskie w Paryżu i w Londynie. Nie zawsze jest to praca wdzięczna i łatwa, jest ona jednak fundamentalna, bo wytycza kierunki i buduje mosty zblżenia między obu narodami.

2. Ukraińcy i Żydzi

Podobne uwagi nasuwają się w związku z notatką o konferencji w Hamiltonie w Kanadzie. Owocny wynik tej konferencji jest niezwykle ważny i każdego odpowiedzialnego członka ukraińskiej diaspory ucieszy wiadomość, że Ukraińcy i Żydzi zdołali usiąść spokojnie przy wspólnym stole i z rozwagą wdać się w omawianie tematów nie zawsze przyjemnych i łatwych. Ale że się na to zdobyli!

Nie można jednak zgodzić się z autorem, gdy mówi: „... tylko nieliczni Żydzi z nowej emigracji przyłączyli się do Ukraińców...” i wylicza aż trzech żydowskich autorów cennych prac. Nie myślę, by odprężenie stosunków ukraińsko-żydowskich i żydowsko-ukraińskich mogło się dokonać przez „przyłączenie” nawet licznych Żydów do Ukraińców. W naszym uporczywym dążeniu do przeobrażenia inercji, za jaką jest traktowana historyczna wrogość między obu narodami we wzajemne zrozumienie chodzi o coś innego. Chodzi o to, by każdy z nas, trwając przy swoim zdaniu, zmienił nastawienie i spokojnie dokonał przeglądu przeszłości. Nie należy się starać o zmianę po-

stawy sąsiada, lecz o ukształtowanie własnej postawy tak, by przybrała wygląd ludzki.

Pod tym względem nie można nie odnotować kolosalnej pracy, którą wykonał i dalej wykonuje w Jerozolimie Jakow Suszenskyj (z najnowszej emigracji!). Stworzone tam kilka lat temu Towarzystwo Współpracy Żydowsko-Ukraińskiej dokonało cudów na polu organizacyjnym i to w kołach społeczeństwa nie chcących przedtem nic słyszeć o Ukraińcach, traktując ich za śmiertelnych wrogów narodu żydowskiego. Pod koniec ubiegłego roku, przed konferencją w Hamiltonie, J. Suszenskyj odwiedził ośrodki ukraińskie w Londynie, Paryżu i Monachium w celu poinformowania o pracy dokonanej w Izraelu i zacieśnieniu przyjaźni z Ukraińcami w Europie. Już wcześniej, kilka lat temu, pojechał do Północnej Ameryki i odwiedzał tam główne ośrodki ukraińskiej kolonii.

Na takim właśnie tle doszło do zorganizowania owocnej konferencji w Hamiltonie.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Wasyl MYCHALCZUK

Londyn, 10 stycznia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 12/435 z 1983 r. *Kultury* w korespondencji z Rzymu p. Dominik Morawski — omawiając inicjatywę Rektora Ks. H. Fokcińskiego T.J. — urzędnika w Papieskim Instytucie Studiów Kościelnych (*Pontificio Istituto degli Studi Ecclesiastici*) stałej wystawy dorobku 2-go Polskiego Korpusu na odcinku kulturalnym, m.in. tak pisze:

„Zwrócił się w tej sprawie (tj. Ks. Fokciński) o pomoc do SPK w Londynie. Otrzymał odpowiedź odmowną. Starsi panowie, na pewno zasłużeni, ale mocno w tyle za biegiem czasów, uznali tę placówkę za 'reżymową'. Obłąd”.

Rzeczywiście obłąd.

W ostatnich dniach czerwca 1983 roku rozmawiałem z Ks. Fokcińskim na temat jego inicjatywy. W rozmowie tej powiedziałem:

- inicjatywa znakomita,
- czas przygotowania na maj 1984 jest zbyt krótki,
- SPK nie dysponuje materiałami przydatnymi na wystawę; skoro Inicjator — pomimo trudności — chciałby otworzyć wystawę na 40-tą rocznicę Bitwy o Monte Cassino sugerowałem, aby zwrócił się do Pana, Panie Redaktorze, o udostępnienie materiałów archiwalnych, które — jak sądzę — są w Pańskim posiadaniu.

— Zobowiązuję się po powrocie do Londynu sprawę przedstawić Zarządowi Federacji Światowej SPK i Radzie Organizacji Kombatanckich PSZ, co uczyniłem i co zostało przyjęte, a SPK wyasygnowało £100.00 z bieżącego budżetu na pomoc w urządzaniu wystawy.

Nie sądzę, Panie Redaktorze, aby to, co powiedziałem w rozmowie z Ks. Fokcińskim w czerwcu 1983 roku mogło być potraktowane jako odrzucenie jego inicjatywy oraz postawienie zarzutu, że Instytut jest „reżymowy” i ocenione przez p. Morawskiego jako „obłąd”.

Uprzejmie proszę o opublikowanie listu.

Łączę wyrazy szacunku

Zygmunt SZADKOWSKI
Sekretarz Generalny
Stowarzyszenia Polskich Kombatantów
(Zarząd Federacji Światowej)

Rzym, 6 lutego 1984.

Drogi Redaktorze,

Z okazji przypadającej w maju bieżącego roku 40-tej rocznicy bitwy o Monte Cassino, ks. H. Fokciński już na jesieni 1982 roku zwrócił się do Zarządu SPK, za pośrednictwem przedstawiciela SPK na Włochy, nie tylko z prośbą o pomoc, ale z propozycją wspólnego urządzenia wystawy o działalności kulturalnej, zwłaszcza wydawniczej, 2-go Korpusu. Prosił także o wydanie apelu do wszystkich osób, organizacji i instytucji posiadających w zbiorach książki, czasopisma, mapy, wycinki prasowe, pocztówki i znaczki okolicznościowe, fotografie itp., o wypożyczenie tych materiałów na czas trwania wystawy. Wychodził z założenia, że SPK, mając rozeznanie w tym zakresie, potrafi aktywnie współdziałać w udostępnieniu eksponatów. Zarząd SPK zwlekał z odpowiedzią i mimo ponaglenia dopiero 1 lipca 1983 roku p. Z. Szadkowski „faktycznie wykazał zainteresowanie dla tej inicjatywy, chociaż do niczego konkretnego nie zobowiązał się” — stwierdza interpelowany przeze mnie ks. Fokciński. Zarząd SPK odpowiedział 5 września 1983 roku, że termin dla przygotowania wystawy jest zbyt krótki. Ks. Fokciński w piśmie z 19 września przypomniał Zarządowi SPK, że z górą rok temu podjął tę inicjatywę. Wobec negatywnego ustosunkowania się SPK, zdecydował zorganizowanie wystawy własnymi siłami. Sprawa pomocy finansowej była w rozmowie z p. Z. Szadkowskim „poruszona na ostatnim miejscu”. Zarząd SPK wyasygnował faktycznie sumę 100 zł.

Jak wynika z wyżej podanej rekonstrukcji faktów, opartej na dostępnej dokumentacji, postępowanie Zarządu SPK równa się — praktycznie biorąc — odmowie wspólnego zorganizowania wystawy oraz rezygnacji z udzielenia pomocy w zgromadzeniu eksponatów. W tym stanie rzeczy kursująca w tutejszym polskim środowisku opinia, przyczepiająca Papieskemu Instytutowi Studiów Kościelnych epitet placówki „reżymowej”, wyjaśnia motywy niedoszedłego do skutku współdziałania pomiędzy inicjatorem wystawy i SPK.

Dominik MORAWSKI

W.P. Gustaw Wiśniewski
Napoli, Via Crispi 69.

4 stycznia 1984.

Szanowny Panie!

Przepraszam za przypisanie Panu na kopercie obcego nazwiska, ale mam nadzieję, że dzięki temu list ten dotrze do Pana. Aby chociaż w części rozwiać moją anonimowość, przedstawiam się. Nazywam się Waldek T., jestem wiernym czytelnikiem Pana książek. Większość czasu zawsze poświęcałem fizyce, nie miałem więc czasu roztrząsać problemów społecznych i politycznych, a mimo to bardzo wcześnie odczułem wszechogarniające zniewolenie i niemalże dotykający strach przed zniszczeniem i zniżeniem mojej osobowości.

W jaki sposób odpierać ze wszech stron nacierające zło, gdy nawet w domu rodzinnym i w Kościele uczą przystosowywania się do „trudnych obiektywnych warunków życia”?

W jaki sposób bronić się przed uczuciem zbędności wszelkiego twórczego działania, gdy na każdym kroku widoczne jest marnowanie energii ludzkiej, a najszlachetniejsze czyny i dzieła giną w bagnie podłości i głupoty?

Zacząłem zdawać sobie sprawę, że skoro w moim umyśle możliwe jest jeszcze zadawanie takich pytań, to muszę jak najszybciej wytworzyć mechanizmy, które broniłyby mnie przed atakującym złem. Aby takie mechanizmy mogły sprawnie i trwale funkcjonować, musiałem zbudować mocne podstawy

ich działania. Podstawą tą było dla mnie uświadomienie sobie, iż mieszkam w kraju, który pozbawiony jest niepodległości i jest częścią sąsiadującego z nim mocarstwa. Muszę przyznać, że ten oczywisty oraz dla mnie fakt przyjmowałem wówczas z pewnym rozgoryczeniem, wynikającym z tego, że zazdrościłem tym ludziom, którzy zrodzili się w wolnej ojczyźnie i mają normalne warunki dla własnego rozwoju duchowego. Po tym pierwszym kroku przyszedł następny: całkowite odseparowanie się od gazet, czasopism, telewizji i wreszcie „literatury” pr-owskich pisarzy (prawdziwa i wartościowa literatura krajowa obejmuje niewielu pisarzy). Pamiętam, jaka ogarniała mnie złość, gdy przypominałem sobie, że kiedyś musiałem czytać w szkole średniej „Popiół i diament” i że wówczas wierzyłem, że komunista może być także uczciwym człowiekiem. Dzisiaj już nie mam takich złudzeń, za wiele doświadczyłem pomimo młodego wieku, a Andrzejewskiemu mam za złe, że do końca życia pozwalał na wydawanie w wielotysięcznych nakładach tej książki, która robi i zapewne będzie robić tyle zamętu w młodych umysłach.

Od końca lat 70-tych zaczął się mój bezpośredni kontakt z literaturą emigracyjną. Poprzednio tego i owego dowiadywałem się z radia Wolna Europa, ale były to wiadomości fragmentaryczne i ograniczały się do „Gułagu” Sołżenicyna i poezji Wierzyńskiego, o którym krążyły w kraju legendy. Zwłaszcza mocno utkwiał mi w pamięci wiersz Wierzyńskiego o chłopcu, który dokonał samospalenia w centrum Pragi na znak protestu przeciwko wkroczeniu wojsk sowieckich w '68 roku. Na młodym chłopaku, który chodził wtedy do szkoły średniej, wiersz ten zrobił kolosalne wrażenie, które mogę dzisiaj jedynie zestawić z szokiem, jakiego doznałem po przeczytaniu „Innego świata” Pana autorstwa. Gdy znalazłem się na studiach, początkowo (przed powstaniem Solidarności) utwory emigracyjne były trudno dostępne, ale już wówczas pojawiły się niektóre dzieła Gombrowicza. Dopiero nieco później drukowano niemal masowo pisarzy emigracyjnych, a mimo to popyt był tak duży, że trzeba było mieć wielu przyjaciół, aby skompletować sobie chociaż skromną biblioteczkę. Zainteresowanie Pana twórczością było i jest ogromne (zwłaszcza wśród ludzi młodych). Książki Pana są dosłownie rozchwytywane od razu po ukazaniu się, tak że trzeba wykazać wiele cierpliwości, aby zapoznać się chociaż pobieżnie z Pańskim piarstwem. A wydawnictwa niezależne w okresie Solidarności — ale i teraz podziemne — nie potrafią temu przeciwdziałać. „Dziennik pisany nocą” wydany w '83 roku przez NOW-ą jest niemal nie do zdobycia (obejmuje lata 73-79), a przecież coraz więcej osób dowiaduje się o tym, że autor „Innego świata” pisze tak ciekawe „Dzienniki”.

Polacy cenią Pana nie tylko za twórczość — świadectwo naszych trudnych czasów — ale również za zajmowaną przez Pana bezkompromisową postawę wobec reżimu komunistycznego w kraju.

Dowiedzieliśmy się ostatnio (Z. Lichniak w książce o literaturze emigracyjnej wydanej przez PAX), co przysporzy Panu zapewne popularności, że należy wydawać w Polsce jak najwięcej autorów literatury emigracyjnych i nadrobić w ten sposób dawniejsze zaległości, ale antykomunistyczna twórczość Herlinga-Grudzińskiego, Łobodowskiego, J. Mackiewicza musi w tych planach wydawniczych zostać pominięta.

Ja chciałbym teraz szczerze Panu podziękować za Pańską twórczość, niezależnie od tego jak i gdzie będą ją nazywać. Pan a również Pański przyjaciel, poeta Z. Herbert, umacniają we mnie przekonanie, że warto czasami stać nawet na przegranych pozycjach, aby ocalić coś, czego nigdy nie zrozumieją ludzie mali i podli.

Szczerze Panu wdzięczny

Waldek T.

Londyn, 8 stycznia 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze *Kultury* z grudnia 1983 roku w artykule pióra p. Witolda Rysera-Szymańskiego pt. „Granice ekspansji” autor dokonuje analizy obecnej sytuacji światowej, wyciągając wnioski dla polityki zachodniej nader optymistyczne oraz podkreśla trudności, z którymi walczyć musi kierownictwo sowieckie. W końcowym ustępie artykułu autor co prawda ostrzega przed nadmiernym optymizmem, ale postulat ten wydaje się mało przekonujący, skoro nie został on poparty jakimś merytorycznym uzasadnieniem.

W tych warunkach wydaje się, iż poprzez złagodzenie pewnych argumentów optymistycznych oraz wprowadzenie aspektów nie objętych omawianym artykułem, może by należało zapobiec zbyt daleko idącym wnioskom.

Artykuł zaczyna się od słusznego stwierdzenia, że tzw. ruchy pokoju w Europie nie zapobiegły umieszczeniu na terenie Zachodniej Europy amerykańskich rakiet nuklearnych. Natomiast autor pomija w swym rozumowaniu fakt, że akcja pacyfistów nie kończy się na serii masowych demonstracji organizowanych przed przybyciem rakiet, że np. w Wielkiej Brytanii jest ona nadal kontynuowana, a w Niemczech Zachodnich zdobyło pewne wpływy polityczne stronnictwo „zielonych”, myślące podobnymi kategoriami. Przy systemie dwupartyjnym istnieje zawsze możliwość uzyskania nieproporcjonalnego wpływu przez nawet nieliczne trzecie ugrupowanie.

Podsumowując swe wywody w przedostatnim ustępie artykułu, autor dostrzega „wrogię nastawienie całego świata muzułmańskiego wobec Moskwy”. Tu już naprawdę przecieram oczy. Jeśli można zdanie takie odnieść np. do Pakistanu, to wciąż dalecy jesteśmy od całości świata muzułmańskiego. Syria i Libia są bezspornie prosowieckie, Iran jest od czasu powrotu Chomejniego przede wszystkim antyamerykański. Świat arabski za głównego wroga uważa Izrael, wszechstronnie wspierany przez USA. Egipt znalazł się w świecie arabskim „na cenzurowanym” właśnie za zawarcie pokoju z Izraelem.

Gdyby się na tym zakończyło uwagi odnośnie przedstawionej w artykule argumentacji, dodać by należało w ocenie sytuacji światowej oczywistą luką jest pominięcie Ameryki Łacińskiej, gdzie dawniej Sowiety dysponowały jedynie bazą na Kubie, a obecnie wpływy swe bardzo rozszerzyły.

Jak się wydaje, powyższe uzupełnienia przyczynić się mogą do wzmocnienia wysuniętego przez autora postulatu ostrożności i umiarkowania w formułowaniu optymistycznych wniosków.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Stanisław WĄSIK

29 stycznia 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W liście omawiającym mój artykuł pt.: „Granice ekspansji”, zamieszczony w *Kulturze* z grudnia 1983, p. Stanisław Wąsik zarzuca mi, że wyciągam „wnioski nader optymistyczne dla polityki zachodniej” i proponuje „złagodzenie pewnych elementów optymistycznych”. Nie zauważa on, jak mi się wydaje, zmiany jaka zaszła ostatnio w stosunku głównych państw zachodnich do Rosji Sowieckiej. Nie ulega wątpliwości, że państwa te — Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy Zachodnie, Anglia, Włochy — zajmują obecnie o wiele bardziej zdecydowaną pozycję wobec Moskwy niż ta, jaką zajmowały kilka lat temu. Na szczególną uwagę zasługuje nowa polityka

rządu socjalistycznego Francji i twarde stanowisko jej prezydenta wobec Moskwy. Jeśli chodzi o Amerykę: można krytykować pewne posunięcia prezydenta Reagana i pewne jego przesadne wypowiedzi, ale nie można nie zauważyć, że Waszyngton zajmuje obecnie wobec Moskwy stanowisko aktywne, oparte na lepszym zrozumieniu ostatecznych celów władzy sowieckiej. Wydaje mi się, że w świecie zachodnim nastąpiła ogólna zmiana klimatu politycznego na niekorzyść Moskwy, spowodowana agresywnością Sowietów. Właśnie ta zmiana zdecydowała o niepowodzeniu sowieckiej ofensywy propagandowej i politycznej przeciwko rozmieszczeniu amerykańskich rakiet nuklearnych w Zachodniej Europie. To jest główne źródło mojego optymizmu.

Jeśli chodzi o tzw. ruch pokoju — owszem, akcja ta trwa, ale konkretnego jej wpływu na ogólną sytuację jakoś nie widać. Działalność „zielonych” w Niemczech Zachodnich przyczyniła się do pewnego przesunięcia się partii socjaldemokratycznej na lewo i do zwiększenia wpływów takich ugodowo nastawionych wobec Moskwy polityków jak W. Brandt. Ale, jak dotychczas, nie zmniejszyło to wcale popularności obecnego rządu.

Moje twierdzenie o wrogim nastawieniu całego świata muzułmańskiego do Moskwy zmusza p. Wąsika do „przetarcia oczu”. Po dokonaniu tej operacji p. Wąsik pisze: „Syria i Libia są bezspornie prosowieckie, Iran jest przede wszystkim antyamerykański od czasu powrotu Chomejniego. Świat arabski za głównego wroga uważa Izrael, wszechstronnie popierany przez USA. Egipt znalazł się na cenzurowanym właśnie za zawarcie pokoju z Izraelem”.

Wątpię bardzo, by Syria i Libia miały być „bezspornie” prosowieckie, zwłaszcza ta ostatnia. Ale nawet jeśli przyjmiemy tę tezę, będziemy mieli tylko dwa prosowieckie państwa muzułmańskie. A gdzie reszta? Wyraźnie antysowiecki jest Afganistan, walczący przeciw Moskwie, Iran, który zlikwidował u siebie prosowiecką partię komunistyczną *Tudeh* i pomaga powstańcom w Afganistanie, dalej: Indonezja, Turcja, Jordania, Egipt i prawie wszystkie emiraty arabskie Bliskiego Wschodu, łącznie z Arabią Saudyjską, żadnej miłości do Sowietów nie czują. To samo można powiedzieć o zachodnich państwach arabskich, tj. o całym Magrebie. Nie jest prawdą, że świat arabski za swego głównego wroga uważa Izrael; gdyby tak było, wszystkie państwa arabskie zajmowałyby bardziej aktywne stanowisko wobec Izraela. Naprawdę wrogą postawę wobec Izraela zajmują tylko Palestyńczycy, Iran i bezpośredni sąsiedzi Izraela (z wyjątkiem Egiptu). Wrogość pozostałych państw muzułmańskich jest teoretyczna. Izrael dla świata muzułmańskiego — ja mówiłem właśnie o świecie muzułmańskim, a nie o arabskim — jest poważnym problemem regionalnym, oczekującym rozwiązania. Natomiast niebezpieczeństwo sowieckie jest dla wszystkich mahometan problemem ogólnym o pierwszorzędnej wadze. Problemu tego nie należy nie doceniać teraz, gdy w świecie muzułmańskim dokonują się ogromne zmiany socjalne i gospodarcze, m.in. także w muzułmańskich republikach Związku Sowieckiego.

Ostatni punkt w liście p. Wąsika: Ameryka Łacińska, „gdzie dawniej Sowiety dysponowały jedynie bazą na Kubie, a obecnie wpływy swe bardzo rozszerzyły”. Ma p. Wąsik częściowo rację, w tym sensie, że Moskwa rzeczywiście stara się rozszerzyć swe wpływy w Ameryce Centralnej. Sytuacja w tej części świata jest niejasna. Lepiej więc poczekać z ostateczną oceną.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Witold RYSER-SZYMAŃSKI

Londyn, 29 grudnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam nadzieję, że zechce Pan umieścić moją odpowiedź na list Pani H. Świdorskiej (*Kultura* nr 12, 1983) w części mnie dotyczącej, a w której to zarzuca mi, wprawdzie w formie bezosobowej, mijanie się z prawdą. Załączam fotokopię jej listu z dnia 21 stycznia 1982 skierowanego do dr Marty Spohn, ówczesnej przewodniczącej Komisji Bibliotecznej. List brzmi jak następuje:

„Szanowna Pani. Dziękuję uprzejmie za zaproszenie mnie na zebranie Komisji Bibliotecznej. Żałuję, że nie mogę go przyjąć: jak wyjaśniłam w moim liście z 27 września ub. roku, nie mogę po noc wracać do domu.

A *propos* tego listu: wydawałoby się, że odpowiedź pisemna na kwestie poruszone pisemnie byłaby rzeczą właściwą. Czyżbym się myliła?

Pozostając z poważaniem (—) *Hanna Świdorska*”.

To jest ostatni list w tej sprawie p. H. Świdorskiej, na jaki trafiłem, a więc najbardziej wiążący w motywacji. Zwykle powtarza się najistotniejsze argumenty. Nie szukałem zatem wcześniejszych listów w tej sprawie. Był on wysłany w cztery miesiące później od poprzedniego, na który powołała się p. H. Świdorska i który zawierał *osobistą i odosobnioną* opinię Autorki. Nikt z członków Komisji nie podzielał jej opinii, prawdopodobnie z przyczyn lepszej znajomości tematu.

W innych sprawach (fundusz na zakup pótek i spadek śp. Krzyżanowskiej) odpowiedzą członkowie władz POSK-u z tego okresu, bardziej kompetentni ode mnie w sprawach gospodarki finansowej, tym bardziej że w tym okresie nie byłem przewodniczącym Komisji Bibliotecznej.

Na tym kończę publiczną polemikę z p. H. Świdorską na łamach *Kultury*.

Ryszard ZAKRZEWSKI

Berlin Zachodni, 18 stycznia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Leopolda Ungera „Jakta - Helsinki - Madryt” (*Kultura* nr 9/1983) oraz jego polemikę z treścią listu Adama Wojciechowskiego.

Rzecz dotyczy obecności milicji i SB przed budynkiem ambasady amerykańskiej w Warszawie w lecie ubiegłego roku. Wojciechowski pisze: „Wprawdzie przed wejściem do ambasady stoją codziennie posterunki milicyjne, ale funkcjonariusze nie są uzbrojeni ani w kałasnikowy ani nawet w pałki i zachowują się wyjątkowo poprawnie. Do ambasady mają dostęp obywatele polscy posiadający paszporty”.

Tak się składa, że w owym czasie byłem częstym gościem ambasady, korzystając z biblioteki a także pośrednictwa tej placówki przy załatwianiu spraw osobistych i widziałem zapewne jak Wojciechowski, że milicjanci posiadali zarówno broń jak i pałki, a nieopodal stały (na wszelki wypadek) samochody milicyjne. Nie wiem czy milicjanci przed zainstalowaniem ich przed ambasadą odbyli kurs nauki dobrego wychowania, jak zdaje się sugerować publicysta *Ładu*, ale sądząc z ich uwag pod moim i żony adresem, jakie płynęły w czasie studiowania naszych danych personalnych z paszportów, wcale nie było to takie oczywiste. W czasie jednej z wizyt w ambasadzie moja żona, mimo protestów i powoływania się właśnie na posiadany paszport, na teren tejże ambasady nie została dopuszczona.

Łączę uścisk dłoni

Roman ŻELAZNY

Bolesław Rodowicz, Astoria, L.I. N.Y. (USA), po raz 4-ty — \$ 8,00	F. 67,00
Teresa Romer, St. Eustache, Que. (Kanada), po raz 10-ty — \$ c. 20,00	F. 132,00
Kazimierz Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA), po raz 8-my — \$ 24,00	F. 201,50
Alexander M. Schenker, Hamden, CT (USA), po raz 14-ty — \$ 50,00	F. 420,00
Michał Sienko, South River, N.J. (USA), po raz 8-my — \$ 8,00	F. 67,00
Marian P. Sierant, Norwich, CT (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00	F. 67,00
L. i M. Stauberowie, Offenburg/M. (RFN) — dla uczczenia pamięci Andrzeja Semkova, tragicznie zmarłego w katastrofie samolotowej	F. 300,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii, Wellington — \$ 20,00	F. 168,00
Edmund Sułkowski, Schenektady, (USA), po raz 2-gi — \$ 8,00	F. 67,00
Maria i Wojciech Topperman, Thronhill, Ont. (Kanada) — dla uczczenia pamięci Andrzeja Semkova, szlachetnego człowieka i serdecznego przyjaciela, który zginął tragicznie w wypadku lotniczym	F. 300,00
Stanisław Waszak, Villefranche-sur-Mer (Francja)	F. 300,00
Edda Werfel, Wiedeń, po raz 4-ty	F. 120,00
Zamiast kwiatów na Boże Narodzenie na grób Stanisława Kwiatkowskiego — od Jego przyjaciół — \$ 15,00	F. 126,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 40-ty	F. 515,00
Beata i Robert Zywny, Londyn — zamiast życzeń świątecznych, po raz 2-gi — £ 10,00	F. 120,00
Norbert Żaba, Sztokholm — dla uczczenia pamięci śp. Ireny Patek — Krs 100,00	F. 104,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 7-my — Fr.szw. 100,00	F. 380,00
Bezimiennie z Bazylei (Szwajcaria), po raz 2-gi	F. 150,00
Bezimiennie z Caracas — \$ 3,00	F. 25,00
Bezimiennie z Flushing, N.Y. (USA), po raz 8-my — \$ 46,00	F. 382,00
Bezimiennie z Izraela — dla uczczenia pamięci mego Brata — Juliusza Pinczewskiego — \$ 100,00	F. 840,00
Bezimiennie z Londynu, po raz 12-ty — £ 20,00	F. 240,00
Bezimiennie z Mediolanu (Włochy), po raz 21-szy	F. 100,00
Bezimiennie z Milwaukee (USA), po raz 19-ty — \$ 18,00 ..	F. 160,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Bezimiennie z RFN	F. 613,12
Tina Capezza-Beyerle, California — \$ 100,00	F. 840,00
T. Cieński, Toronto, Ont. (Kanada) — jako protest przeciwko mającym się odbyć procesom KOR-owców i działaczy „Solidarności”, zwracając się z apelem do czytelników <i>Kultury</i> , aby w podobny sposób przyłączyli się do jego protestu	F. 200,00
E.M., Paryż — na przesładowanych w Polsce — za styczeń i luty 1984 po F. 200,00	F. 400,00
Fundacja Centrum Informacyjne Polska 13 Grudnia (Stichting Informatiecentrum Polen 13 December), Amsterdam	F. 2.716,28
Stefan Ginilewicz, Brownsville, TX (USA) — \$ 30,00	F. 252,00
Lech A. Halko, Scarborough, Ont. (Kanada) — \$ c. 40,00 ..	F. 260,00

I.N.W. w Michigan (USA) — na pomoc dla więźniów politycznych i ich rodzin — \$ 50,00	F. 420,00
Józef Kleszczyński, West Hartford, CT (USA) — na wydawnictwa podziemne — \$ 8,00	F. 67,00
Maria Korzecka, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób śp. Ireny Patek — Krs 100,00	F. 104,00
Alfred Kolator, Londyn — na Fundusz pomocy Krajowi (kultura, nauka) — £ 10,00	F. 120,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz samoobrony społecznej, po raz 25-ty — \$ 50,00	F. 420,00
Zofia i Jan Łukjaniec, Camino, CA (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Ireny Schellenberg-Voot, zmarłej w Los Angeles, CA — \$ 50,00	F. 420,00
Na apel „Konfederacji 76 w USA”, Oddział New Jersey na rzecz ruchu oporu w Polsce złożyli: W. Evans — \$ 15,00; A. Kołodziej — \$ 10,00 — razem: \$ 25,00; a w Redakcji <i>Listów do Polaków</i> : K. Krawczyk, S. Billok i W. Pirog po \$ 10,00 — razem: \$ 30,00 — ogółem: \$ 55,00	F. 462,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 300,00	F.2.520,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — na pomoc rodzinom uwięzionych w Polsce, dla uczczenia pamięci Janusza S. Franckiego, zmarłego w Kalifornii w grudniu 1983 r. — \$ 20,00	F. 168,00
Polen Initiative, Monachium — na pomoc dla opozycji w Kraju	F. 303,95
Janusz Sikorski, Lugo (Ravenna — Włochy) — na pomoc dla więźniów politycznych i ich rodzin — sumę zebraną po mszy św. noworocznej w kościele w Forli wśród zebranych tam Polaków	F. 99,00
Barbara i Edmund Stamberg, San Jose, CA (USA) — na fundusz pomocy najbardziej potrzebującym w Kraju — \$ 50,00	F. 420,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — Krs 100,00	F. 104,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — na pomoc prawną dla osób prześladowanych za przekonania — Fr.szw. 30,00	F. 114,00
Stanisław Waszak, Villefranche-sur-Mer (Francja)	F. 300,00

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Andrzej W., Berlin — ofiarom bezprawia stanu wojennego 1981	F. 150,00
Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA) — \$ 15,00	F. 123,00
Bezimiennie z RFN	F. 301,21
Bezimiennie z Thonex (Szwajcaria)	F. 500,00
B. Borowicz, Santiago de Chile — DM 70,00	F. 213,50
Halina i Ralph Bush, Thousand Palms, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Magdaleny Byrskiej z domu Milkiewicz — \$ 25,00	F. 210,00
Stefan Ginilewicz, Brownsville, TX (USA) — \$ 30,00	F. 252,00
Ryszard Gawroński, Pensacola, FL (USA) — sumę zebraną po mszy św. dn. 8.1.1984 r. w domu pp. Musiałów, wśród uczestników emigrantów i b. działaczy „Solidarności” — \$ 40,00	F. 336,00
Edward Gil, Toronto, Ontario (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju — \$ c. 300,00	F.1.950,00
Czesław Kiendys, Göteborg (Szwecja) — kwotę uzyskaną za część materiału-wyposażenia Domu Polskiego w Göteborgu — Krs 200,00	F. 208,00

National Association of Letter Carriers Branch 290, Santa Barbara, CA (USA) — (Związek Zawodowy Listonoszy) — \$ 25,00	F. 205,00
Na apel „Konfederacji 76 w USA”, Oddział Boston, złożyli: A. Żołądkowski i W. Ostrowski po \$ 10,00; b. internowani pp. W. Komorek, M. Butkiewicz, W. Szypszak, J. Baca, T. Wojdakowski, W. Chomiczki, J. Kocjan i R. Górski po \$ 5,00; A. Zolkiewicz, F. Dziadul, M. Stankiewicz, T. Domański i A. Biedak — po \$ 5,00; Teresa z Dolchester — \$ 3,00; Józefa J. — \$ 2,00 — razem: \$ 90,00	F. 756,00
Na apel „Konfederacji 76 w USA”, Oddział Boston, złożyli: K. Budzewicz i A. Zedziłko po \$ 20,00; Z. Wallek, J. Żołądkowski, A. Żołądkowski, W. Ostrowski po \$ 10,00; b. internowani: M. Konka — \$ 7,00; J. Kocjan, R. Górski, W. Komorek, W. Szypszak, T. Wojdakowski, M. Butkiewicz, F. Dziadul, E. Leskow, H. Więcek, M. Stankiewicz, S. Hyjek i Bezimiennie po \$ 5,00; G. Kliszewska z Los Angeles — zebrane na opłatku „kombatanckim” na pomoc uwięzionych działaczy „Solidarności” w Polsce — \$ 300,00 — ogółem: \$ 447,00	F.3.754,00
„Pomost”, Montreal — dla walczącej „Solidarności” w Polsce sumy zebrane na zorganizowanych przez „Pomost” Montreal w Kanadzie występach Jacka Kaczmarskiego i Krzysztofa Gugi: w Winnipegu przez Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” — \$ c. 361,00; w Vancouverze przez T-wo Przyjaciół „Solidarności” — \$ c. 434,00; w Montrealu przez „Pomost” — \$ c. 500,00 oraz z innych akcji „Pomostu” Montreal — \$ c. 1.000,00 — razem: \$ c. 2.295,00	F.14.917,50
Mec. Ernest Rybacki, Southgate, MI (USA) — jako nieprzyjęte honorarium — \$ 50,00	F. 420,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu (Kanada) — całkowity dochód ze sprzedaży solidarnościowych kart świątecznych — na podziemną prasę „Solidarności” w Kraju — \$ c. 575,00	F.3.737,50
T-wo Przyjaciół „Solidarności”, Vancouver, B.C. (Kanada) — \$ c. 110,00	F. 715,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju	F. 200,00
Stanisław Waszak, Villefranche-sur-Mer (Francja)	F. 300,00
Maria Winiarska, Sztokholm — dla uczczenia pamięci śp. Ireny Patek — Krs 100,00	F. 104,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Baden (Szwajcaria)	F. 400,00
Bezimiennie ze Strasburga (Francja)	F. 120,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 150,00	F. 458,00
Marian T. Chyliński, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 75,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires — \$ 25,00	F. 210,00
I.N.W. w Michigan (USA) — \$ 50,00	F. 420,00
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 135,00
Tadeusz Maczyński, Chicago, IL (USA) — \$ 20,00	F. 168,00
M.W., Täby (Szwecja) — Krs 100,00	F. 104,00

Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — \$ 40,00	F. 336,00
Kazimierz Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA) — \$ 24,00	F. 201,50
Genowefa Sobkowiez, Chicago, IL (USA) — \$ 100,00	F. 840,00
Ignacy Szenfeld, Monachium	F. 200,00
Szwajcar z Zurychu — Fr.szw. 20,00	F. 76,00
Jan Zybala, Denver, Colo. (USA) — \$ 2,00	F. 16,80

Ethnic and Public Policy Center, Waszyngton (nadesłał prez. Ernest W. Lefever):

— na Komitet Edukacji Narodowej — \$ 2.500,00	F.21.510,00
— na Komitet Niezależnej Kultury w Polsce — \$ 2.500,00	F.21.510,00

Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (przekazują: dyr. K.P.A. Bonawentura Mięgała, przewodniczący Komitetu i Jan Jurewicz, skarbnik) — \$ 6.000,00, z czego:

— na potrzeby „Solidarności” w Kraju — \$ 5.000,00	F.42.000,00
— na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 1.000,00	F.8.400,00

Na pomoc dla uwieczonych członków „Solidarności” i KOR-u i ich rodzin — uczniowie jednej ze szkół w RFN

F. 268,55

Solidarity Tuscon, Tuscon, Arizona (USA) — na Fundusz obrony uwieczonych członków „Solidarności” i KOR-u — \$ 103,00

F. 865,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1984.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1984			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000 Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Pocobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
BELGIA: Maria Randomanska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324. 51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
BRAZYLIA: do prosimy o przesyłanie czeków do administracji «Kultury»	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 36,00	\$Can. 35,00 DM 70,00 F. 200,00	\$Can. 60,00 DM 130,00 F. 380,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51 Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street Detroit Mich 48211; Szwede Slavic Books 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika» 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel (212) 354-0492	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken way Rd. London SW5 ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 385 — RYSZARD BUGAJSKI

PRZESŁUCHANIE

Halucynacyjny opis metod i tortur fizycznych i psychicznych stosowanych przy przesłuchaniach w czasach stalinowskich w Polsce.
Str. 112. Cena F. 45,00.

TOM 386 — LEOPOLITA

TEKSTY CYWILNE

Pisane w okresie od 1976 do końca października 1983 pasjonujące rozważania znanego pisarza i krytyka literackiego na temat politycznej i kulturalnej rzeczywistości w kraju.

Str. 176.

Cena F. 55,00.

TOM 387 — JERZY HOLZER

«SOLIDARNOŚĆ 1980-1981»

Geneza i historia

Str. 357.

Cena F. 95,00.

TOM 388 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: W. Bartoszewskiego — *Rozważania o Powstaniu Warszawskim*; Z. S. Siemaszki — *Płk Prawdziej-Szlaski — organizator AK na Nowogródczyźnie*; *Trzy dokumenty ujawniające mechanizmy przemocy i gwałtu w Polsce w latach 1947-1955 (Notatka w sprawie nadużyć w śledztwie w organach Informacji, Sprawozdanie Komisji powołanej dla zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. Warszawy, List Wł. Lechowicza do jego obrońców w sprawie tortur, jakim go poddano)*; W. Michniewicza — *Monte Cassino w świetle dokumentów*; *Polacy nad Wilii, Niemna, Narwi i Bugu w łagrach sowieckich w latach 1944-1947*; O. Remigiusz Kranc — *Byłem skazany na 10 lat Syberii (wspomnienia, cz. I)*; T. Wyrwy — *Raport ambasadora Francji w Bukareszcie o Polakach internowanych w Rumunii jesienią 1939 roku* oraz działy: RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

438

KULTUR A

3

1984

